

Raymond Chandler

Morderca w deszczu

(Przeł. Wł. J. Wojciechowski)

Morderca w deszczu

I

Siedzieliśmy w moim pokoju w Berglund. Ja zajmowałem miejsce na brzegu łóżka. Dravec na fotelu.

Deszcz bił mocno w szczelnie zamknięte okna. Było gorąco. Na stole stał włączony wentylator. Podmuch unosił gęstą, czarną czuprynę Draveca i jeżył dłuższe włoski w grubej, wyrazistej linii jego brwi. Facet wyglądał na wykidajkę, który dorobił się pieniędzy.

Pokazał mi niektóre ze swych złotych zębów.

- Co pan na mnie ma? - zapytał bardzo poważnie, jakby uważał, że każdy, kto cokolwiek wie, powinien dużo wiedzieć także o nim.

- Nic - odparłem. - Jest pan czysty, o ile mi wiadomo.

Podniósł dużą owłosioną dłoń i przez minutę uważnie się jej przyglądał.

- Pan mnie nie rozumie. Przysłał mnie tutaj gość o nazwisku M'Gee. Violets M'Gee.

- W porządku. Jak on się miewa? - Violets M'Gee był detektywem do spraw zabójstw w Biurze Szeryfa.

Zmarszczył brwi.

- Nie, pan ciągle mnie nie rozumie. Ja mam dla pana zajęcie.

- Rzadko wychodzę z domu - powiedziałem. - Ostatnio jestem dość słabowity.

Rozejrzał się uważnie po pokoju, blefując trochę, jak człowiek z natury nie dość spostrzegawczy.

- Może chodzi o pieniądze - odezwał się.

- Może i tak - przytaknąłem.

Miał na sobie skórzany płaszcz przeciwdeszczowy, z paskiem. Rozpiął go niedbale i wyciągnął portfel o rozmiarach beli siana. Banknoty sterczały nieskładnie w różne strony. Kiedy trzepnął nim o kolano, portfel wydał przyjemny dla ucha dźwięk. Wytrząsnął pieniądze, wybrał z pliku kilka papierków, a resztę włożył z powrotem. Rzucił portfel na podłogę i tak go zostawił. Ułożył pięć studolarówek niczym karty do pokera i wsunął pod podstawkę wentylatora.

To był kawał roboty. Po tym wszystkim aż zaczął chrząkać.

- Mam mnóstwo szmalu - oznajmił. - Tu jest pięćset.

- Widzę. Co będę musiał zrobić za tę kwotę?

- Teraz już mnie pan zna, co?

- Trochę lepiej.

Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni kopertę z bazgrołami na odwrocie i odczytałem mu je.

- Dravec, Anton lub Tony. Kiedyś hutnik w Pittsburghu, konwojent ciężarówek, twardy, umięśniony facet. Popęłnił błąd i został zamknięty. Wyjechał na zachód. Pracował na farmie w El Seguro przy uprawie avocado. Dorobił się własnego gospodarstwa. Miał głowę na karku i potrafił to wykorzystać, gdy odkryto, że w pobliżu El Seguro jest ropa. Wzbogacił się. Wiele stracił, inwestując w mało wydajne szyby innych ludzi. Z urodzenia Serb, wzrost sześć stóp, waga dwieście czterdzieści funtów. Jedna córka. Nigdy nie był żonaty. Żadnych znaczących zapisów w rejestrach policyjnych. Od czasów Pittsburgha w ogóle nic.

Zapaliłem fajkę.

- O rany! - powiedział. - Skąd pan to wszystko wziął?

- Znajomości. Jaką ma pan sprawę?

Podniósł portfel z podłogi i przez chwilę gmerał w nim kanciastymi palcami. Język wystawał mu spomiędzy grubych warg. W końcu wyciągnął wąską brązową wizytówkę i kilka zmiętych skrawków papieru. Popchnął je ku mnie.

Na wizytówce nowoczesną, delikatną czcionką wydrukowano: "Pan Harold Hardwicke Steiner", a w rogu małutkimi literami: "Białe kruki i wydania luksusowe". Nie było żadnego adresu ani numeru telefonu.

Skrawki białego papieru, w sumie trzy, okazały się zwyczajnymi weksłami na tysiąc dolarów każdy, podpisanymi przez Carmen Dravec, rozwlekłym, przypominającym kulfony kretyna charakterem.

Oddałem mu to wszystko.

- Szantaż? - spytałem.

Wolno pokręcił głową, a na jego twarzy pojawiło się coś miłego, coś, czego wcześniej nie było.

- To moja córeczka, Carmen. Ten Steiner kręci się koło niej. Ona ciągle chodzi do jego spelunki i urządza tam sobie hulanki. Podejrzewam, że on ma z nią romans, i to mi się nie podoba.

Skinąłem głową.

- Co z tymi weksłami?

- Forsa mnie nie obchodzi. Najgorsze, że Carmen kombinuje ze Steinerem. Do diabła! Ona jest, jak to się mówi, zwariowana na punkcie chłopów. Pan pójdzie i powie temu draniowi, żeby dał spokój mojej córce. Inaczej własnymi rękami skrećę mu kark. Rozumie pan?

Wszystko to powiedział szybko, mocno dysząc. Jego oczy zmalowały, zaokrągliły się i błysnęły wściekłością. Prawie szczękał zębami.

- Dlaczego ja mam mu to powiedzieć? Sam nie może pan tego zrobić? - spytałem.

- Obawiam się, że mógłbym się wściec i zabić tego skurwiela! - krzyknął.

Wyjąłem z kieszeni zapalną i zacząłem nią dłubać w fajce. Przez chwilę uważnie mu się przyglądałem, próbując sprecyzować pewną myśl.

- Nonsens. Pan się boi.

Podniósł obie pięści na wysokość barków i potrząsnął nimi - wielkimi gruzłami kości i mięśni. Potem opuścił je wolno i westchnął głęboko.

- Tak. Boję się - przyznał. - Nie wiem, jak sobie z nią poradzić. Ciągłe jakiś nowy facet i za każdym razem jakiś śmieć. Swego czasu pewnemu gościowi o nazwisku Joe Marty dałem pięć tysięcy, żeby się od niej odczepił. Do dzisiaj jest na mnie wściekła z tego powodu.

Spojrzałem w okno. Patrzyłem, jak deszcz uderza o szyby, rozlewa się i spływa gęstymi falami. Zbyt wczesna pora roku jak na taki deszcz.

- Dawanie forsy tego rodzaju facetom prowadzi donikąd - stwierdziłem. - Mógłby pan to robić do końca życia. Zatem doszedł pan do wniosku, że to ja powinienem okazać się twardy wobec tego Steinera.

- Proszę mu powtórzyć, że skrećę mu kark!

- Nawet nie będę próbował - odrzekłem. - Znam Steinera. Sam chętnie bym mu go skrecił, gdyby tylko mogło to w czymkolwiek pomóc.

Pochylił się i chwycił mnie za rękę. Jego oczy przybrały dziecinny wyraz. W każdym pokazała się szara łza.

- Niech pan posłucha. M'Gee mówi, że z pana równy gość. Powiem panu coś, czego nie wyjawilibym nikomu, nigdy. Carmen w ogóle nie jest moim dzieckiem. Znalazłem ją w Smoky - małą dziecinę na ulicy. Nie miała nikogo. A może ją porwałem, co?

- Na to wygląda - powiedziałem i musiałem się wysilić, by uwolnić ramię, a potem je wymasować. Ten mężczyzna miał chwyt, który mógłby zmiażdżyć słup telegraficzny.

- Powiem uczciwie - odezwał się ponuro, lecz z czułością. - Przyjechałem tu i dobrze mi się wiedzie. Ona dorasta, a ja ją kocham.

- Aha, to zupełnie naturalne - odrzekłem.

- Pan mnie nie rozumie. Ja chcę się z nią ożenić.

Popatrzyłem na niego.

- Robi się coraz starsza, coraz mądrzejsza. Może zechce wyjść za mnie, he?

W jego głosie zabrzmiał ton błagania, jakbym był w stanie rozwiązać ten problem.

- Prosił ją pan o to?

- Boję się - powiedział pokornie.

- Czy sądzi pan, że ona czuje miętę do Steinera?

Skinął głową.

- Ale to nic nie znaczy.

Byłem skłonny w to uwierzyć. Wstałem z łóżka i jednym ruchem podniosłem przesuwany segment okna. Przez minutę pozwoliłem kroplom deszczu spadać na moją twarz.

- Wyjaśnijmy sobie co nieco. - Opuściwszy okno, wróciłem na łóżko. - Mogę usunąć Steinera z pańskiej drogi. To proste. Tylko nie wiem, co pan dzięki temu zyska.

Znów chciał mnie chwycić za rękę, ale tym razem byłem dla niego zbyt szybki.

- Przyszedł pan tutaj najeżony, wymachując forszą - ciągnąłem. - Ale wyjdzie pan sflaczały. I nie z powodów, o których wspomniałem. Pan wiedział o nich wcześniej. Nie jestem Dorothy Dix i tylko czasami bywam głupcem. Ale jeżeli naprawdę pan tego chce, to zajmę się tym Steinerem.

Podniósł się niezgrabnie, obrócił kapelusz i spojrzał mi pod nogi.

- Proszę się nim zająć tak, jak pan powiedział. On i tak do niej nie pasuje.

- Mógłbym przy okazji zranić i pana.

- W porządku. Właśnie o to chodzi - odrzekł.

Zapiął płaszcz, wbił kapelusz na swą dużą, zarośniętą głowę i wyszedł. Zamknął cicho drzwi, jakby wychodził z pokoju chorego.

Pomyślałem, że jest zwariowany jak para myszy tańczących walca, ale spodobał mi się.

Schowałem forszę w bezpieczne miejsce, przygotowałem sobie dużego drinka i usiadłem w jeszcze ciepłym fotelu.

Popijając zastanawiałem się, czy facet wie, na czym polegają machinacje Steinera.

Steiner posiadał zbiór białych kruków i książek o sprośnej tematyce, które wypożyczał nawet za dziesięć dolarów dziennie - oczywiście właściwym ludziom.

II

Padalo przez cały nastepny dzien. Późnym popołudniem siedziałem w sportowym chryslerze zaparkowanym przy Boulevard, ukosem do wąskiego frontonu sklepu, na którym zielony neon obwieszczal: "H. H. Steiner".

Krople deszczu odbijały się od chodnika, bryzgały na wysokość kolan i wypełniały rynsztoki, a wielcy gliniarze, w błyszczących jak lufy pistoletów nieprzemakalnych płaszczach znakomicie się bawili, przenosząc dziewczynki w jedwabnych pończochach i ładnych kaloszach przez różne zalane miejsca i ściskając je do woli.

Deszcz bębnił w maskę chryslera, szarpał brezentowy dach i przenikał do środka w miejscach zapięcia, tworząc na podłodze kałuże, żebym miał gdzie trzymać stopy.

Miałem przy sobie dużą flaszkę szkockiej. Uciekałem się do niej wystarczająco często, by zachować zainteresowanie.

Steiner robił interesy nawet przy takiej pogodzie, a może zwłaszcza przy takiej. Przed jego lokalem zatrzymywały się eleganckie samochody i do środka wchodzili bardzo elegancy ludzie. A potem wychodzili z paczkami pod pachą. Mogli oczywiście kupować białe kruki i wydania luksusowe.

O wpół do szóstej ze sklepu wyszedł krostowaty dzieciak w skórzanej wiatrówce, skręcił w boczną uliczkę i dość szybkim krokiem ruszył pod górę. Wrócił wspaniałym kremowo_szarym coup~e. Pojawił się Steiner. Miał na sobie ciemnozielony skórzany płaszcz przeciwdeszczowy, a w ustach papierosa w bursztynowej fifce. Był bez kapelusza. Z powodu znacznej odległości nie mogłem dojrzeć jego szklanego oka, ale wiedziałem, że je ma. Chłopak w wiatrówce trzymał nad nim parasol przez całą drogę do samochodu, a potem złożył go i podał do coup~e.

Steiner ruszył na zachód Boulevard. Ja za nim. Minąwszy dzielnicę handlową, skręcił na północ przy Pepper Canyon. Śledziłem go spokojnie z dystansu jednej przecznicy, przekonany, że zmierza do domu, co było całkiem naturalne.

Zjechał z Pepper Drive w wąską betonową serpentynę nazywaną La Verne Terrace i dotarł prawie na sam szczyt. To była wąska ulica z wysoką skarpą po jednej stronie i urwistym zboczem po drugiej, gdzie przycupnęło kilka oddalonych od siebie domów. Ich dachy ledwo wystawały nad poziom jezdni, a od frontu zasłaniały je krzewy. W całej okolicy drzewa ociekały wodą.

Przed kryjówką Steinera rósł sięgający powyżej okien bukszpanowy żywopłot, przycięty w prostokąty. Do wejścia szło się przez labirynt zieleni, z ulicy nie było widać

drzwi. Steiner wjechał swoim kremowo_szarym coup~e do niewielkiego garażu, zamknął go i trzymając parasol nad głową, lekkim krokiem ruszył przez labirynt do domu.

Kiedy zniknął, pojechałem dalej, na szczyt wzgórza. Tam zawróciłem i zatrzymałem się jedną posesję wcześniej. Dom robił wrażenie opuszczonego, choć oficjalnie nic na to nie wskazywało. Siedząc w samochodzie, postanowiłem odbyć konferencję z moją butelką whisky.

O szóstej piętnaście na wzgórzu pojawiły się światła. Było już całkiem ciemno. Przed żywopłotem Steinera stanął samochód, z którego wysiadła szczupła, wysoka dziewczyna w płaszczu przeciwdeszczowym. Przez ogrodzenie przenikało dość światła, bym mógł zobaczyć, że to ciemnowłosa i całkiem ładna osóbką.

W szumie deszczu usłyszałem głosy. Drzwi się zamknęły. Wysiadłem z chryslera, ruszyłem w dół i cienką jak ołówek latarką zaświeciłem do wnętrza samochodu. To był kasztanowy lub brązowy kabriolet marki Packard. Dowód rejestracyjny zawierał informację: Carmen Dravec, 3596 Lucerne Avenue. Wróciłem do swego grata.

Minęła cała rozlazła godzina. Ulicą nie przejechał ani jeden samochód. Okolica wyglądała na bardzo spokojną.

Wtem z domu Steinera strzelił, niczym błyskawica podczas letniej burzy, silny biały promień światła. Kiedy znowu zapadła ciemność, wśród mokrych drzew cichym echem odbił się przytłumiony kobiecy krzyk.

Wyskoczyłem z chryslera. Ruszyłem pędem, chcąc dogonić milknące echo.

W tym krzyku nie wyczuwało się strachu. Raczej nutę czegoś w rodzaju przyjemnego szoku, upojenia alkoholowego i czystego idiotyzmu.

Dom Steinera tonął w ciszy, gdy wbiegłem przez lukę w żywopłocie, okrążyłem zasłaniającą wejście zielen i przyłożyłem dłoń do drzwi, by zapukać.

W tej samej chwili, zupełnie jakby czekano na moje przybycie, za drzwiami rozległy się trzy szybkie strzały. Potem usłyszałem długie, ciężkie westchnienie, miękkie plaśnięcie i spieszenie oddalające się ku tyłom domu kroki.

Straciłem trochę czasu, próbując bez wystarczającego rozbiegu uderzyć barkiem w drzwi. Odrzuciły mnie jak kopnięcie wojskowego muła.

Drzwi wychodziły na wąski podjazd, podobny do niewielkiego mostu, który prowadził na ulicę. Żadnego obejścia, żadnego sposobu szybkiego dotarcia do okien. Na tyły można się było dostać albo przez dom, albo po drewnianych schodach z alejki usytuowanej poniżej. Właśnie na nich usłyszałem teraz odgłos kroków.

To mnie zdopingowało, więc jeszcze raz uderzyłem w drzwi, tym razem nogą. Zamek ustąpił. Przeskoczyłem dwa stopnie w dół i znalazłem się w dużym, ponurym i zabałaganionym pokoju. Wówczas zauważyłem niezbyt wiele. Przeszedłem aż do wejścia od tyłu.

Miałem niemal pewność, że w domu zagościła śmierć.

Na ulicy zawarczał silnik samochodu. Gdy dobiegłem na próg, pojazd odjechał szybko, bez świateł. To wszystko - wróciłem do salonu.

III

Pokój zajmował cały front domu, sufit miał podparty belkami, a ściany pomalowane na brązowo. Wisiały na nich kilimy. Podłogę przykrywał gruby różowy dywan, na który padało trochę światła z dwóch stojących lamp z bladozielonymi abażurami. Na samym jego środku usytuowane było duże, niskie biurko, a obok - czarne krzesło z żółtą satynową poduszką. Na biurku leżały porozkładane książki.

Na swego rodzaju podium przy jednej ze ścian stał fotel z tekowego drewna, z poręczami i wysokim oparciem. Siedziała w nim, na obszytym frędzlami szalu ciemnowłosa dziewczyna.

Trzymała się prosto. Ręce miała oparte na poręczach, złączone kolana, ciało wyprężone, uniesioną głowę, a oczy szeroko otwarte, oszalałe. Nie było widać źrenic.

Sprawiała wrażenie nieświadomej tego, co dzieje się dookoła, a jednocześnie tkwiła w pozie zupełnie niewłaściwej dla stanu nieprzytomności. Siedziała tak, jakby robiła coś niezwykle ważnego.

Z ust dziewczyny wydobywał się zgrzytliwy, charczący dźwięk, który nie zmieniał wyrazu jej twarzy ani nawet układu warg. Wydawało się, że w ogóle mnie nie widzi.

W uszach miała długie kolczyki z jadeitu, poza tym była zupełnie naga.

Spojrzałem w drugi kąt pokoju.

Steiner leżał na podłodze, na plecach, tuż za skrajem różowego dywanu, przed czymś, co wyglądało na niewielki słup totemiczny. W rzeźbionych otwartych ustach dostrzegłem obiektyw aparatu, wycelowany najprawdopodobniej w siedzącą na tekowym fotelu dziewczynę.

Obok odrzuconej ręki w luźnym jedwabiu leżała na podłodze lampa błyskowa. Jej przewód nikał za słupem totemicznym.

Steiner ubrany był w chińskie pantofle z grubą białą podeszwą, czarny satynowy dół od piżamy i haftowany chiński kaftan, z przodu prawie cały zakrwawiony. Szklane oko błyszczało jasno i w całej postaci chyba ono miało najwięcej życia. Według pobieżnej oceny żaden z trzech strzałów nie chybił.

Zatem to błysk lampy był światłem, które zauważyłem wcześniej, na zewnątrz domu, a chichoczący śmiech stanowił reakcję na ów błysk znajdującej się pod wpływem narkotyku dziewczyny. Trzy strzały to już pomysł kogoś innego, kogoś, kto postanowił przerwać uprawiany w tym pokoju proceder. Prawdopodobnie tego zucha, który tak szybko zbiegał po schodach od tyłu.

W jego sposobie myślenia dopatrzyłem się pewnego sensu. Uznałem, że dobrym konceptem było zamknięcie drzwi frontowych i zabezpieczenie ich krótkim łańcuchem. Zamek został wyrwany moim gwałtownym wtargnięciem.

Na skraju biurka ujrzałem lakierowaną tacę, a na niej wąskie purpurowe szklanki oraz pękatą karafkę z jakimś brązowym płynem. Szklanki pachniały eterem i opium, miksturą, której nigdy nie próbowałem. Wydało mi się, że tego rodzaju rekwizyty pasują do tej sceny idealnie.

Ubranie dziewczyny odnalazłem na dywanie, w rogu. Podniosłem sukienkę z brązowymi rękawami. Też pachniała eterem, i to z odległości kilku stóp.

Zgrzytliwy charkot nadal wydobywał się z ust dziewczyny, a po brodzie spływała odrobina piany. Uderzyłem ją w twarz. Niezbyt mocno, bo nie chciałem wyrwać jej z transu, jakkolwiek on był, w obawie, że narobi wrzasku.

- No chodź - powiedziałem pogodnie. - Bądź grzeczna. Ubierzemy się.

- Idź d... d... do diabła - wydusiła. W jej głosie nie wyczułem najmniejszej emocji.

Uderzyłem ją nieco mocniej. Nie zwróciła na to uwagi, więc zacząłem ją ubierać.

To też jej nie przeszkadzało. Pozwoliła, bym podniosłem jej rękę, ale za to rozczapierzyła palce, jakby to było bardzo oryginalne. Z tego powodu musiałem pogimnastykować się trochę z rękawami. W końcu udało mi się odziać ją w sukienkę. Wciągnąłem jej pończochy, włożyłem buty, a potem postawiłem na nogi.

- Przejdźmy się trochę - zaproponowałem. - Pójdziemy na krótki, miły spacer.

Ruszyliśmy. Najpierw jej kolczyki obijały się o moją pierś, a potem posuwaliśmy się jak tancerze, którzy zmylili krok. Podeszliśmy do ciała Steinera i wróciliśmy. Nie zauważyła ani Steinera, ani jego połyskującego szklanego oka.

Bawiło ją, że nie jest w stanie chodzić. Próbowала mi o tym powiedzieć, lecz skończyło się nieartykułowanym bulgotem. Musiałem ją posadzić na dywanie, żeby zgarnąć z podłogi resztę garderoby. Bieliznę upchnąłem do jednej wielkiej kieszeni mojego płaszcza, a torebkę do drugiej. Przejrzałem też biurko Steinera. Znalazłem niewielki niebieski notes zapisany jakimś szyfrem, który wydawał mi się dość interesujący, i również schowałem go do kieszeni.

Następnie spróbowałem dostać się do tylnej ścianki aparatu ukrytego w słupie, lecz nie mogłem trafić na zaczep. Zaczynałem się denerwować, bo stwierdziłem, że łatwiej znalazłbym wytłumaczenie, gdybym nadział się na policję, wracając po kliszę później, niż gdybym został przyłapany już teraz i musiał wymyślić coś na poczekaniu.

Wróciłem do dziewczyny, rzuciłem na nią jej płaszcz, rozejrzałem się, by sprawdzić, czy nie zostały jeszcze jakieś jej rzeczy, i wytarłem mnóstwo odcisków palców, których prawdopodobnie w ogóle nie zostawiłem, a które z pewnością zostawiła panna Dravec. Otworzyłem drzwi i zgasilem obie lampy.

Objąłem dziewczynę lewą ręką i z wysiłkiem ruszyliśmy w deszcz. Wsiedliśmy do jej packarda. Nie bardzo podobało mi się pozostawienie mojego gruchota w tym miejscu, ale tak być musiało. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Opuściliśmy wzgórze.

Po drodze na Lucerne Avenue nie wydarzyło się nic z wyjątkiem tego, że Carmen przestała czkać i zaczęła chrapać. Nie mogłem odsunąć jej głowy ze swego ramienia, bo inaczej opadłaby mi na kolana. Musiałem jechać dość wolno, a przecież i tak była to daleka podróż, aż na zachodni kraniec miasta.

Dom Draveców, zbudowany z cegły, w staromodnym stylu, stał na sporym terenie ogrodzonym murem. Podjazd prowadził przez żelazną bramę i dalej pod górkę, obok klombów i trawników, aż do dużych frontowych drzwi z wąskimi, łączonymi ołowiem szybkami, zza których pobłyskiwało słabe światło, tak jakby w domu akurat nie było nikogo.

Odsunąłem Carmen, usadziłem w rogu, położyłem jej rzeczy na fotelu i wysiadłem.

Drzwi otworzyła służąca. Powiedziała, że pana Draveca nie ma i że nie wie, gdzie jest - podobno gdzieś w mieście. Miała podłużną, żółtawą, delikatną twarz i długi nos. Nie zauważyłem podbródka, dostrzegłem za to duże wilgotne oczy. Wyglądała jak piękna stara klacz, która po długiej służbie została puszczone na pastwisko. Chyba była w stanie odpowiednio zająć się Carmen.

- Niech ją pani położy do łóżka - mruknąłem, wskazując na packarda. - Ma szczęście, że nie trafiła do paki za jazdę w takim stanie.

Służąca uśmiechnęła się smutno, a ja ruszyłem na piechotę przed siebie.

Musiałem przejść pięć przecznic, żeby w jakimś wąskim bloku mieszkalnym skorzystać z wiszącego w korytarzu telefonu. Na dodatek potem dwadzieścia pięć minut czekałem na taksówkę. Zacząłem się już niepokoić.

Musiałem jeszcze zdobyć kliszę z aparatu Steinera.

IV

Wysiadłem z taksówki na Pepper Drive, przed domem, w którym było jakieś towarzystwo, i ruszyłem w górę krętą La Verne Terrace, do domu Steinera za gęstymi zaroślami.

Wszystko wyglądało tak samo. Przedostałem się przez lukę w żywopłocie i ostrożnie otworzyłem drzwi. Poczulem zapach dymu z papierosa. Nie było go tam wcześniej. Owszem, inne zapachy tak, w tym także ostra woń bezdymnego proszku, ale dymu nie.

Zamknąłem drzwi, przyklęknąłem i zacząłem nasłuchiwać, wstrzymując oddech. Nic prócz bębnienia deszczu po dachu. Poświeciłem moją cieniutką latarką na podłogę. Nikt do mnie nie strzelił. Wyprostowałem się, znalazłem przełącznik jednej z lamp i zapaliłem światło.

Najpierw zauważyłem, że na ścianach brakuje kilimów. Nie liczyłem ich wcześniej, ale teraz puste miejsca przyciągnęły mój wzrok. Potem spostrzegłem, że ciało Steinera zniknęło. W miejscu, gdzie przedtem leżał, na krawędzi różowego dywanu przed słupem totemicznym, ktoś położył drugi dywanik. Nie musiałem go unosić, by wiedzieć, dlaczego się tam znalazł.

Zapaliłem papierosa. Stałem na środku słabo oświetlonego pokoju, zastanawiając się. Potem podszedłem do aparatu z obiektywem w otwartych ustach rzeźby. Tym razem znalazłem zatrask. W środku nie było żadnej kliszy.

Wyciągnąłem dłoń w kierunku telefonu w kolorze morwy, stojącego na biurku Steinera. Nie dotknąłem jednak słuchawki.

Przeszedłem do małego korytarza w tylnej części salonu i zajrzałem do przeładowanej drobiazgami sypialni, która bardziej wyglądała na damską niż na męską. Łóżko przykryte było kapą z falbankami. Uniosłem ją i poświeciłem latarką.

Steinera pod łóżkiem nie było. Nie było go nigdzie w domu. Ktoś go zabrał, bo z całą pewnością sam nie mógł stąd odejść.

Gdyby to była policja, ktoś od nich jeszcze by tu siedział. Od chwili, gdy razem z Carmen opuściłem dom, minęło dopiero półtorej godziny. Ponadto w mieszkaniu nie było śladu całego tego bałaganu, jaki robią policyjni fotografowie i specjaliści od zdejmowania odcisków palców.

Wróciłem do salonu, pchnąłem nogą lampę błyskową za słup totemiczny, zgasilem światło i wyszedłem. Wsiadłem do mojego zalanego deszczem samochodu i włączyłem silnik.

Nie miałem nic przeciwko temu, że ktoś próbował na jakiś czas ukryć śmierć Steinera. To dawało mi możliwość przekonania się, czy mogę o tym powiedzieć, pomijając osobę Carmen Dravec i fakt fotografowania nagiej kobiety.

Było już po dziesiątej, gdy wróciłem do Berglund. Odstawiłem grata i poszedłem na górę, do siebie. Wziąłem prysznic. Później włożyłem piżamę i przygotowałem sobie porcję gorącego grogu. Kilka razy zerknąłem na telefon. Myślałem o tym, by zadzwonić i sprawdzić, czy Dravec wrócił już do domu, lecz doszedłem do wniosku, że lepiej będzie zostawić go w spokoju do następnego dnia.

Nabiłem fajkę i usiadłem z gorącym grogiem i niebieskim notesem Steinera w rękę. Był zapisany szyfrem, lecz z układu haseł i kartek z nacięciami domyśliłem się, że jest to spis nazwisk i adresów. W sumie ponad czterystu pięćdziesięciu. Jeżeli była to lista frajerów Steinera, to miał w garści prawdziwą kopalnię złota - nie mówiąc już o możliwości szantażu.

Każda z wymienionych tu osób mogła być uznana za potencjalnego mordercę. Nie zazdrościłem roboty gliniarzom, gdyby dostali w swoje ręce ten notes.

Próbując złamać szyfr, wypilem zbyt dużo whisky. Około północy poszedłem do łóżka. Śnił mi się mężczyzna w chińskim kaftanie, z piersią całą we krwi, który gonił jakąś nagą dziewczynę z długimi kolczykami z jadeitu, podczas gdy ja próbowałem sfotografować tę scenę aparatem, w którym nie było kliszy.

Violets M'Gee zatelefonował do mnie rano. Jeszcze nie zdążyłem się ubrać, ale już przejrzałem gazetę i nie znalazłem w niej ani słowa o Steinerze. Miał radosny głos człowieka, który dobrze przespał ostatnią noc, nie obciążonego zbyt wielkimi długami.

- Jak leci, stary? - zaczął.

Powiedziałem, że wszystko gra z wyjątkiem tego, że mam kłopoty z czytanką dla trzeciej klasy. Zaśmiał się, trochę jakby roztargniony, a potem zapytał tonem aż nadto obojętnym:

- Ten gość, Dravec, którego do ciebie wysłałem: czy zrobiłeś już coś dla niego?

- Za bardzo pada - odpowiedziałem, o ile to była odpowiedź.

- Aha. On jest chyba typem człowieka, któremu przydarzają się różne rzeczy. Jego samochód właśnie bierze kąpiel przy wędkarskim moło w Lido.

Nie odezwałem się. Mocno ścisnąłem słuchawkę.

- Tak - radośnie kontynuował M'Gee. - Piękny nowy cadillac, pełen piachu i morskiej wody... O, byłbym zapomniał. W środku jest jakiś facet.

Wolno, bardzo wolno wypuściłem powietrze z płuc.

- Dravec? - szepnąłem.

- Nieee. Jakiś dzieciak. Jeszcze nie powiadomiłem Draveca. Ścisłych danych brak.

Chcesz przyjechać i razem ze mną rzucić na to okiem?

Odpowiedziałem, że owszem.

- No to zbieraj się. Będę u siebie - oznajmił M'Gee i odwiesił słuchawkę.

Mniej więcej trzydzieści minut później byłem już w okręgówce, ogolony, ubrany i posilony co nieco. M'Gee gapił się na żółtą ścianę, siedząc przy niewielkim żółtym biurku, całkiem pustym, jeśli nie liczyć jego kapelusza i samotnej stopy. Jedno i drugie zdjął z blatu, po czym poszliśmy na służbowy parking i wsiedliśmy do małego czarnego sedana.

W nocy deszcz przestał padać i ranek był błękitny i złoty. Rześkie powietrze mogło uczynić życie prostym i przyjemnym, o ile nie miało się zbyt wiele do myślenia. A ja niestety miałem.

Lido oddalone jest od miasta o jakieś trzydzieści mil, z czego pierwszych dziesięć trzeba przebyć w nielichem tłoku. M'Gee pokonał tę drogę w trzy kwadransy. Zatrzymaliśmy się z poślizgiem przed stiukowym łukiem, za którym rozciągało się moło. Spuściłem nogi z progu i wysiadłem.

Koło łuku stało kilku ludzi i parę samochodów. Przybyły na motocyklu policjant nie wpuszczał nikogo na molo. M'Gee pokazał mu brązową gwiazdę i weszliśmy bez przeszkód w strefę intensywnego odoru, którego nie zmył nawet dwudniowy deszcz.

- O, jest tam, na łajbie - powiedział M'Gee.

Przy końcu mola cumował niski czarny holownik. Na pokładzie, tuż przed sterówką, dostrzeżliśmy coś dużego, zielonego i niklowanego. Wokół stali jacyś ludzie.

Pokonawszy mokre i śliskie schodki, wkroczyliśmy na pokład. M'Gee przywitał się z zastępcą w mundurze koloru khaki i jeszcze jednym facetem w cywilu. Trzej mężczyźni z załogi holownika podeszli do sterówki i obserwowali nas, oparci o budkę.

Oglądaliśmy samochód. Przedni zderzak był zgięty, reflektor i atrapa chłodnicy uszkodzone, a lakier i nikiel zdrapane przez piasek. Poczerniała tapicerka ociekała wodą. Poza tym auto wyglądało niezgorzej. To był kawał dobrej roboty - dwie tony zieleni z pasem i wykończeniem w kolorze wina.

Razem z M'Gee zajrzałem na przednie siedzenie. Szczupły, ciemnowłosy i przystojny chłopak leżał przyklejony do kolumny kierownicy, z głową pod dziwacznym kątem względem reszty ciała. Jego twarz miała barwę niebieskawo_białą. Pod przymkniętymi powiekami blado połyskiwały oczy. W otwartych ustach osiadł piasek. Na głowie, z boku, widniały ślady krwi, której nie zdołała zmyć słona woda.

M'Gee odsunął się wolno, wydał jakiś gardłowy dźwięk i zaczął żuć fioletowe pastylki odświeżające oddech. Im właśnie zawdzięczał swe przezwisko.

- Jak to wygląda? - spytał cicho.

Umundurowany zastępca wskazał na koniec mola, gdzie sterczały wyłamane na sporym odcinku brudne białe barierki z belek, dwa na cztery cale. W miejscu pęknięcia drewno było jasne i żółte.

- Przejechał tamtędy. Musiał mocno walnąć. Tutaj przestało padać wcześniej, około dziewiątej. W miejscu złamania drewno jest suche, a zatem zdarzenie nastąpiło już po ustaniu deszczu. To wszystko, co wiemy. Można jeszcze dodać, że spadł do wody w środku przypiływu, bo inaczej byłby bardziej rozwalony. Kiedy chłopcy przyszli rano na ryby, zauważyli samochód w wodzie. Wezwaliśmy holownik, żeby go wyciągnąć. A potem znaleźliśmy tego martwego faceta.

Drugi zastępca stuknął w pokład czubkiem buta. M'Gee zerknął na mnie swymi małymi, lisimi oczami. Zrobiłem obojętną minę i nic nie powiedziałem.

- Ten chłopak był dobrze pijany - powiedział cicho M'Gee. - Popisywał się przed samym sobą w deszczu. Podejrzewam, że lubił jeździć samochodem. Taak... - zupełnie zalany.

- Pijany jak diabli - odezwał się zastępca w cywilnym ubraniu. - Ręczny gaz jest ustawiony pośrodku. Mało tego, chłopak oberwał w głowę. Zadajcie mi pytanie, a powiem, że to morderstwo.

M'Gee spojrział na niego uprzejmie, potem skierował wzrok na mężczyznę w mundurze.

- Co o tym sądzisz?

- To mogło być samobójstwo. Złamał sobie kark, a w skroń mógł się uderzyć podczas upadku. Mógł też ręką zahaczyć o dźwignię i przesunąć ją. Chociaż z drugiej strony bardziej mi to wygląda na morderstwo.

M'Gee skinął głową.

- Przeszukaliście go? Wiadomo, kim jest? - zapytał.

Zastępcy spojrzeli na mnie, a potem na załogę holownika.

- Okay, darujcie sobie - rzekł M'Gee. - Ja wiem, o kogo chodzi.

Molem zbliżył się wolno niski mężczyzna w okularach. Miał zmęczoną twarz, w rękę trzymał czarną torbę. Zszedł po oślizgłych schodkach na pokład. Wybrał stosunkowo czyste miejsce, położył torbę, zdjął kapelusz, podrapał się po karku i uśmiechnął.

- Proszę spojrzeć, doktorze. To pański pacjent - zwrócił się do niego M'Gee. - Dzisiejszej nocy nurkował z mola. Na razie wiemy tylko tyle.

Lekarz spojrział posepnie na martwego mężczyznę. Dotknął jego głowy, trochę ją obrócił. Potem pomacał żebra. Podniósł bezwładną dłoń i przyjrzał się paznokciom. Puścił ją, po czym odsunął się od samochodu i wziął swoją torbę.

- Około dwunastu godzin - rzekł. - Skrecony kark, to jasne. Wątpię, żeby była w nim choć odrobina wody. Lepiej wyciągnąć go stamtąd, zanim zeszywnieje. Resztę postaram się ustalić, gdy trafi na mój stół.

Skinął wszystkim głową, a potem ruszył schodkami w górę i odszedł mołem. Przy łuku ustawiała się karetka.

Detektywi mrucząc wyciągnęli denata z samochodu. Położyli go na pokładzie obok pojazdu, od strony morza.

- Chodźmy - powiedział M'Gee. - To koniec tej części przedstawienia.

Pożegnaliśmy się, a M'Gee nakazał zastępcom, żeby trzymali język za zębami, póki nie skontaktuje się z nimi. Opuściwszy molo, wsiedliśmy do czarnego sedana i ruszyliśmy

w drogę powrotną do miasta, białą, zmytą deszczem szosą, wzdłuż niskich wzgórz żółto_białego piasku, porośniętych miejscami mchem. Nad przybrzeżnymi falami unosiły się i opadały nieliczne mewy. Daleko w morzu, na horyzoncie, kołysało się kilka białych jachtów, jak gdyby zawieszono je w powietrzu.

Przejechaliśmy kilka mil, nie odzywając się do siebie.

- Masz jakieś pomysły? - spytał wreszcie M'Gee.

- Mów - odrzekłem. - Nigdy wcześniej go nie widziałem. Kto to jest?

- Do diabła, sądziłem, że dowiem się tego od ciebie.

- Gadaj, Violets - nalegałem.

Burknął coś, wzruszył ramionami i niewiele brakowało, a zjechalibyśmy z szosy w sypki piach.

- Szofer Draveca. Chłopak o nazwisku Carl Owen. Skąd wiem? Rok temu posiedział trochę w kiciu pod zarzutem uprowadzenia. Uciekł z tą zwariowaną córeczką Draveca do Yumy. Dravec pojechał za nimi, zawrócił ich i wpakował faceta za kratki. Później dziewczyna przekonała jakoś starego, więc następnego ranka ruszył pędem do miasta i poprosił o uwolnienie go. Powiedział, że Owen miał zamiar poślubić jego córkę, tyle że ona nie chciała. A potem - wiesz co? Chłopak wrócił do pracy u Draveca i był tam do tej pory. Co o tym sądzisz?

- Zdaje się, że to cały Dravec - powiedziałem.

- Owszem, ale ten dzieciak znowu mógł wpaść w kłopoty.

M'Gee miał srebrzyste włosy, guzowatą brodę i wydęte wargi, w sam raz do całowania niemowlaków. Spojrzałem na jego profil i nagle zrozumiałem, o czym myśli. Zaśmiałem się.

- Uważasz, że to Dravec go zabił? - spytałem.

- Czemu nie? Chłopak znowu dobiera się do dziewczyny i Dravec przyciska go, tyle że trochę za mocno. To wielki chłop i z łatwością może skrócić człowiekowi kark. Potem wpada w panikę. Jedzie w deszczu samochodem do Lido i pozwala mu ześlizgnąć się z mola. Myśli, że nie będzie go widać. A może w ogóle nie myślał. Tylko trząśł się ze strachu.

- To poważny zarzut - powiedziałem. - Ale potem musiał wracać do domu trzydzieści mil w deszczu na piechotę.

- No, dalej. Spróbuj.

- Dravec zabił go, to jasne - powiedziałem. - Chodzi jednak o to, że bawili się w skok przez plecy i Dravec spadł mu na kark.

- Dobra, stary. Każdy może się kiedyś potknąć. Tobie też to grozi.

- Posłuchaj, Violets - zacząłem poważnie. - Jeżeli ten chłopak został zabity - a przecież nie ma pewności, że to było morderstwo - nie jest to przestępstwo w stylu Draveca. Owszem, mógłby zabić człowieka w napadzie szału, lecz zostawiłby go tam, gdzie upadł. Nie robiłby całego tego zamieszania.

Zawróciliśmy. M'Gee popadł w zadumę.

- Co za kumpel - poskarżył się. - Opracowałem znakomitą teorię i spytałem cię o zdanie. Żałuję, że w ogóle zabrałem cię ze sobą. Do diabła z tobą. I tak pójdę śladem Draveca.

- Pewnie - zgodziłem się. - Będziesz zmuszony, tylko że Dravec go nie zabił. On jest za miękki, by to ukrywać.

Gdy wróciliśmy do miasta, było już południe. Poprzedniego wieczoru nie jadłem kolacji, piłem tylko whisky, a rano połknąłem mizerne śniadanie. Wysiadłem przy Boulevard i pozwoliłem, żeby M'Gee sam pojechał do Draveca.

Chciałem wiedzieć, co przydarzyło się Carlowi Owenowi, lecz nie pociągała mnie myśl, że to Dravec mógł go zamordować.

Zjadłem lunch w barze i pobieżnie przejrzałem wczesnopołudniową prasę. Nie oczekiwałem, że znajdę w niej coś o Steinerze, i nie znalazłem.

Po lunchu poszedłem rzucić okiem na sklep Steinera przy Boulevard, sześć przecznic dalej.

VI

Sklep zajmował połowę frontu. Druga należała do jubilera, który stał właśnie w wejściu - duży, siwowłosy, czarnooki Żyd z mniej więcej dziewięciokaratowym brylantem na palcu. Gdy przechodziłem obok niego, uśmiechnął się znacząco.

Podłogę w lokalu Steinera przykrywał od ściany do ściany gruby niebieski dywan. Obok niebieskich foteli stały popielniczki. Na wąskich stołach dostrzegłem parę kompletów książek w tłoczonych skórzanych oprawach, reszta znajdowała się za szkłem. Przepierzenie z wąskimi drzwiami oddzielało sklep od zaplecza, a w rogu, przy małym biurku, na którym ustawiono lampę z abażurem siedziała jakaś kobieta.

Podniosła się i podeszła do mnie, kołysząc biodrami w obcisłej sukience z czarnego materiału, który nie odbijał światła. Była przyprószoną popiołem blondynką o zielonkawych oczach i mocno umalowanych powiekach. Inne szczegóły - to duże klipsy, rozpuszczone włosy i pomalowane na srebrno paznokcie.

Przywołała na wargi coś, co uważała za uśmiech powitania. Według mnie był to zaledwie wymuszony grymas.

- O co chodzi?

Nerwowym ruchem zsunąłem kapelusz niżej na oczy.

- Chodzi o Steinera.

- Dzisiaj go nie będzie. Może pokażę panu...

- To ja chciałbym sprzedać - odrzekłem. - Mam coś, czego szukał od dłuższego czasu.

Srebrne paznokcie dotknęły włosów za uchem.

- Aha, sprzedawca... No cóż, może zajrzy pan jutro?

- Jest chory? Mógłbym odwiedzić go w domu - podsunąłem z nadzieją w głosie. - Na pewno chciałby zobaczyć to, co mam.

Efekt był piorunujący. Przez minutę starała się złapać oddech. Kiedy jednak przemówiła, jej głos był spokojny.

- To... to by się na nic nie zdało. Nie ma go w mieście.

Skinąłem głową z grymasem rozczarowania na twarzy. Dotknąłem kapelusza i już się odwracałem, gdy zza drzwi przepierzenia wychynęła głowa krostowatego chłopaka, którego widziałem poprzedniego wieczoru. Cofnął się, jak tylko mnie zobaczył, ale nie dość szybko, bym nie zdążył zauważyć leżących w głębi kilku paczek z książkami.

Paczki były małe, otwarte. Zmagał się z nimi jakiś mężczyzna w zupełnie nowym kombinezonie. Część zasobów Steinera przenoszono.

Wyszedłem. Skręciłem za róg, a potem zerknąłem w zaułek. Za sklepem Steinera stała mała, czarna ciężarówka z siatkowymi bokami. Bez napisów. Przez ażur siatki widać było pudła. Kiedy im się przyglądałem, z zaplecza wyszedł mężczyzna w kombinezonie, dźwigając następną paczkę.

Wróciłem na Boulevard. Pół przecznicy dalej jakiś chłopak o zuchwałej twarzy czytał gazetę w zaparkowanej taksówce.

- Pojedziesz za kimś? - spytałem, pokazując pieniądze.

Spojrzał na mnie taksującym wzrokiem, a potem otworzył drzwi i upchnął gazetę za lusterkiem wstecznym.

- To moja ulubiona zabawa, szefie - powiedział wesoło.

Podjechaliśmy do końca uliczki na tyłach sklepu i zatrzymaliśmy się przy hydrancie.

Na ciężarówce było chyba ze dwanaście pudeł, kiedy mężczyzna w kombinezonie usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Ruszył ostro zaułkiem, potem skręcił w lewo, w ulicę. Mój kierowca uczynił to samo. Ciężarówka pomknęła na północ, dotarła do Garfield i skierowała się na wschód. Jechała bardzo szybko, choć panował tu duży ruch. Mój kierowca pozostał daleko z tyłu.

Właśnie zrobiłem mu uwagę na ten temat, gdy ciężarówka skręciła z Garfield na północ, w ulicę, która nosiła nazwę Brittany. Kiedy tam dobrnęliśmy, nie było już po niej śladu.

Za szybą chłopak o zuchwałej twarzy mamrotał coś uspokajająco. Jechaliśmy Brittany z szybkością czterech mil na godzinę, wypatrując ciężarówki za krzewami. Nie dałem się uspokoić.

Dwie przecznice dalej Brittany skręcała łagodnie na wschód i łączyła się z inną ulicą, Randall Place, gdzie na wąskim pasku terenu stał biały blok mieszkalny z frontem od Randall Place i garażem na parterze od Brittany. Mijaliśmy go. Właśnie kierowca próbował mnie przekonać, że ciężarówka nie może być daleko, gdy ujrzałem ją w garażu.

Zajechaliśmy od frontu. Wsiadłem i wszedłem na korytarz.

Tablicy z guzikami nie było. Nad odsuniętym pod ścianę, najwyraźniej już nie używanym kontuarem wisiały połyskujące złoście skrzynki na listy, a pod nimi wykaz lokatorów.

Pod numerem 305 widniało nazwisko Josepha Marty'ego. Joe Marty był mężczyzną, który zabawiał się z Carmen Dravec, dopóki jej ojciec nie dał mu pięciu tysięcy dolarów, żeby się odczepił i zajął jakąś inną dziewczyną. To mógł być ten sam Joe Marty.

Zszedłem na dół i przez drzwi ze zbrojoną szybą wkroczyłem w półmrok garażu. Mężczyzna w nowiutkim kombinezonie układał pudełka w automatycznej windzie.

Stałem obok i zapaliłem papierosa, przyglądając mu się uważnie. Nie był tym zachwycony, ale nic nie powiedział.

- Uważaj na obciążenie, koleś - odezwałem się po chwili. - Ta winda wytrzyma tylko pół tony. Gdzie to jedzie?

- Marty, trzysta pięć - odparł a potem spojrzał tak, jakby żałował tego, co powiedział.

- Nieważne - zdobyłem się na przyjazny ton. - Niezła porcja lektury!

Wróciłem na górę. Wszedłem z budynku i wsiadłem do taksówki.

Ruszyliśmy z powrotem do miasta, do mojego biura. Dałem kierowcy trochę za dużo pieniędzy, a on mi brudną wizytówkę, którą wyrzuciłem do spluwaczki przy windach.

Przed drzwiami biura stał Dravec. Był wściekły.

VII

Po deszczu zrobiło się ciepło i jasno, lecz on ciągle miał na sobie ten sam skórzany płaszcz przeciwdeszczowy z paskiem, tyle że od góry do dołu rozpięty, podobnie jak marynarka i kamizelka. Krawat zawędrował gdzieś w okolice ucha. Twarz przybrała kolor kitu, a brodę pokrywał kilkudniowy zarost.

Wyglądał okropnie.

Otworzyłem drzwi, klepnałem go w ramię, wepchnąłem do środka i posadziłem na krześle. Oddychał ciężko, nie odzywając się. Wyjąłem z biurka butelkę żytniówki i nalałem po kieliszku. Bez słowa wypił z obu, po czym opadł na krzesło, zamrugał oczami, postękał i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kwadratową białą kopertę. Położył ją na biurku, przytrzymując swą dużą, owłosioną dłoń.

- Kiepsko, jeśli chodzi o Carla - zacząłem. - Tego ranka widziałem się z M'Gee.

Spojrzał na mnie bezmyślnie.

- Tak. Carl był dobrym chłopakiem. Niewiele panu o nim mówiłem - dodał po chwili.

Czekałem, spoglądając na kopertę pod jego łapskiem. On też na nią patrzył.

- Muszę to panu pokazać - wymamrotał.

Pchnął wolno kopertę po biurku i unióśł dłoń takim gestem, jakby ujawniał coś, co czyni życie naprawdę wartościowym. W jego oczach zalśniły dwie łzy i spłynęły po pokrytych zarostem policzkach.

Sięgnąłem po kopertę i przyjrzałem się jej. Była zaadresowana do niego, starannie drukowane litery skreślono atramentem. W rogu widniał ślad stempla - "Express". Otworzywszy ją, zobaczyłem błyszczącą fotografię.

Fotka przedstawiała Carmen Dravec w tekowym fotelu Steinera, z kolczykami z jadeitu w uszach. Oczy miała bardziej oszalałe niż wtedy, gdy ja ją widziałem. Spojrzałem na odwrotną stronę zdjęcia. Była czysta. Położyłem odwróconą fotografię na blacie.

- Proszę mi o tym opowiedzieć - zacząłem ostrożnie.

Dravec otarł rękawem łzy, oparł dłonie płasko na biurku i przyglądał się brudnym paznokciom. Jego palce drżały.

- Zadzwoił do mnie jakiś gość - powiedział słabym głosem. - Dziesięć patyków za kliszę i odbitki. Interes trzeba załatwić dzisiejszej nocy, bo inaczej oddadzą to do jakiegoś skandalizującego szmatławca.

- To jakaś wielka bzdura - stwierdziłem. - Żadna gazeta nie mogłaby tego wykorzystać, chyba że do rozdmuchania jakiejś historii. A co to za historia?

Wolno podniósł wzrok, jakby oczy miał z ołowiu.

- Jeszcze nie koniec. Facet powiedział, że sytuacja jest wyjątkowo przykra. Trzeba działać szybko, w przeciwnym razie moja dziewczynka znajdzie się w więzieniu.

- Co to za historia? - spytałem znowu, nabijając fajkę. - Co mówi Carmen?

Pokręcił dużą, zmierzwioną głową.

- Nie pytałem jej, byłbym bez serca. Biedne dziecko. Zupełnie naga... Nie, nie mam serca... Pewnie jeszcze nic pan nie zrobił w sprawie Steinera.

- Nie musiałem - odrzekłem. - Ktoś okazał się szybszy ode mnie.

Spojrzał na mnie z otwartymi ustami, nic nie rozumiejąc. Nie miał oczywiście pojęcia o tym, co zaszło w ciągu ostatniej doby.

- Czy Carmen wychodziła gdzieś tej nocy? - spytałem obojętnie.

Gapił się ciągle z otwartymi ustami, nerwowo szukając czegoś w pamięci.

- Nie. Źle się czuje. Kiedy wróciłem do domu, leżała w łóżku. W ogóle nigdzie nie wychodziła... A co ze Steinerem?

Sięgnąłem po butelkę i naląłem nam po jednym. Potem zapaliłem fajkę.

- Steiner nie żyje - powiedziałem. - Komuś znudziły się jego sztuczki, więc go podziurawił. Ostatniej nocy, w czasie deszczu.

- O rany! - zdziwił się. - Pan tam był?

Pokręciłem głową.

- Nie ja. Carmen. To jest ta przykra sytuacja, o której mówił tamten gość. Oczywiście - nie ona strzelała.

Dravec poczerwieniał. Był wściekły. Zacisnął pięści, oddychał chrapliwie, a na szyi wyskoczyła mu żyła.

- To nieprawda! Ona jest chora. W ogóle nie wychodziła. Leżała w łóżku, gdy wróciłem!

- Już mi pan to mówił - odrzekłem. - I to właśnie nie jest prawda. Sam przywiozłem ją do domu. Służąca wie o tym, tylko chce zachować w tej sprawie dyskrecję. Carmen była u Steinera, a ja obserwowałem wszystko z zewnątrz. Huknął strzał i ktoś uciekł. Nie widziałem go. Carmen też nie, bo była zbyt oszołomiona. I właśnie dlatego jest chora.

Próbował zatrzymać wzrok na mojej twarzy, lecz oczy miał nieprzytomne i puste, jakby zgasło w nich światło. Chwycił poręcz krzesła. Knykcie naprężyły się i zbiały.

- Nie powiedziała mi - wyszeptał. - Nie powiedziała... Chociaż zrobiłbym dla niej wszystko. - W jego martwym głosie nie było żadnych emocji, tylko sama rozpacz. Pchnął krzesło do tyłu. - Idę po forszę. - Po te dziesięć patoli. Może tamten facet nie będzie gadał.

Wtem załamał się. Jego rozczochrana głowa opadła na blat, a całym ciałem wstrząsnął szloch.

Wstałem, obszedłem biurko i klepnałem go po ramieniu. Poklepywałem go tak, nic nie mówiąc. Po chwili podniósł zmoczoną łzami twarz i złapał mnie za rękę.

- Boże! Dobry z pana chłop - załkał.

- Cóż pan może o tym wiedzieć?

Wyrwałem dłoń z jego uścisku, wetknąłem mu do ręki drinka, pomogłem podnieść i wypić. Potem wyjąłem pustą szklankę z jego palców i odstawiłem na biurko. Usiadłem na swoim miejscu.

- Powinien się pan czym prędzej pozbierać - powiedziałem twardo. - Policja nic jeszcze nie wie o Steinerze. Przywiozłem Carmen do domu i nie puściłem pary z ust. Chciałem dać wam chwilę wytchnienia. To mnie stawia w kłopotliwej sytuacji. Musi pan wykonać swoją część roboty.

Przytaknął powoli, ciężko.

- Taaak, zrobię, co pan każe, cokolwiek pan każe.

- Proszę zdobyć pieniądze - powiedziałem. - Niech pan je przygotowuje na wypadek telefonu. Mam parę pomysłów i być może nie będzie pan musiał ich całkiem stracić. Ale na razie nie ma o czym mówić... Proszę zorganizować pieniądze, siedzieć na miejscu, z niczym się nie wrywać i trzymać język za zębami. Czy może pan to zrobić? Resztę biorę na siebie.

- Tak - odrzekł. - Boże, ale z pana dobry człowiek.

- Niech pan nie rozmawia z Carmen - ciągnąłem. - Im mniej będzie pamiętała z tej nocy, tym lepiej. Ta fotografia... - dotknąłem odwrotnej strony zdjęcia na biurku - wskazuje na to, że ze Steinerem jeszcze ktoś pracował. Musimy go dopaść, i to szybko, nawet gdyby miało to kosztować dziesięć tysięcy.

Podniósł się wolno.

- Drobiazg. To tylko forsa. Muszę ją teraz zdobyć. A potem pojedę do domu. Niech pan działa, jak pan uważa. Zastosuję się do pańskich poleceń.

Znowu chwycił mnie za rękę, potrząsnął nią i ociągając się wyszedł z mojego gabinetu. Słyszałem jego ciężkie kroki na schodach.

Szybko wypilem dwa drinki i obtarłem twarz.

VIII

Wolno jechałem moim chryslerem La Verne Terrace, pod górę, w kierunku domu Steinera.

W świetle dnia ujrzałem stromizną wzgórza i drewniane stopnie, po których uciekał morderca. Przy uliczce w dole, prawie tak wąskiej jak przejście między blokami, stały dwa budynki, ale dość daleko od domu Steinera. Wątpliwe, by w szumie ulewnego deszczu, ktoś stamtąd zwrócił uwagę na strzały.

W popołudniowym słońcu posesja Steinera wyglądała spokojnie. Nie malowane gonty na dachu były jeszcze mokre od deszczu. Drzewa po drugiej stronie ulicy zazieleniły się świeżymi liśćmi. Nigdzie żadnych samochodów.

Nagle za strzyżonym w prostokąty bukszpanowym żywopłotem skrywającym wejście do domu Steinera coś się poruszyło. W przejściu między krzewami zobaczyłem Carmen Dravec w zielono_białym płaszczu w kratkę, bez kapelusza. Zatrzymała się nagle i spojrzała na mnie błędnym wzrokiem, jakby nie usłyszała mego samochodu, po czym znowu zniknęła za żywopłotem. Pojechałem dalej i zaparkowałem przed opuszczonym domem.

Wysiadłem i wróciłem pieszo. W biały dzień miałem wrażenie, że stanowią doskonały cel, że narażam się na niebezpieczeństwo.

Przedostałem się przez żywopłot. Dziewczyna stała, wyprostowana i milcząca, w uchylonych drzwiach. Wolno uniosła dłoń do ust, a jej zęby zacisnęły się na dziwnie wygiętym kciuku, który wyglądał jak dodatkowy palec. Pod wystraszonymi oczami widniały ciemne, czerwono_czarne plamy.

Nic nie mówiąc, wepchnąłem ją do domu i zamknąłem drzwi. Staliśmy tak, zaglądając sobie głęboko w oczy. Powoli opuściła rękę i spróbowała się uśmiechnąć. Potem jej biała twarz zupełnie straciła wyraz. Wyglądała równie inteligentnie jak dno pudełka od butów.

- Spokojnie. Jestem przyjacielem. Usiądź na krześle przy biurku. Jestem znajomym twego ojca. Nie wpadaj w panikę - powiedziałem łagodnie.

Podeszła i usiadła na czarnym krześle z żółtą poduszką.

W świetle dziennym miejsce to wyglądało ponuro. Ciągle jeszcze wyczuwało się zapach eteru.

Carmen oblizwała końcem białawego języka kąciuki ust. Teraz jej oczy miały wyraz raczej głupawy i pełen zaskoczenia, nie było w nich strachu. Obracałem w palcach

papierosa. Potem odsunąłem kilka książek, by zrobić nieco miejsca i usiąść na skraju biurka. Zapaliłem i przez chwilę zaciągałem się wolno.

- Co tu robisz? - spytałem.

Nic nie odpowiedziała. Dotknęła tylko dłonią płaszcza.

- Pamiętasz coś z ostatniej nocy? - spróbowałem jeszcze raz.

Na to zareagowała.

- Nie rozumiem. Ostatniej nocy byłam chora, leżałam w domu. - Jej głos brzmiał tak cicho, że ledwie dotarł do moich uszu.

- A co się działo przedtem? - zagadnąłem. - Nie w domu, ale tutaj. Zanim cię odwiozłem.

Jej szyję oblał rumieniec, a źrenice rozszerzyły się.

- To... pan? - jęknęła i znowu zaczęła ssać ten dziwacznie wygięty kciuk.

- Tak, to ja. Co z tego wszystkiego pamiętasz?

- Czy pan jest z policji? - spytała.

- Nie. Powiedziałem ci przecież, że jestem znajomym twego ojca.

- Pan nie jest z policji?

- Nie.

W końcu dotarło to do niej. Westchnęła przeciągle.

- Ale... czego... czego pan chce?

- Kto go zabił?

Jej ramiona drgnęły pod kraciastym płaszczem. W twarzy jednak nie było widać większych zmian. Oczy popatrywały ukradkiem.

- A kto... kto jeszcze wie?

- O Steinerze? Nie wiem. Policja na pewno nie, bo już by tu ktoś był. Może Marty.

Wymierzony na oślepienie cios wydarł z jej piersi gwałtowny, przejmujący krzyk.

- Marty!

Przez chwilę milczeliśmy. Ja paliłem papierosa, a ona ssała swój kciuk.

- Nie bądź taka chytra - powiedziałem. - Czy Marty go zabił?

Broda opadła jej cał niżej.

- Tak.

- Dlaczego to zrobił?

- Ja... ja nie wiem - wyjąkała głucho.

- Często się z nim ostatnio spotykałaś?

Jej dłonie zacisnęły się.

- Raz czy dwa.
- Wiesz, gdzie on mieszka?
- Tak! - prychnęła.
- O co chodzi? Wydawało mi się, że lubisz Marty'ego.
- Nienawidzę go! - prawie krzyknęła.
- Zatem chciałabyś go przygwoździć - stwierdziłem.

Nie zrozumiała. Musiałem więc wyjaśnić.

- Chcę powiedzieć, że chętnie doniosłabyś policji, że to był Marty.

W jej oczach pojawił się nagle paniczny strach.

- Jeżeli załatwię sprawę tej fotografii - dodałem uspokajająco.

Zachichotała.

To było nieprzyjemne uczucie. Gdyby zaczęła wrzeszczeć, gdyby zbladła lub nawet zemdląca - każdą z tych reakcji uznałbym za zupełnie naturalną. Ale ona po prostu chichotała.

Nie mogłem znieść jej widoku. Już samo patrzenie na nią powodowało, że czułem się ogłupiały.

Chichot trwał, obiegił pokój jak stado szczurów. W końcu stał się histeryczny.

Wstałem, podszedłem i uderzyłem ją w twarz.

- Dokładnie tak jak ostatniej nocy - powiedziałem.

Chichot ustał od razu. Znowu ssała kciuk. Najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, że uderzyłem ją w twarz. Ponownie usiadłem na skraju biurka.

- Przysłaś tu po kliszę ze zdjęciem w stroju Ewy? - spytałem.

Jej broda podniosła się i opadła.

- Za późno. Szukałem jej w nocy. Zniknęła. Ma ją prawdopodobnie Marty. Nie nabierasz mnie, jeśli idzie o Marty'ego?

Energicznie pokręciła głową. Powoli wstała z krzesła. Oczy miała czarne jak tarnina i zwężone, a spojrzenie płytkie niczym muszla ostrygi.

- Pójdę już - oznajmiła, jakby chodziło o wypicie filiżanki herbaty.

Podeszła do drzwi i właśnie wyciągała rękę, by je otworzyć, gdy przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Ktoś wysiadł.

Spojrzała na mnie przerażona.

W drzwiach stanął jakiś mężczyzna.

IX

Był to facet o wąskiej twarzy, w brązowym garniturze i czarnym filcowym kapeluszu. Mankiet lewego rękawa miał podwinięty i dużą czarną agrafką przypięty do marynarki. Zdjął kapelusz, zamknął drzwi, popychając je barkiem, spojrzął na Carmen i uśmiechnął się uprzejmie. Miał krótkie, przyлизane, czarne włosy i wychudłą twarz. Znakomicie pasował do swego stroju. I nie wyglądał na twardziela.

- Nazywam się Guy Slade - powiedział. - Proszę mi wybaczyć tak bezceremonialne wejście. Dzwonek nie działa. Czy Steiner jest w domu?

Nieprawda - nie próbował dzwonić. Carmen spojrziała nań z zakłopotaniem, potem na mnie, a później znów na niego. Oblizwała wargi, lecz nie odezwała się.

- Nie ma Steinera, panie Slade - odrzekłem. - Nie wiemy, gdzie jest.

Skinął głową i krawędzią kapelusza dotknął swej długiej brody.

- Jesteście jego znajomymi?

- Właściwie wpadliśmy po książkę - poinformowałem go, odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech. - Drzwi były uchylone. Zapukaliśmy, a potem weszliśmy do środka. Dokładnie tak jak pan.

- Rozumiem - z namysłem stwierdził Slade. - To proste.

Milczałem. Carmen też nic nie powiedziała. Patrzyła w skupieniu na jego pusty rękaw.

- Po książkę, co? - kontynuował Slade.

Sposób, w jaki wyrzekł te słowa, wiele mi powiedział. Człowiek być może orientował się w machinacjach Steinera.

Podszedłem do drzwi.

- Tylko że pan nie zapukał - zauważyłem.

Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

- Zgadza się. Powinienem był to zrobić. Przepraszam.

- Pójdziemy już - oznajmiłem niedbale. Wziąłem Carmen za rękę.

- Przekazać coś Steinerowi, gdy wróci? - cicho spytał Slade.

- Nie będziemy panu zawracać głowy.

- To fatalnie - odparł znacząco.

Puściłem rękę Carmen i wolno odsunąłem się od niej na krok. Slade ciągle trzymał kapelusz w dłoni. Nawet nie drgnął. Jego głęboko osadzone oczy zaiskrzyły się figlarnie.

Otworzyłem drzwi.

- Dziewczyna może iść - powiedział Slade. - Ale z panem chciałbym jeszcze trochę porozmawiać.

Spojrzałem na niego, siłąc się na obojętność.

- Grandziarz, co? - rzucił Slade.

Usta Carmen wydały nagle jakiś dźwięk i dziewczyna wybiegła. Usłyszałem, jak pędzi gdzieś w dół. Nie widziałem wcześniej jej samochodu, domyślałem się tylko, że jest w pobliżu.

- Co, do cholery... - zacząłem.

- Proszę sobie darować - przerwał mi zimno Slade. - Tu się dzieje coś niedobrego. I zaraz się dowiem, o co chodzi. Zaczął spacerować po pokoju, krokiem niedbałym, zbyt niedbałym. Nachmurzył się, na mnie nie zwracał specjalnie uwagi. I to mi dało do myślenia. Szybko wyrząłem przez okno, ale nie zobaczyłem nic oprócz dachu jego samochodu za żywopłotem.

Zauważył pękatą karafkę i dwie wąskie purpurowe szklanki na biurku. Powąchał jedną z nich. Uśmiech zdegustowania wykrzywił jego wargi.

- Wszawy rajfur - powiedział oschle.

Rzucił okiem na książki, dotknął jednej czy dwóch, obszedł biurko i stanął przed słupem totemicznym. Przyjrzał mu się. A potem skierował wzrok na podłogę, na cienki dywanik, który zakrywał miejsce, gdzie leżało ciało Steinera. Odsunął go butem i nagle zeszywniał.

To była dobra gra albo Slade miał nosa. Tego mi brakowało w mojej pracy. Nie wiedziałem jeszcze na pewno, co to jest, ale zastanawiałem się nad tym intensywnie.

Powoli ukląkł na podłodze i prawie zniknął za biurkiem.

Wtedy wyciągnąłem pistolet spod pachy. Schowałem ręce za siebie i oparłem się o ścianę.

Powietrze rozdarł ostry, krótki krzyk, a potem Slade skoczył na nogi. Jego ręka błyskawicznie wykonała zręczny ruch i nagle znalazł się w niej duży, czarny luger. Stałem bez ruchu. Slade trzymał broń w długich, cienkich palcach, ale nie celował we mnie, nie celował w nic konkretnego.

- Krew - powiedział cicho i posepnie, a jego głęboko osadzone oczy zrobiły się czarne i zawzięte. - Krew na podłodze pod dywanem. Mnóstwo krwi.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

- Zauważyłem. To stara krew, zaschnięta.

Opadł bokiem na krzesło przy biurku Steinera i przyciągnął lugerem telefon. Spojrzał groźnie na aparat, a potem na mnie.

- Myślę, że wezwiemy policję - stwierdził.

- To mi odpowiada.

Oczy Slade'a zwięzły się, spojrzenie nabrało nieugiętości. Nie spodobało mu się, że wyraziłem zgodę. Warstewka ogłady zniknęła, pozostał elegancko ubrany twardziel z lugerem. I wszystko wskazywało na to, że potrafi go używać.

- A kim pan, do cholery, jest? - warknął.

- Prywatnym detektywem. Nazwisko nie ma znaczenia. Dziewczyna jest moją klientką. Steiner szantażował ją. Przyszliśmy porozmawiać. Ale go nie było.

- Po prostu weszliście?

- Zgadza się. Bo co? Sądzi pan, że zabiliśmy Steinera, panie Slade?

Uśmiechnął się lekko, lecz nie rzekł słowa.

- A może pan uważa, że Steiner zabił kogoś i uciekł? - zasugerowałem.

- Steiner nikogo nie zabił - odparł Slade. - Miał tyle odwagi, co chory kot.

- Nikogo pan tu nie widzi, prawda? - powiedziałem. - A może Steiner jadł na obiad kurczaki, a lubił zabijać je w salonie.

- Nie rozumiem... nie wiem, w co pan gra.

Uśmiechnąłem się.

- Proszę bardzo, może pan zawołać swoich kolegów z przedmieścia. Tyle że - jak sądzę - nie spodoba się panu odpowiedź, jaką pan otrzyma.

Gdy się nad tym zastanawiał, nie drgnął mu ani jeden mięsień. Zacisnął wargi.

- Dlaczego? - zapytał w końcu ostrożnie.

- Wiem, kim pan jest, panie Slade - rzuciłem. - Prowadzi pan Aladdin Club w Palisades. Gangsterski hazard. Przyćmione światła, stroje wieczorowe, a z boku bufet, gdzie można zjeść kolację. Zna pan Steinera wystarczająco dobrze, by wchodzić bez pukania. Jego machlojki potrzebowały od czasu do czasu jakiegoś wsparcia. I pan mógł mieć w tym swój udział.

Palce Slade'a zacisnęły się na lugerze i zaraz rozluźniły uchwyt. Położył broń na biurku, lecz nie wypuścił jej z ręki. Jego usta wykrzywił grymas zaciekłości.

- Ktoś dorwał się do Steinera - powiedział cicho. Głos i wyraz twarzy sprawiały wrażenie należących do dwóch różnych osób. - Nie przyszedł dzisiaj do sklepu. Nie odbierał telefonów. Wpadłem, żeby sprawdzić...

- Miło mi słyszeć, że pan sam nie zastrzelił Steinera - oznajmiłem.

Luger znowu znalazł się w powietrzu, tym razem jednak wycelowany został w moją pierś.

- Niech pan to odłoży, Slade - powiedziałem. - Jeszcze za mało pan wie, żeby odwalić kitę. To dla mnie żadna nowość, że człowiek nie jest kuloodporny. Proszę odłożyć broń. Coś panu powiem, bo może pan o tym nie wie. Ktoś dzisiaj zabrał książki Steinera ze sklepu, te, na których robił swoje prawdziwe interesy.

Slade po raz drugi położył lugera na biurku. Odchylił się, a jego twarz przybrała wyraz uprzejmości.

- Słucham - powiedział.

- Ja też uważam, że ktoś dobrał się do Steinera - przyznałem. - Myślę, że to jego krew. A wyniesienie książek ze sklepu może stanowić motyw usunięcia stąd jego ciała. Ktoś przejmuje interes i nie chce, żeby znaleziono go przedwcześnie. Ktokolwiek to uczynił, powinien być zmyć krew.

Slade słuchał uważnie. Jego ściągnięte mocno brwi rysowały się wyraźnie na tle białego czoła.

- Zabicie Steinera dla przejęcia jego interesów - ciągnąłem - to kiepski numer i wcale nie mam pewności, że tak właśnie się stało. Jestem jednak całkowicie przekonany, że ktoś, kto zabrał książki, wie o tym i że ta blondyna w sklepie okropnie się czegoś boi.

- Coś więcej? - spytał oschle Slade.

- Na razie nic. Jest jeszcze coś, co chciałbym wytropić. Jeśli mi się uda, powiem panu. I to będzie pański zysk.

- Byłoby lepiej zająć się tym od razu - powiedział. Ściągnął wargi i gwizdnął ostro dwa razy.

Poderwałem się. Na zewnątrz trzasnęły otwierane drzwi samochodu. Usłyszałem kroki.

Wyciągnąłem zza pleców pistolet. Twarz Slade'a drgnęła, a dłoń ruszyła do leżącego przed nim lugera, poszukując kolby.

- Nie dotykaj tego! - ostrzegłem.

Stał sztywno, pochylony, z ręką na broni, ale jeszcze nie w garści. Skoczyłem za niego i odwróciłem się, gdy do pokoju wpadło dwóch mężczyzn.

Jeden z nich miał krótkie rude włosy, białą, pobrużdżoną twarz i niespokojne oczy. Drugi był typem boksera - całkiem przystojnym, jeśli nie liczyć spłaszczonego nosa i grubego jak kotlet ucha. Żaden z przybyłych nie wyciągnął broni. Zatrzymali się i patrzyli.

Stałem za Slade'em. Slade, pochylony nad biurkiem, ani drgnął.

Usta boksera rozchyliły się z głośnym warknięciem, ukazując ostre, białe zęby. Rudy wyglądał na roztrzęsionego i wystraszonego.

Slade miał wiele odwagi.

- Ten łajdak zabił Steinera, chłopcy. Brać go! - powiedział cicho, lecz bardzo wyraźnie.

Rudy zagryzł dolną wargę i sięgnął pod lewe ramię. Nie zdążył.

Byłem gotów. Trafiłem go w prawe ramię, choć niezbyt tego chciałem. W zamkniętym pomieszczeniu wystrzał narobił strasznego hałasu. Wydawało mi się, że słyhać go w całym mieście. Rudy upadł, zwinął się i zaczął wierzgać, jakby dostał w brzuch.

Bokser nawet nie drgnął. Prawdopodobnie wiedział, że jego ręka nie jest dość szybka.

Za to Slade chwycił lugera i zaczął się obracać. Zrobiłem krok i zderzyłem go tuż za uchem. Runął na biurko, a luger wypalił w rząd książek.

- Nie cierpię walić jednorękiego z tyłu. I nie lubię się popisywać. Zmusiłeś mnie do tego, Slade - stwierdziłem, mimo że biedny Slade nie mógł mnie słyheć.

- Okay, koleś. Co dalej? - szczerząc zęby zapytał bokser.

- Chciałbym stąd wyjść, o ile dałoby się to zrobić bez strzelania. Albo mogę zaczekać na gliniarzy. Bez różnicy.

Rozwazał moje słowa spokojnie. Rudy jęczał na podłodze. Slade leżał bez ruchu.

Po chwili bokser wolno podniósł dłonie i położył na karku.

- Nie wiem, o co idzie, ale gównu mnie to obchodzi, dokąd pójdiesz i co zrobisz, gdy się stąd wyniesiesz. Nie ja wybrałem to miejsce na strzelaninę. Spływaj! - powiedział oschle.

- Mądry chłopczyk. Masz więcej rozumu niż twój szef.

Wyślizgnąłem się zza biurka i skierowałem ku otwartym drzwiom. Bokser obracał się powoli, patrząc na mnie i trzymając ręce na karku. Na jego twarzy dostrzegłem wymuszony, lecz prawie życzliwy grymas.

Dopadłem drzwi, przemknąłem przez lukę w żywopłocie i ruszyłem pod górę, spodziewając się trochę nadlatującego ołowiu. Ale nie nadleciał.

Wskoczyłem do chryslera i wystartowałem ostro. Wjechałem na szczyt wzgórza i czym prędzej opuściłem nieprzyjazną okolicę.

Gdy stanąłem naprzeciwko bloku mieszkalnego na Randall Place, było już po piątej. W niektórych oknach paliło się światło, a z radioodbiorników dobiegała kakofonia najrozmaitszych dźwięków. Wjechałem automatyczną windą na trzecie piętro. Mieszkanie numer 305 znajdowało się na końcu długiego korytarza, z zielonym chodnikiem na podłodze i płytkami koloru kości słoniowej na ścianach. Poczulem chłodny powiew idący od otwartych drzwi w stronę wyjścia bezpieczeństwa.

Przy drzwiach z numerem 305 znajdował się kremowy przycisk. Nacisnąłem go.

Po dłuższej chwili jakiś mężczyzna uchylił je, może na stopę. Był szczupły, długonogi, miał brązowe oczy i bardzo brązową twarz. Sztywne włosy przykrywające tył głowy znacznie podwyższały jego brązowe czoło. Obrzucił mnie bezosobowym spojrzeniem.

- Steiner? - spytałem.

W wyrazie twarzy mężczyzny nic się nie zmieniło. Wyjął skądś papierosa i włożył go wolno pomiędzy wąskie brązowe wargi. Kłęb dymu poszybował w moim kierunku, a za nim powolne, pozbawione modulacji słowa.

- Jak pan powiedział?

- Steiner. Harold Hardwicke Steiner. Facet, który ma książki.

Mężczyzna skinął głową. Bez pośpiechu zastanawiał się nad moją uwagą, zerkając na koniec swego papierosa.

- Chyba go znam - powiedział. - Ale on tu nie bywa. Kto pana przysłał?

Odpowiedziałem uśmiechem. To mu się nie spodobało.

- Pan jest Marty? - spytałem.

Brązowa twarz stężała.

- Bo co? Ma pan interes, czy tylko się zabawia?

Niedbale przesunąłem lewą stopę, tak by nie mógł zatrzęsnać drzwi.

- Pan ma książki - powiedziałem. - A ja mam spis frajerów. Możemy to omówić?

Marty nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. Prawa ręka znów zniknęła za drzwiami, a ramię wyglądało tak, jakby wykonywał nią jakieś ruchy. W pokoju, za jego plecami, usłyszałem jakiś słaby, bardzo słaby dźwięk. Brzęknęło na rurce kółko od zasłony.

Po chwili szeroko otworzył drzwi.

- Czemu nie? Jeśli pan uważa, że ma coś interesującego - powiedział chłodno.

Minąłem go i wszedłem do przyjemnego pokoju z kilkoma przyzwoitymi meblami. Francuskie okna wychodziły na podnóża okrytych purpurą zapadającego zmierzchu

wzgórz. Drzwi bliżej okien były zamknięte. Drugie, bliżej wejścia, kryła zawieszona na mosiężnej rurce zasłona.

Usiadłem na kanapie pod ścianą, na której nie było żadnych drzwi. Marty zamknął drzwi wejściowe i podszedł bokiem do wysokiego dębowego sekretarzyka nabijanego kwadratowymi ćwiekami. Na niższym jego poziomie leżało cedrowe pudełko cygar ze złotymi zawiasami. Marty wziął je i nie spuszczając ze mnie wzroku, zaniósł na niski stolik przy fotelu. Siadł w nim wygodnie.

Położyłem kapelusz obok siebie, rozpiąłem górny guzik marynarki i uśmiechnąłem się pojednawczo.

- Zatem... słucham - powiedział.

Zgasił papierosa, podniósł wieczko i wyjął dwa grube cygara.

- Może cygaro? - zaproponował niedbale i rzucił mi je.

Wyciągnąłem rękę i to mnie zgubiło. Marty cisnął drugie z powrotem do pudełka i błyskawicznie wy dobył rewolwer.

Grzecznie spojrzałem na broń. To był czarny policyjny colt, kaliber 38. W tej chwili nie mogłem mu przeciwstawić żadnego argumentu.

- Wstań na moment - polecił Marty. - Podejdź jakieś dwa jardy. Po drodze możesz zaczerpnąć trochę powietrza. - Jego głos był zdecydowanie obojętny.

W środku wszystko się we mnie gotowało, ale wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

- Nie jest pan oryginalny. Spotkałem dziś faceta, który też myślał, że jak sięgnie po rewolwer, to złapie pana Boga za nogi. Proszę go odłożyć. Pogadajmy.

Marty ściągnął brwi i lekko wysunął brodę. W jego brązowych oczach odbiło się lekkie zakłopotanie.

Spoglądaliśmy na siebie. Nie patrzyłem na czubek czarnego pantofla, który wystawał zza zasłony po mojej lewej stronie, naprzeciwko drzwi wejściowych.

Marty miał na sobie granatowy garnitur, niebieską koszulę i czarny krawat. Jego brązowa twarz wyglądała ponuro na tle tych ciemnych barw.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - zaczął cichym, powolnym głosem. - Nie jestem twardzielem, to tylko ostrożność. Nic o panu nie wiem. Równie dobrze może pan być mordercą.

- Raczej nie grzeszy pan ostrożnością - odrzekłem. - Ten numer z książkami był kiepski.

Odetchnął głęboko i wolno wypuścił powietrze. Potem odchylił się, założył nogę na nogę i oparł colta na kolanie.

- Proszę nie mieć złudzeń, że go nie użyję. Zrobię to, jeśli będę musiał. Z czym pan przychodzi?

- Niech pan powie swej przyjaciółce w spiczastych butach, żeby wyszła - powiedziałem. - Przecież męczy się, wstrzymując oddech.

- Wychodź, Agnes - nie odwracając głowy zawołał Marty.

Zasłona na drzwiach rozsunęła się i dołączyła do nas zielonooka blondynka ze sklepu Steinera. Jej widok zbytnio mnie nie zdziwił. Spojrzała na mnie z goryczą.

- Od razu wiedziałam, że z panem mogą być kłopoty - odezwała się do mnie gniewnie. - Mówiłam Joemu, że powinien uważać.

- Daj spokój - rzucił Marty. - Joe i tak ma się na bacności. Włącz światło, żebym lepiej widział, strzelając do tego gościa, gdy zajdzie taka potrzeba.

Blondynka zapaliła dużą stojącą lampę z czerwonym abażurem. Usiadła pod nią w wielkim welurowym fotelu, z tym samym bolesnym uśmiechem na twarzy. Była wręcz nieprzytomnie wystraszona.

Przypomniałem sobie o trzymanym w ręku cygarze, więc włożyłem je do ust. Kiedy wyciągałem zapalki i przypalałem sobie, colt Marty'ego mierzył dokładnie we mnie.

- Spis frajerów, o którym mówiłem, jest zaszyfrowany - zacząłem, wydmuchując szary obłok dymu. - Nie umiem go jeszcze odczytać, ale nazwisk jest około pięciuset. Pan ma dwanaście pudeł książek, powiedzmy - trzysta sztuk. W obrocie będzie ich trochę więcej. Szacując ostrożnie - pięćset. Jeśli spis jest dobry, mógłby pan puścić w obieg wszystkie, a to dałoby ćwierć miliona wypożyczeń. Cenę jednego wypożyczenia można ustalić stosunkowo niską, na przykład - dolar. Trochę mało, ale niech będzie jeden dolar. W dzisiejszych czasach to daje kupę forsy. Dość, by warto się było skusić.

- Będiesz szaleńcem, jeśli... - zaskamlała blondynka.

- Zamknij się! - skarcił ją Marty.

Zrezygnowana, znów oparła głowę o zagłówek. Na jej twarzy malowało się napięcie.

- To nie jest interes dla próżniaków - ciągnąłem. - Musi pan zdobyć zaufanie i utrzymać je. Osobiście uważam szantaż za wielki błąd. Jestem za tym, by to wszystko rozwinąć.

Ciemne, brązowe oczy Marty'ego przyglądały się zimno mojej twarzy.

- Zabawny z pana facet - wycedził słodkim głosem. - Kto ma ten wspaniały interes?

- Pan - odrzekłem. - Prawie.

Marty milczał.

- Zastrzelił pan Steinera, żeby przejąć jego działkę - powiedziałem. - Ostatniej nocy, gdy padał deszcz. Świetna pogoda do strzelania. Kłopot jednak w tym, że on nie był sam, kiedy to się stało. I albo pan tego nie zauważył, albo się pan wystraszył. Wybiegł pan. Ale starczyło panu zimnej krwi, by wrócić, ukryć gdzieś ciało i zgarnąć książki, nim cała sprawa wyjdzie na jaw.

Blondynka wydała jakiś zduszony dźwięk, a potem odwróciła twarz do ściany. Srebrne paznokcie zacisnęły się w drobnych dłoniach. Przygryzła mocno wargę.

Marty nawet nie mrugnął. Nie poruszył się, colt w jego ręku również pozostał na swoim miejscu. Brązowa twarz sprawiała wrażenie drewnianej rzeźby.

- Człowieku, ależ pan ryzykuje - powiedział w końcu cicho. - Ma pan cholerne szczęście, że to nie ja zabiłem Steinera.

Uśmiechnąłem się do niego, bez szczególnego wdzięku.

- I tak można pana w to wrobić - powiedziałem.

Głos Marty'ego zabrzmiał jak suchy szelest.

- Sądzi pan, że mnie pan ma?

- Jak najbardziej.

- Niby dlaczego?

- Jest ktoś, kto tak będzie świadczył.

W tym momencie Marty nie wytrzymał.

- Ta pieprzona mała...! Zrobiłaby to, niech ją cholera!

Nic nie powiedziałem. Pozwoliłem mu przełknąć tę gorzką pigułkę. Jego twarz powoli się rozchmurzyła. Położył colta na stole, ale dłoń trzymał w pobliżu.

- Nie wygląda pan na kombinatora, o ile się na tym znam - powiedział wolno, a jego oczy błysnęły spod ciemnych przymrużonych powiek. - Poza tym nie widzę tu żadnych glin. O co panu chodzi?

Zaciągnąłem się dymem cygara i popatrzyłem na jego spoczywającą obok broni dłoń.

- O kliszę, która była w aparacie Steinera. I wszystkie odbitki, jakie zostały zrobione, tu i teraz. Pan to wszystko ma, bo tylko w ten sposób mógł się pan dowiedzieć, kto tam był ostatniej nocy.

Marty powoli obrócił głowę, by spojrzeć na Agnes. Jej twarz ciągle była odwrócona do ściany, a paznokcie nadal wpijały się w dłonie. Potem znów popatrzył na mnie.

- Pudło, chłopie - rzekł.

Pokręciłem głową.

- Nie. Jest pan zbyt głupi, by się wymigać, Marty. Z łatwością można pana przymknąć za morderstwo. To proste. Jeżeli dziewczyna będzie musiała opowiedzieć swą historyjkę, fotografie nie będą miały żadnego znaczenia. Tylko że ona nie chce jej nikomu opowiadać.

- Czy pan jest detektywem? - spytał.

- Tak.

- Jak pan do mnie dotarł?

- Pracowałem nad Steinerem. On pracował nad Dravekiem. Dravec przepuszcza pieniądze. Pan ma ich część. Przyjechałem spod sklepu Steinera. Za tymi książkami. Reszta była prosta, gdy dziewczyna wszystko mi opowiedziała.

- Czy ona twierdzi, że to ja zastrzeliłem Steinera?

Skinąłem głową.

- Ale może się mylić - dodałem.

Marty westchnął.

- Ona okropnie mnie nie lubi - powiedział. - Wyprosiłem ją za drzwi. Zapłacono mi za to, choć i tak bym to uczynił. Jest dla mnie zbyt ekscentryczna.

Podniósł się wolno, zerknął na colta i włożył go do kieszeni. Potem jego dłoń powoli powędrowała ku kieszonce na piersi.

Ktoś nacisnął guzik brzęczyka przy drzwiach i nie puszczał.

XI

Nie spodobało się to Marty'emu. Zagryzł dolną wargę, a końce jego brwi opadły.

Brzęczenie nie ustawało.

Blondynka podniosła się. Napięcie uczyniło jej twarz starą i brzydką.

Nie przestając mnie obserwować, Marty wyszarpnął szufladkę z wysokiego sekretarzyka, a z niej nieduży automatyczny pistolet z białą rękojeścią. Wyciągnął go w stronę blondynki. Podeszła i ostrożnie, z wyraźną odrazą wzięła broń.

- Siądź obok tajniaka - sapnął. - Trzymaj go na muszce. A jeśli będzie się wyglupiał, poczęstuj go ołowiem.

Blondynka zajęła miejsce na kanapie jakieś trzy stopy ode mnie, dalej od drzwi. Wycelowała broń w moją nogę. Nie podobało mi się rozdygotane spojrzenie jej zielonych oczu.

Brzęczyk umilkł i ktoś zaczął lekko, niecierpliwie pukać. Marty przeszedł przez pokój i otworzył. Prawą dłoń wsunął do kieszeni marynarki, a lewą gwałtownym szarpnięciem odemknął drzwi.

Carmen Dravec wepchnęła go do pokoju lufą małego rewolweru wycelowaną w jego brązową twarz.

Marty cofał się grzecznie i cicho. Z otwartymi ustami i paniką w oczach. Znał Carmen bardzo dobrze.

Dziewczyna zamknęła drzwi, a potem ruszyła naprzód ze swoim małym rewolwerem. Patrzyła wyłącznie na Marty'ego i chyba nie widziała nikogo innego. Jej twarz miała wyraz otumanienia.

Blondynka zadrżała na całym ciele i uniosła broń, celując w kierunku Carmen. Błyskawicznie złapałem ją za rękę i kciukiem przytrzymałem bezpiecznik. Nastąpiła krótka szamotanina, lecz ani Marty, ani Carmen nie zwrócili na nią uwagi. Wówczas odebrałem Agnes pistolet. Ciężko dysząc, patrzyła na Carmen Dravec.

- Oddaj zdjęcia - zażądała Carmen, spoglądając na Marty'ego zamglonymi od narkotyków oczami.

Marty przełknął z trudem ślinę, próbując uśmiechnąć się do niej.

- Jasne, malutka, jasne - powiedział cicho i bezbarwnie, tonem zupełnie innym niż ten, którym rozmawiał ze mną.

Carmen wydawała się niemal tak samo oszalała, jak wówczas gdy siedziała w fotelu Steinera. Panowała jednak nad swoim głosem i zachowaniem.

- Zabiłeś Hala Steinera - oświadczyła.

- Zaczekaj, Carmen! - wrzasnąłem.

Carmen nie odwróciła głowy.

Blondynka nagle ożywiła się. Zaatakowała głową, jakby chciała mnie staranować, i zatopiła zęby w mojej prawej dłoni, w tej, w której trzymałem pistolet.

Jęknąłem. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Posłuchaj, dziecino. To nie ja... - powiedział Marty.

Blondynka puściła moją rękę i splunęła na mnie moją własną krwią. Potem rzuciła się na moją nogę i znów usiłowała ugryźć. Stuknąłem ją lekko lufą pistoletu w głowę i spróbowałem się podnieść. Stoczyła się do moich stóp i chwyciła dłońmi za kostki. Opadłem na kanapę. Szaleńczy strach dodawał jej sił.

Marty sięgnął lewą ręką po rewolwer Carmen, ale się spóźnił. Jej broń wydała tępy, głuchy, niezbyt głośny dźwięk. Pocisk minął Marty'ego i roztrzaskał jedną z szyb francuskiego okna.

Marty znowu znieruchomiał. Wyglądał tak, jakby wszystkie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

- Zanurkuj i powal ją, ty cholerny głupcze! - krzyknąłem.

Potem jeszcze raz uderzyłem blondynkę w głowę, tym razem o wiele mocniej, więc zsunęła się z mych stóp. Wyswobodziłem się.

Marty i Carmen ciągle stali naprzeciw siebie, jak dwa posągi.

Nagle w drzwi uderzyło od zewnątrz coś bardzo ciężkiego i dużego. Pękły na ukos od góry do dołu.

To ocuciło Marty'ego. Wyszarpnął colta z kieszeni i odskoczył. Strzeliłem, celując w jego prawe ramię, bo nie chciałem go zbyt ciężko zranić, ale chybiłem. To wielkie coś znowu walnęło w drzwi z taką siłą, że wydawało się, iż zadrżał w posadach cały budynek.

Rzuciłem mały automat i wyciągałem właśnie swoją broń, gdy do środka wpadł Dravec, razem z rozwalonymi drzwiami.

Był pijany z wściekłości, oszalały. Wymachiwał wielkimi dłońmi, oczy mu płonęły, dzikie i przekrwione, a na wargach miał pianę.

Zdzielił mnie potężnie w skroń, nawet na mnie nie spojrzawszy. Poleciałem na ścianę między kanapę i rozwalone drzwi.

Potrząsałem głową, starając się odzyskać równowagę, gdy nagle Marty zaczął strzelać.

Coś szarpnęło do tyłu marynarkę Draveca, jakby kula przeszła na wylot. Potknął się, ale natychmiast się wyprostował i ruszył jak byk.

Wycelowałem i strzeliłem do Marty'ego. Rzuciło nim, ale jego colt już podskakiwał i pluł ołowiem. Kiedy znalazł się między nami Dravec, a Carmen została zmieciona z drogi jak zeschnięty liść, nikt już nie mógł nic poradzić.

Pociski Marty'ego nie były w stanie powstrzymać Draveca. Nic go nie mogło pohamować. Dostałby Marty'ego nawet martwy.

Gdy chwycił Marty'ego za szyję, ten rzucił mu bezużyteczną już broń prosto w twarz. Odbiła się jak gumowa piłka. Marty wrzasnął przeraźliwie. Dravec, trzymając przeciwnika za gardło, z łatwością podniósł go do góry.

Przez chwilę Marty usilnie próbował złapać Draveca za nadgarstki. Coś ostro trzasnęło i ręce Marty'ego opadły bezwładnie. Rozległ się jeszcze jeden, tym razem bardziej głuchy trzask. Na krótko przedtem, nim Dravec puścił szyję Marty'ego, zobaczyłem, że jego twarz robi się purpurowo_czarna. Mimo woli przypomniałem sobie, że ludzie, którym skręca się kark, czasami przed śmiercią połykają własny język.

Marty upadł w rogu pokoju, a Dravec zaczął się cofać - jak człowiek tracący równowagę, który nie czuje pewnego gruntu pod stopami. Zrobił jeszcze cztery chwiejne kroki, po czym zwałił się na plecy i legł na podłodze z szeroko rozrzuconymi rękami.

Z ust Draveca buchnęła krew. Wywrócone ku górze oczy zaszyły mgłą.

Carmen kucnęła przy nim i zaczęła skamleć niczym wystraszone zwierzę.

Z korytarza dobiegł jakiś hałas, ale w drzwiach nikt się nie pojawił. Nic dziwnego, jeszcze przed chwilą latało tu zbyt wiele kawałków ołowiu.

Podszedłem szybko do Marty'ego, schyliłem się i włożyłem rękę do kieszeni na jego piersi. Wyjąłem grubą kwadratową kopertę, w której było coś sztywnego, twardego.

Gdzieś z daleka w wieczornym powietrzu niósł się słaby jęk syreny, z każdą jednak chwilą coraz głośniejszy. Jakiś człowiek o białej twarzy ostrożnie wetknął głowę w drzwi. Klęknąłem obok Draveca.

Próbował coś powiedzieć, lecz nie usłyszałem ani słowa. Chwilę później stężyły wzrok osłabł i odpłynął, oczy zdawały się teraz spoglądać gdzieś daleko, przez szeroką równinę.

- Był pijany. Zmusił mnie, bym powiedziała, dokąd idę. Nie wiedziałam, że mnie śledzi - z kamienną twarzą wyznała Carmen.

- I tak byś nie zauważyła - odrzekłem oschle.

Podniosłem się i rozdarłem kopertę. Było w niej kilka odbitek i szklany negatyw. Zmiażdżyłem go obcasem. Zacząłem drzeć fotografie. Strzępy rzucałem na podłogę.

- Teraz, dziecinko, wydrukują mnóstwo twoich zdjęć, powiedziałem - ale na pewno nie to.

- Nie wiedziałam, że on za mną pojechał - powtórzyła i zaczęła ssać kciuk.

Syrena na dole wyła już donośnie. Przenikliwy dźwięk przycichł, by umilknąć na dobre akurat w chwili, gdy kończyłem drzeć zdjęcia.

Stałem nieruchomo na środku pokoju, zachodząc w głowę, po co się tak wysilałem. Ale teraz nie miało to już najmniejszego znaczenia.

XII

Guy Slade opierał się łokciem o brzeg wielkiego orzechowego stołu w gabinecie inspektora Ishama. W palcach niedbale trzymał zapalonego papierosa.

- Dzięki za to, że mi pan przyłożył, detektywie - powiedział, nie patrząc na mnie.

Zmrużył oczy w niemiłym uśmiechu.

Siedziałem przy długim stole, naprzeciwko Ishama. Isham był kościsty i szary, na nosie miał okulary. Nie patrzył, nie działał i nie mówił jak gliniarz. Violets M'Gee i Grinnell, irlandzki detektyw o wesołych oczach, usadowili się na krzesłach z półokrągłymi oparciami pod oszkloną od góry ścianą, która oddzielała biuro od pokoju recepcyjnego.

- Wydało mi się, że znalazł pan tę krew zbyt szybko - zwróciłem się do niego. - Chyba byłem w błędzie. Proszę mi wybaczyć, panie Slade.

- A zatem sprawa wygląda tak, jakby jej w ogóle nie było. - Wstał, wziął ze stołu trzcinową laskę i rękawiczkę. - Czy to już wszystko, inspektorze?

- Na dzisiaj tak, Slade. - Głos Ishama był oschły, zimny, sardoniczny.

Slade zawiesił laskę na nadgarstku i otworzył drzwi. Wychodząc, uśmiechnął się przez ramię. Ostatnią rzeczą, na której spoczął jego wzrok, był pewnie mój kark, lecz ja już na Slade'a nie patrzyłem.

- Nie muszę chyba panu mówić, jak wydział policji zapatruje się na takie ukrywanie morderstwa - powiedział Isham.

Westchnąłem.

- Strzały - zacząłem. - Martwy człowiek na podłodze. Naga i naćpana dziewczyna w fotelu, nie mająca pojęcia o tym, co się stało. Morderca, którego nie mogłem złapać i którego wy też wówczas nie mogliście dopaść. A z drugiej strony - biedny, stary brutal, który stawał na głowie, żeby postąpić właściwie w beznadziejnej sytuacji. No, proszę, niech pan to zwali na mnie. Niczego nie żałuję.

Isham machnął na to wszystko ręką.

- Kto zabił Steinera?

- To blondyna panu powie.

- Ale ja chcę dowiedzieć się tego od pana.

Wzruszyłem ramionami.

- Jeżeli pan chce, żebym zgadywał... Kierowca Draveca, Carl Owen.

Isham nie wydawał się zbyt zaskoczony. Violets M'Gee chrząknął głośno.

- Z czego pan to wnioskuje? - spytał Isham.

- Przez moment myślałem, że to może Marty, po części dlatego, że tak powiedziała dziewczyna. Ale to nie ma sensu. Ona tego nie wiedziała i tylko skorzystała z okazji, by wbić mu nóż w plecy. A to charakterek, który niełatwo rezygnuje z raz podjętej decyzji. Tylko że Marty nie zachowywał się jak morderca. A ponadto ktoś tak opanowany jak on z pewnością nie uciekłby w ten sposób. Jeszcze nie zapukałem do drzwi, a morderca już zwiął. Oczywiście pomyślałem również o Sladzie. Ale to nie ten typ człowieka. Wziął ze sobą dwóch uzbrojonych ludzi i zrobił z tego awanturę. Poza tym Slade wyglądał na autentycznie zdziwionego, gdy na podłodze znalazł krew. Pracował ze Steinerem i miał na niego oko, ale go nie zabił. Nie miał powodu zabijać i nie zabiłby w taki sposób, w obecności świadka, nawet gdyby istniała jakaś przyczyna. Ale Carl Owen mógł to zrobić. Kiedyś był zakochany w dziewczynie i prawdopodobnie jeszcze mu nie przeszło. Mógł ją śledzić, dowiedzieć się, dokąd chodzi i co robi. Zasadził się na Steinera, zobaczył ten numer z fotografią i rozwalil mu łeb. A potem wpadł w panikę i zwyczajnie uciekł.

- Uciekł aż na molo w Lido i spadł z niego - powiedział sucho Isham. - Czy zapomniał pan, że ten Owen miał ranę na skroni?

- Nie - odrzekłem. - Nie zapominam, że tak czy owak Marty wiedział, co zawiera negatyw, albo był tego prawie pewny. To go skłoniło do pójścia tam, zabrania kliszy i ukrycia ciała Steinera w garażu.

- Przyprawdźcie tu Agnes Laurel, Grinnell - polecił Isham.

Grinnell podniósł się z krzesła, przemaszerował przez gabinet i zniknął za drzwiami.

- Palant z ciebie, dziecino - rzucił Violets M'Gee.

Nie spojrzałem na niego. Isham poskubywał jabłko Adama, przyglądając się paznokciom drugiej ręki.

Grinnell wrócił z blondynką. Miała rozwichrzone włosy. Zdjęła klipsy. Wyglądała na zmęczoną, ale już nie na wystraszoną. Usiadła wolno na krześle przy końcu stołu, na miejscu Slade'a, a dłonie o srebrnych paznokciach złożyła przed sobą.

- No dobrze, panno Laurel - powiedział cicho Isham. - Chcielibyśmy posłuchać teraz pani.

Dziewczyna spojrzała na swe ręce i zaczęła mówić cichym, opanowanym głosem.

- Znałam Joego Marty'ego mniej więcej od trzech miesięcy. Sądzę, że zaprzyjaźnił się ze mną, bo pracowałam dla Steinera. Wtedy myślałam, że mu się podobam. Powiedziałam mu o Steinerze wszystko, co mi było wiadomo. On już coś niecoś wiedział. Wydawał pieniądze, które dostał od ojca Carmen Dravec, ale się skończyły, więc szukał sobie czegoś innego. Uznał, że Steiner potrzebuje partnera. Obserwował go, by się

przekonać, czy przypadkiem nie ma jakiejś obstawy. Ostatniej nocy siedział w swym samochodzie, na tyłach domu Steinera. Usłyszał strzały, widział, jak ten chłopak zbiega po schodach, wskakuje do dużego sedana i odjeżdża. Pojechał za nim. W połowie drogi na plażę dogonił go i zepchnął z szosy. Chłopak wyskoczył z pistoletem, ale był rozdygotany, więc Joe mu przyłożył. Gdy Carl był nieprzytomny, Joe przeszukał go i dowiedział się, kim jest. A kiedy tamten odzyskał świadomość, Joe zaczął udawać gliniarza. Chłopak załamał się i wszystko opowiedział. Gdy Joe dumał, co z tym począć, chłopak doszedł do siebie, wypchnął go z samochodu i znowu zwiął. Jechał jak szalowiec, więc Joe dał mu spokój. Wrócił do domu Steinera. Myślę, że resztę już wiecie. Kiedy Joe wywołał negatyw i zobaczył, co ma, zdecydował się na szybki kant, żebyśmy mogli wyjechać z miasta, zanim sprawa Steinera ujrzy światło dzienne. Chcieliśmy zabrać trochę jego książek i założyć sklep w jakimś innym mieście.

Agnes Laurel skończyła.

- Marty mówił pani wszystko, prawda? - powiedział Isham, bębniąc palcami.

- Aha.

- I na pewno nie zamordował tego Carla Owena?

- Ja tam nie byłam. Ale Joe nie zachowywał się tak, jakby kogoś zabił.

Isham skinął głową.

- To na razie wszystko, panno Laurel. Będziemy potrzebowali oświadczenia na piśmie. Oczywiście musimy panią zatrzymać.

Dziewczyna wstała. Grinnell wyprowadził ją. Wychodząc, nie patrzyła na nikogo.

- Marty nie mógł wiedzieć, że Carl Owen nie żyje - powiedział Isham. - Ale był pewien, że zdoła się ukryć. Zanim byśmy go znaleźli, zgarnąłby forszę od Draveca i czmychnął stąd. Myślę, że relacja tej dziewczyny brzmi rozsądnie.

Wszyscy milczeli.

- Popęłnił pan jeden wielki błąd - zwrócił się po chwili do mnie Isham. - Nie powinien był pan wspominać dziewczynie o Martym, nim się pan nie upewnił, że to właśnie on. Całkiem niepotrzebnie zginęły dwie osoby.

- Mhm. Może więc lepiej wróć i zrobię to wszystko jeszcze raz - powiedziałem.

- Niech się pan nie wścieka.

- Nie wściekam się. Pracowałem dla Draveca i próbowałem zaoszczędzić mu bólu. Nie wiedziałem, że dziewczyna jest tak zwariowana i że Dravecowi odbije. Chciałem zdobyć te zdjęcia. Niewiele mnie obchodziły takie śmieci, jak Steiner, czy Joe Marty i jego przyjaciółka. I nadal mnie nie obchodzą.

- Okay, okay - znecierpliwiał się Isham. - Dzisiaj już pana więcej nie potrzebuję. Na rozprawie pewnie pan nieźle oberwie.

Wstał. Ja też. Wyciągnął rękę.

- Ale to tylko wyjdzie panu na dobre - dodał oschle.

Uścisnąłem mu dłoń i wyszedłem. M'Gee za mną. Zjechaliśmy windą, nie odezwawszy się słowem. Gdy opuściliśmy budynek, M'Gee podszedł do mojego chryslera z prawej strony i wsiadł.

- Masz coś do picia w swojej norze?

- Jak najbardziej - odparłem.

- No to jedźmy się napić.

Włączyłem silnik i pognaliśmy wzdłuż First Street przez długi, dudniący tunel.

- Spodziewam się, stary, że jak następnym razem podeśle ci klienta, nie będziesz musiał na niego donosić - powiedział M'Gee, gdy tunel mieliśmy już za sobą.

Jechaliśmy do Berglund. Był cichy, spokojny wieczór. Czulem się zmęczony, stary i nieszczególnie przydatny.

*Przełożył
Władysław J. Wojciechowski*

Będę czekać

Wybiła właśnie pierwsza w nocy, kiedy Carl, nocny portier w hotelu Windermere, zgasił ostatnie trzy lampy na stolikach w głównym hallu. Mrok odepchnął ściany na boki, a niebieski dywan zszarzał o ton lub dwa. Cienie rozsiadły się w fotelach, półmrok zasnuł kąty pajęczyną wspomnień.

Tony Reseck ziewnął, przechylił głowę na ramię i wsłuchał się w zmysłową muzykę dobiegającą zza zwieńczonego łukiem przejścia do pokoju po drugiej stronie hallu, gdzie stało radio. Zmarszczył brwi. Z reguły o tej porze tylko on go słuchał. Nikogo tam nie powinno być. Ta rudowłosa dziewczyna psuła mu nocny dyżur.

Po chwili jednak lekki uśmiech pojawił się w kącikach jego ust i wygładził czoło. Tony - niski, blady, brzuchaty mężczyzna w średnim wieku - rozsiadł się wygodnie. Jego długie, subtelne palce artysty, o lekko spłaszczonych, wypolerowanych do połysku paznokciach, zacisnęły się wokół kła łośia, przyczepionego do dewizki zegarka. To były ładne palce. Tony Reseck poruszył nimi delikatnie; nic nie mąciło pogody spojrzenia jego szarozielonych oczu.

Muzyka zaczęła go drażnić. Zmarszczka znów wróciła na czoło Tony'ego. Nie wypuszczając z palców łańcuszka od zegarka, z zadziwiającą gibkością wstał z fotela. Jeszcze przed sekundą wygodnie rozparty, chwilę potem stał doskonale nieruchomy. Niezbyt uważnemu obserwatorowi ruch ten mógł wydać się optycznym złudzeniem.

Małe, lśniące buty przemierzyły niebieski dywan i weszły do pokoju. Natężenie dźwięków stało się dokuczliwe. Narkotyczne brzmienie trąbki wybijało się ponad szalony, roztrzęsiony rytm jazzu. Radio grało zbyt głośno. Na kanapie, obłożona ze wszystkich stron poduszkami, siedziała, podkurczywszy nogi, rudowłosa dziewczyna i wpatrywała się we wzorzystą ścianę naprzeciwko, jakby widziała tam zespół muzyków - zawodowy grymas wykrzywiający ich twarze i pot spływający po karkach. Wyglądała niczym bukietik zawinięty w bibułkę.

Nie spojrzała na Tony'ego. Tkwiła nieruchomo, opierając zaciśniętą w pięść dłoń na brzoskwińowym kolanie. Miała na sobie piżamę z grubo tkanego jedwabiu, haftowaną w czarne kwiaty lotosu.

- Lubi pani Goodmana, panno Cressy?

Dziewczyna bez pośpiechu popatrzyła na niego. Widok jej ciemnych, fiołkowych oczu, wielkich oczu, które nie wyrażały niczego - nieomal sprawiał ból. Tak jak i twarz o klasycznych rysach.

Milczała.

Tony uśmiechnął się i powoli rozprostował palce.

- Lubi pani Goodmana, panno Cressy? - powtórzył miękko.

- Tak sobie - odparła obojętnie.

Tony, kołysząc się na obcasach, spojrzał jej w oczy. Wielkie, głębokie, nieobecne. A może...? Przyciszył radio.

- Niech mnie pan źle nie zrozumie - powiedziała dziewczyna. - Goodman zarabia na życie, a w dzisiejszych czasach facet, który to robi bez kantowania, zasługuje na szacunek. Ale ten Jitterbug ujdzie tylko w piwiarni. Wolę coś bardziej stylowego.

- Może podoba się pani Mozart? - zapytał Tony.

- Pan sobie żartuje - obruszyła się.

- Wcale nie, panno Cressy. Dla mnie Mozart był największym człowiekiem na ziemi, a Toscanini jego prorokiem.

- Myślałam, że jest pan detektywem hotelowym. - Położyła głowę na poduszce i przyglądała mu się spod rzęs. - Chciałabym posłuchać tego pańskiego Mozarta.

- Za późno - westchnął Tony. - O tej porze już nie nadają.

Rzuciła mu przeciągłe, bystre spojrzenie.

- Słuchaj, tajniaku. Coś za bardzo mi się przyglądasz. - Zachichotała. - Zrobiłam coś złego?

Tony uśmiechnął się niewinnie.

- Nic, panno Cressy. Absolutnie nic. Ale potrzebuje pani trochę świeżego powietrza. Od pięciu dni nie wyszła pani z hotelu. No i ma pani narożny apartament.

- Opowiedz o nim. Nudzę się.

- W pani apartamencie mieszkała kiedyś dziewczyna. Przez tydzień, tak jak pani. To znaczy, nie opuściła hotelu nawet na chwilę. Prawie z nikim nie rozmawiała. Jak pani myśli, co zrobiła?

- Zwiąła bez zapłacenia rachunku - powiedziała dziewczyna.

Delikatna dłoń Tony'ego wykonała ruch przypominający kołysanie leniwej fali.

- Nic z tych rzeczy. Zapłaciła rachunek i poleciła bagażowemu przyjść po walizki za pół godziny. A potem wyszła - przez balustradę balkonu.

Dziewczyna pochyliła się lekko. Z jej oczu zniknął figlarny płomyk. Ręka nadal spoczywała na brzoskwiniowym kolanie.

- Nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

- Tony Reseck.

- To nazwisko robociarza.

- Zgadza się. Polskie.

- Niech pan mówi dalej, Tony.

- W naszym hotelu wszystkie narożne apartamenty mają balkony, panno Cressy. Tylko, jak na czternaste piętro, są tam nieco za niskie balustrady. To była ponura, ciemna noc. - Opuścił dłoń w geście pożegnania. - Nikt nie widział, jak skoczyła. Kiedy jednak upadła na chodnik, wydawało się, że to wystrzał z jakiejś broni dużego kalibru.

- Zmyśla pan, Tony. - Jej głos przeszedł w suchy szept.

Tony uśmiechnął się niewinnie. Spojrzeniem swych szarzielonych oczu zdawał się gładzić jej włosy.

- Eve Cressy - powiedział, smakując każdą sylabę. - Imię, które błyszczy w świetle reflektorów.

- Nie ma co czekać na wysokiego bruneta, Tony, ale to pana nie zainteresuje. Wysłałam kiedyś za kogoś takiego. Zawsze mogę to zrobić raz jeszcze. Jedno życie to wystarczająco wiele czasu, żeby popełnić mnóstwo pomyłek.

Pięść na kolanie powoli się otworzyła, lecz nagle palce zacisnęły się z powrotem. Nawet w przyćmionym świetle knykcie lśniły niczym małe, wypolerowane kostki.

- Pewnego razu wykręciłam mu paskudny numer. Niechący wpakowałam go do pudła. Ale ta historyjka też pana nie zainteresuje. Po prostu mam dług do spłacenia.

Tony pokręcił galką i w ciepłym powietrzu zawirowały takty walca. Trochę tandetnego, ale zawsze walca. Mały obrót potencjometru i z głośników popłynęła przytłumiona melodia. Od kiedy umarł Wiedeń, wszystkie walce są przytłumione.

Dziewczyna spuściła głowę i zanuciła trzy, cztery takty. Nagle zacisnęła usta.

- Eve Cressy - zaczęła. - Kiedyś to imię pojawiało się w blasku reflektorów. W nocnym klubie z dziwkami. W mordowni. A potem zrobili nalot i światła zgasły.

Tony uśmiechnął się do niej nieomal kpiąco.

- Nie mogła to być mordownia, jeżeli pani tam występowała, panno Cressy. Orkiestra grała walca, a stary portier z piersią błyszczącą od medali przechadzał się przed hotelowym wejściem. "Ostatni uśmiech" Emila Janningsa. Nie pamięta pani tego, panno Cressy.

- "Wiosna, cudowna wiosna" - powiedziała. - Nie, nigdy nie widziałam tego filmu.

Tony ruszył do hallu, ale po trzech krokach odwrócił się.

- Muszę teraz zrobić obchód. Mam nadzieję, że pani nie nudziłem. Powinna się pani położyć. Już późno.

Tandetny walc rozpląnął się w powietrzu, a jego miejsce wypełnił głos spikera.

- Naprawdę myślał pan, że mogłabym... tak jak w tej historii z balkonem?

Skinął głową.

- Naprawdę. Ale już tak nie myślę - powiedział łagodnie.

- Nic z tego, Tony. - Jej uśmiech był jak zwiędły liść. - Niech pan wpadnie jeszcze zamienić kilka słów. Rude dziewczyny nie skaczą, Tony. Trzynają się kurczowo... i usychają.

Chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym odszedł. W podcieniach obok wejścia do głównego hallu stał portier. Tony nie patrzył w tę stronę, ale wyczuł, że ktoś tam jest. Zawsze wyczuwał obecność innych ludzi. Niczym osiołek w baśni o błękitnym ptaku, słyszał jak rośnie trawa.

Portier skinął na niego ponaglająco. Na wystającej z kołnierza liberii okrągłej, spoconej twarzy malowało się podniecenie. Tony podszedł do niego i razem wrócili do mrocznego hallu.

- Kłopoty? - zapytał znużonym głosem Tony.

- Ktoś chce się z tobą zobaczyć. Jakiś wysoki facet. Czeka na zewnątrz. Nie chciał wejść do środka. Właśnie wycierałem szyby w drzwiach wejściowych, kiedy podszedł i rzucił półgębkiem: "Dawaj tu Tony'ego".

- Hm - mruknął Tony i spojrzał w niebieskie, wyblakłe oczy portiera. - Przedstawił się?

- Powiedział tylko, że ma na imię Al.

- Okay.

Na twarzy Tony'ego nie drgnął nawet jeden mięsień. Gdy ruszył w stronę wejścia, portier złapał go za rękaw.

- Słuchaj, Tony, masz jakichś wrogów?

Tony zaśmiał się uprzejmie.

- Słuchaj, Tony. - Portier nie puszczał z dłoni rękawa. - Pod hotelem, na prawo, po przeciwnej stronie niż postój taksówek, parkuje wielka czarna gablota. Obok stoi jakiś gość z nogą opartą o próg. Ten, z którym rozmawiałem, ma na sobie ciemny płaszcz z

podniesionym kołnierzem. Prawie nie widać twarzy, bo rondo kapelusza zsunął na czoło, i półgębkiem mówi: "Dawaj tu Tony'ego". Masz wrogów, Tony? Powiedz.

- Do głowy przychodzą mi tylko banki - odparł Tony. - Zjeżdżaj.

Powoli i trochę sztywno przemierzył niebieski dywan, a potem pokonał trzy niskie stopnie i znalazł się w hallu wejściowym. Po prawej miał recepcję, a po lewej trzy windy. Czynna była tylko jedna. Przy rozsuniętych drzwiach w eleganckiej liberii ze srebrnymi wyłogami stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi windziarz - szczupły Meksykanin o imieniu Gomez. Pracował tu od niedawna; dziś pierwszy raz miał nocną zmianę.

W recepcji o blat z różowego marmuru opierał się niski, wąsaty mężczyzna, którego policzki wyglądały jak pokryte różem. Muskając wąs, gapił się na Tony'ego.

Tony wycelował w niego palec wskazujący i pomachał kciukiem. Znudzony recepcjonista musnął drugi wąs.

Detektyw minął zamknięty kiosk z gazetami i boczne wejście do hotelowego sklepu. Zatrzymał się przed przeszklonymi drzwiami frontowymi w mosiężnej oprawie, głęboko zaczerpnął powietrza, wyprostował się i wyszedł w zimną, wilgotną noc.

Na mrocznej ulicy panowała cisza. Od strony Wilshire, dwie przecznice dalej, dochodziły ledwo słyszalne odgłosy ruchu ulicznego. Po lewej parkowały dwie taksówki. Kierowcy palili papierosy. Stali obok siebie, opierając się o zderzaki. Tony poszedł w przeciwną stronę. W jednej trzeciej odległości od przecznicy czekał wielki, czarny samochód. Paliły się tylko światła pozycyjne. Silnik pomrukiwał prawie bezgłośnie.

Od samochodu oderwała się wysoka postać z rękami w kieszeniach i postawionym kołnierzem płaszcz. W kąciu ust połykiwał jak rdzawa perła papieros.

Dwaj mężczyźni podeszli do siebie na odległość wyciągniętej ręki.

- Cześć, Tony. Kopę lat.

- Cześć Al. Jak leci?

- Nie narzekam. - Dłoń wysokiego mężczyzny zaczęła wysuwać się z kieszeni płaszcz, ale w pół drogi znieruchomiała. Zaśmiał się cicho. - Zapomniałem, że chyba nie podasz mi ręki.

- Podawanie rąk nie ma znaczenia - powiedział Tony. - Małpy też podają sobie ręce. Czego chcesz, Al?

- Wciąż ten sam śmieszny grubasek.

- Wciąż ten sam.

Tony przymknął powieki. Coś ścisnęło go w gardle.

- Podoba ci się twoja praca?

- Praca jak każda inna.

Al znów roześmiał się cicho.

- Ty żyjesz pomaleńku, a ja szybko. A więc jesteś hotelowym tajniakiem i chcesz nim pozostać. W porządku... w twoim spokojnym hoteliku kima pewna dziewczyna, niejaka Eve Cressy. Przyrowadź ją tu. I to zaraz.

- Co jest grane?

Wysoki mężczyzna rozejrzał się po ulicy. Jego kumpel w samochodzie lekko kaszlnął.

- Zaplątała się, gdzie nie trzeba. Osobiście nic do niej nie mam. Lepiej ją tu przyrowadź, bo inaczej wpakujesz się w niezły pasztet. Daję ci godzinę.

- Jasne.

Al wyjął rękę z kieszeni i leniwym ruchem popchnął Tony'ego.

- Wiesz, że nie gadam po próżnicy, mój mały, tłusty braciszku. Masz godzinę.

- W porządku - powiedział beznamiętnie Tony.

Wysoki mężczyzna cofnął rękę i sięgnął ku drzwiczkom samochodu. Otworzył je i zaczął wpełzać do środka niczym długi, czarny cień. Nagle zatrzymał się, powiedział coś do kierowcy, wysiadł i podszedł do stojącego nieruchomo detektywa. Światło latarń lśniło w jego wyblakłych oczach.

- Słuchaj, Tony. Zawsze trzymałeś się z dala od kłopotów. Bądź grzecznym bratem.

Tony milczał.

Al nachylił się ku niemu - długi, natarczywy cień, kołnierz niemal dotykał uszu.

- To paskudna sprawa. Chłopakom by się to nie podobało, ale ci powiem. Ta Cressy wyszła za niejakiego Johna Rallsa, którego wypuścili z Quentin dwa, trzy dni temu. Może tydzień. Dostał trzy lata za nieumyślne zabójstwo. Do kicia wpakowała go Cressy. Kiedyś, jadąc z nią po pijaku, stuknął jakiegoś staruszka. Nie zatrzymał się. Powiedziała mu, żeby zgłosił się na policję, bo jak nie... No i gliny go zwinęły.

- Godne pożałowania.

- Nie zmyślam, chłopcze. W moim fachu trzeba dobrze nadstawiać ucha. W puszcze Rallsowi dziób się nie zamykał, mówił, że dziewczyna będzie na niego czekała, że wszystko będzie wybaczone i pójdzie w zapomnienie.

- Co masz do niego? - zapytał Tony suchym, prawie szeleszczącym głosem.

- Chłopcy chcą się z nim zobaczyć - roześmiał się Al. - Prowadził ruletkę w knajpie na Stripie i do spółki z kumplem trafili kasyno na pięćdziesiąt kawałków. Ten drugi już

wypluł swoją dolę, ale należy nam się jeszcze dwadzieścia pięć kawałków od Johnny'ego. Chłocy nie zapominają tak łatwo.

Tony rozejrzył się po ciemnej ulicy. Jeden z taksówkarzy pstryknął palcami, niedopałek papierosa przeleciał długim łukiem nad taksówką. Kilka iskier rozbłysło na chodniku. Silnik samochodu cicho pracował.

- Nie chcę się w to mieszać - powiedział w końcu. - Ściągnę ją tutaj.

Al cofnął się i powoli skinął głową.

- Mądry chłopak, jak mama?

- W porządku - odparł Tony.

- Powiedz jej, że o nią pytałem.

- Pytanie o nią nic nie kosztuje.

Al odwrócił się pośpiesznie i wsiadł do samochodu, który powoli zawrócił, po czym ruszył w stronę przecznicy. Światła reflektorów rozbłysły na ścianie domu naprzeciwko, a kiedy zniknęły za rogiem, na ulicy znów zapanował mrok. W powietrzu unosił się zapach spalin. Tony wrócił do hotelu.

Pokój wciąż wypełniały przytłumione dźwięki muzyki, ale na kanapie przy odbiorniku nie było już dziewczyny. Tylko poduszki zachowały jej kształt. Kiedy ich dotknął, wydały mu się jeszcze ciepłe. Wyłączył radio, stał przez chwilę nieruchomo i oparłszy dłoń na brzuchu, powoli wodził po nim kciukiem. Potem przez hall wrócił do recepcji i zatrzymał się przy białej wazie z majoliki. Zza szklanego przepierzenia na blacie recepcji dobiegały odgłosy krzątania. Powietrze stało bez ruchu. Było duszno.

Wskazówka oznaczająca położenie środkowej windy zatrzymała się na cyfrze czternaście.

- Poszła spać - powiedział do siebie.

Drzwi pokoju portiera, obok windy, otworzyły się i do hallu wszedł mały Meksykanin, ubrany już do wyjścia. Spojrzył swoimi kasztanowymi oczami na Tony'ego.

- Dobranoc, szefie.

- Taak - z roztargnieniem odpowiedział Tony.

Wyciągnął z kieszeni kamizelki cętkowaną cygaretkę. Obracając ją w zręcznych palcach, starannie obejrzał. Zauważył małą dziurkę, skrzywił się i wyrzucił do kosza.

Coś szcęknęło w oddali, wskazówka na mosiężnej tarczy z numerami pięter zaczęła się obracać. W szybie windy rozbłysło światło, a po chwili prosta krecha podłogi przecięła i stopniowo wyparła ciemność. Kiedy winda stanęła, wyszedł z niej Carl.

Na widok Tony'ego jego powieki drgnęły. Podszedł bliżej. Górną różową wargę okalał mu cień zarostu.

- Słuchaj, Tony... - zaczął. Szybka, twarda dłoń Tony'ego chwyciła go za ramię. Jej właściciel pośpiesznie, choć z pewną nonszalancją, ściągnął Carla po schodach do mrocznego hallu i poprowadził do kąta. Tam rozluźnił chwyt. Po raz drugi w ciągu dzisiejszego wieczora, nie wiedząc dlaczego, poczuł ucisk w gardle.

- Tak? Czego to mam posłuchać? - zapytał groźnie.

Portier wyciągnął z kieszeni banknot dolarowy.

- Dostałem to od niego - powiedział swobodnie.

Jego błyszczące oczy patrzyły w jakiś punkt za plecami Tony'ego.

- Zamówił lód i piwo imbirowe - dodał pośpiesznie, mrugając powiekami.

- Nie kręć - warknął Tony.

- Facet z 14 B.

- Chuchnij no.

Portier posłusznie się nachylił.

- Piłeś - ostro powiedział Tony.

- Poczęstował mnie.

Tony spojrział na banknot.

- W 14 B nikt nie mieszka. Na mojej liście nikogo tam nie ma.

- Mieszka - słowo daję. - Portier oblizwał wargi, mrugając oczami. - Wysoki brunet.

- W porządku - opryskliwie uciął Tony. - W 14 B jest wysoki brunet, który dał ci dolca i kielicha. Co dalej?

- Ma gnata za pazuchą - powiedział Carl i zmrużył powieki.

Tony uśmiechnął się, ale oczy połyskiwały mu lodowato.

- To ty zawiozłeś pannę Cressy na jej piętro?

- Nie, Gomez. - Carl potrząsnął głową.

- Zjeżdżaj - syknął Tony przez zęby. - I nie przyjmuj nigdy więcej poczęstunków od gości.

Tony poczekał, aż Carl zniknie za drzwiami pokoju windziarzy, wszedł po schodkach i stanął przed recepcją. Spojrział na poprzecinany żyłkami marmurowy blat, onyksową podstawkę na pióro i czystą kartę meldunkową w skórzanej teczce. Podniósł dłoń do góry i z głośnym trzaskiem opuścił ją na marmur. Zza przepierzenia niczym wiewiórka z dziupli wyskoczył recepcjonista.

Z kieszeni marynarki Tony wyciągnął notes i położył go na kontuarze.

- Nie mam tu 14 B - powiedział gorzko.

- Przykro mi. - Recepcjonista musnął wąs. - Musiałeś być na kolacji, kiedy się meldował.

- Kto?

- Wpisał się jako James Watterson z San Diego - ziewając odparł recepcjonista.

- Pytał o kogoś?

Ziewnięcie urwało się w połowie i recepcjonista spojrzał na czubek głowy Tony'ego.

- Tak. O swingową orkiestrę. Dlaczego cię to interesuje?

- Sprytnie, szybko i śmiesznie - powiedział Tony. - Jeżeli lubisz bawić się w ten sposób. - Skreślił kilka słów w notesie i wsadził go z powrotem do kieszeni. - Przejdę się teraz po korytarzach. Zostały ci do wynajęcia jeszcze cztery apartamenty. Do dzieła, synu! Głupio kombinujesz.

- Nic mi nie będzie - wycodził recepcjonista i dołączył jeszcze jedno ziewnięcie - wracaj szybko, papciu. Nie wiem, co tu bez ciebie będę robił.

- Możesz zgolić ten różowy puszek pod nosem - odparł Tony i poszedł w stronę wind.

Wysiadł na czternastym piętrze, zgasił światło w windzie i zamknął za sobą drzwi. Korytarz był węższy niż pozostałe - z wyjątkiem piętra poniżej. Po jego drugiej stronie zobaczył niebieskie drzwi ze złotymi literami i cyframi okolonymi złotym wieńcem. Podeszedł do drzwi 14 A i przyłożył ucho. Cisza. Możliwe, że Eve Cressy spała. Możliwe, że była w łazience lub na balkonie. Albo siedziała w pokoju, kilka stóp od drzwi, i patrzyła w ścianę. Nie spodziewał się usłyszeć, że siedzi i patrzy w ścianę, podeszedł więc do 14 B i powtórzył całą operację. Za drzwiami ktoś kaszlnął. Wyglądało na to, że ten ktoś jest sam. Tony wduślił mały przycisk z masy perłowej obok drzwi.

Rozległy się niespieszne kroki. Odezwał się przytłumiony głos, ale Tony nie odpowiedział. Głos powtórzył pytanie. Tony lekko, z premedytacją, jeszcze raz nacisnął guzik.

Pan James Watterson z San Diego powinien teraz otworzyć i urządzać awanturę. Ale nie zrobił tego. Za drzwiami zaległa lodowata cisza. Tony jeszcze raz przyłożył ucho do drzwi. Żadnego dźwięku.

Z kieszeni wyciągnął umocowany na łańcuszku klucz uniwersalny i delikatnie wsunął go w dziurkę. Otwierany zamek cicho szczyknął. Tony popchnął drzwi, trzy cale do wewnątrz, i wyciągnął klucz.

Czekał.

- W porządku - odezwał się ochryply głos. - Jak chcesz zarobić, to włącz.

Tony pchnął drzwi do końca i stanął w prostokącie światła z korytarza. Lokator pokoju był wysokim, kanciastym brunetem, bez śladu opalenizny. W ręku trzymał pistolet. Widać było, że wie, jak go trzymać.

- Włącz - wycedził.

Tony przestąpił próg i ramieniem zatrzasnął drzwi. Ręce nieco odsunął od boków, palce miał rozluźnione. Uśmiechnął się niewinnie.

- Pan Watterson?

- O co chodzi?

- Jestem detektywem hotelowym.

- Strasznie się przejąłem.

Mężczyzna był wysoki, blady, na swój sposób przystojny, ale w jego wyglądzie była jakaś skaza. Powoli cofnął się w głąb pomieszczenia. To był duży pokój z okalającym narożnik balkonem, na który prowadziły otwarte teraz drzwi. Taki balkon miał każdy narożny apartament. Naprzeciw osłoniętego ekranem kominka Tony zauważył przytulną kanapę. Oszroniona, wysoka koktajlowa szklanka na tacy z nazwą hotelu stała na stole obok wygodnego, głębokiego krzesła. Brunet zatrzymał się przy nim i opuścił rękę z wielkim, błyszczącym pistoletem.

- Strasznie się przejąłem - powtórzył. - Jestem w tej budzie od godziny, a hotelowy tajniak zdążył już nacisnąć dzwonek. W porządku, kochany, jeżeli szukasz jakiejś pani, to zajrzyj do łazienki i toalety. Już jej tam nie ma.

- Jeszcze jej nie ma - sprostował Tony.

Kredowobiałą twarz mężczyzny pocięła sieć zmarszczek.

- Tak? Niby kogo to jeszcze nie ma? - przytłumiony głos przeszedł w warknięcie.

- Pewnej dziewczyny o nazwisku Eve Cressy.

Mężczyzna przełknął ślinę, położył pistolet na stole obok tacy i opadł na krzesło jak człowiek cierpiący na lumbago. Chwilę potem pochylił się sztywno do przodu i oparł dłonie na kolanach. Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- A więc przyjechała? Nawet o nią nie zapytałem. Jestem facetem ostrożnym. Nawet nie zapytałem.

- Jest tu od pięciu dni - powiedział Tony. - Czeka na ciebie. Nie wyszła z hotelu nawet na minutę.

Usta mężczyzny lekko drgnęły.

- Interesy zatrzymały mnie na północy. Wiadomo, jak to jest. Musiałem odwiedzić kilku starych kumpli. Wygląda na to, że dużo o mnie wiesz, tajniaku.

- To prawda, panie Ralls.

Brunet zerwał się z krzesła, a jego dłoń błyskawicznie przykryła leżący na stole pistolet. Pochylony, z pistoletem w garści patrzył na Tony'ego.

- Niektóre dziewczyny mówią za dużo - powiedział tak cicho, jakby zębami trzymał coś miękkiego.

- To nie dziewczyny, panie Ralls.

- Nie? - dłoń z pistoletem przesunęła się po drewnianym blacie stołu. - Gadaj, glino. Na dzisiaj mam już dość zgadywanek!

- To nie dziewczyny. To chłopcy. Chłopcy ze spluwami.

W pokoju ponownie zapadła lodowata cisza. Mężczyzna wyprostował się powoli. Twarz miał wypraną z emocji, a w jego oczach pojawiły się upiory przeszłości. Tony stał przed nim - niski, pulchny facet, o spokojnej, przyjacielskiej twarzy i oczach czystych jak woda źródłana.

- Oni nigdy się nie zniechęcają, ci chłopcy - zauważył Johny Ralls i oblizał wargi. - Pracują dzień i noc. Firma nigdy nie śpi.

- Wiesz, co to za firma? - zapytał łagodnie Tony.

- Mogę zgadywać dziewięć razy. I dwanaście razy trafić.

- Chłopcy od kłopotów - wyjaśnił Tony i uśmiechnął się zimno.

- Gdzie ona jest? - wychrypiał Johnny Ralls.

- W pokoju obok.

Ralls zostawił pistolet na stole i podszedł do ściany. Dłonie oparł na balustradzie balkonu. Wreszcie odwrócił się. Twarz nieco mu się wygładziła, a oczy patrzyły spokojniej. Podszedł do Tony'ego.

- Mam pieniądze - powiedział. - Eve przysłała mi trochę i zainwestowałem na północy. Pieniądze na czarną godzinę. Chłopcy z firmy mówią o dwudziestu pięciu kawałkach. - Uśmiechnął się krzywo. - Jeśli dobrze policzyć, zebrałoby się może pięć setek. Byłaby kupa śmiechu, gdybym chciał ich o tym przekonać.

- Co zrobiłeś ze szmałem? - obojętnie spytał Tony.

- Nigdy go nie miałem, tajniaku. Nawet nie będę cię przekonywał. I tak jestem jedynym gościem na świecie, który w to wierzy. Po prostu wszedłem w mały układ i zostałem wykolegowany...

- Ja bym ci uwierzył.

- Nie zabijają często. Ale jak trzeba, mogą być bardzo twardzi.

- Banda kretynów - powiedział nagle z gorzką pogardą Tony. - Chłopcy ze spluwami.

Po prostu banda kretynów.

Johnny Ralls sięgnął po szklanę i wychylił do dna. Kiedy odstawiał ją na tacę, zagrzechotały kostki lodu. Wziął do ręki pistolet, podrzucił w dłoni i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wpatrywał się w dywan.

- Jak to możliwe, że mówisz takie rzeczy, tajniaku?

- Przyszło mi do głowy, że mógłbyś dać jej spokój.

- A jeżeli nie dam?

- Myślę, że dasz.

Johnny Ralls spokojnie skinął głową.

- Można się stąd jakoś wydostać?

- Zjedziesz służbową windą do garażu i wynajmiesz samochód. Dam ci kartkę dla parkingowego.

- Zabawny z siebie facecik - powiedział Johnny Ralls.

Tony wyjął z kieszeni portfel z wytłaczanej skóry i skreślił kilka słów na wizytówce. Ralls rzucił na nią okiem i kilkakrotnie klepnął wizytówką o kciuk.

- Mógłbym zabrać ją ze sobą. - Oczy mu się zwęziły.

- To raczej oni mogą zabrać ciebie ze sobą. Dziewczyna jest tu już od pięciu dni.

Widziano ją. Zadzwoił znajomy i kazał mi wyciągnąć ją z hotelu. Powiedział też, o co tu chodzi. No i pomyślałem sobie, że zamiast niej wyciągnę ciebie.

- Bardzo im się to spodoba - zauważył Johnny Ralls. - Przyślą ci bukiet fiołków.

- Wezmę wolny dzień i cichutko sobie popłacę.

Johnny Ralls spojrzał na swoją dłoń.

- Mógłbym przynajmniej ją zobaczyć, zanim się ulotni. Pokój obok, powiedziałaś?

Tony odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

- Nie trać zbyt wiele czasu, przystojniaku. Mogę się rozmyślić - rzucił przez ramię.

- Równie dobrze mogliśmy się spotkać dopiero teraz - odparł grzecznie brunet.

Tony nie odwrócił głowy.

- Musisz zaryzykować.

Otworzył drzwi i delikatnie zamknął je za sobą, zerknął na 14 A i wszedł do ciemnej windy. Zjechał na piętro gospodarcze. Na progu służbowej windy stał kosz na śmieci, który uniemożliwiał ściągnięcie jej na górę. Tony przesunął go pod ścianę. Przytrzymał drzwi,

żeby zamknęły się bez hałasu. Na podłogę korytarza padało światło z otwartych drzwi do pralni. Tony zawrócił i wjechał na parter.

Za przepierzeniem z chropowatego szkła recepcjonista przeglądał rachunki. Tony przeszedł przez hall i zajrzał do pokoju - odbiornik był włączony. Na kanapie znów siedziała skulona dziewczyna. Spiker wydawał z siebie dźwięki przypominające szum drzew. Dziewczyna powoli odwróciła głowę i uśmiechnęła się do Tony'ego.

- Obchód skończony? Nie mogłam zmrużyć oka, zeszłam więc na dół. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Uśmiechnął się, pokręcił głową, usiadł na zielonym krześle i zabębnił palcami w obciążone brokatem oparcie.

- Jasne, panno Cressy.

- Czekanie to najtrudniejsze zajęcie w życiu, prawda? Niech pan zrobi coś z tym radiem. To, co teraz słyhać, przypomina kruszenie ciasta.

Tony przeleciał kilka stacji, nie znalazł nic dobrego, wybrał więc tę, która była przedtem.

- Jedyni słuchacze o tej porze to pijacy z piwiarni.

Znowu się do niego uśmiechnęła.

- Nie przeszkadzam pani, panno Cressy?

- Nie. Słodki z ciebie facecik, Tony.

Patrzył nieruchomo w podłogę. Odczekał cierpliwie, aż minie nagły dreszcz, który przeszedł mu po plecach, i usiadł wygodnie, a jego zręczne palce zaczęły się bawić kłębkiem łośia. Nasłuchiwał. Nie radia, ale dźwięków - odległych, nieokreślonych i groźnych. A może tylko szumu opon samochodu odjeżdżającego w ponurą, obcą noc.

- Nikt nie jest do końca zły - powiedział głośno.

Dziewczyna spojrzała na niego leniwie.

- W takim razie spotkałam dwóch lub trzech facetów, co do których się myliłam.

- Na pewno znajdzie się kilka wyjątków.

Dziewczyna ziewnęła i przymknęła fiołkowe oczy. Usadowiła się wygodnie na poduszkach.

- Niech pan posiedzi ze mną przez chwilę, Tony. Może uda mi się zdrzemnąć.

- Jasne. I tak nie mam nic do roboty. Nie wiem, za co mi płacą.

Zasnęła błyskawicznie. Jak dziecko. Przez dziesięć minut Tony bał się oddychać. Patrzył jasnym, zafascynowanym wzrokiem na dziewczynę, z lekko rozchyłonymi ustami niczym na ołtarz.

Po chwili ostrożnie wstał i na palcach ruszył do głównego hallu. Przez moment tkwił nieruchomo przy recepcji. Zza przepierzenia dobiegł go skrzyp pióra po papierze. Podeszedł do rzędu kabin telefonicznych, podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę o połączenie z garażem.

- Garaż hotelu Windermere - odpowiedział po trzech lub czterech sygnałach chłopięcy głos. - Słucham.

- Mówi Tony Reseck. Ten Watterson, któremu dałem wizytówkę, odjechał?

- Jasne, Tony. Pół godziny temu. Facet od ciebie?

- Tak. Kumpel. No to cześć.

Odwiesił słuchawkę i podrapał się w kark. Wrócił do recepcji i trzasnął dłonią w blat. Recepcjonista wyskoczył z za przepierzenia z powitalnym uśmiechem na twarzy, który na widok Tony'ego zniknął.

- Czy już nie można chwili popracować spokojnie? - poskarżył się.

- Ile byś mi policzył za 14 B?

- Ludzie z branży nie wynajmują apartamentów - ponuro stwierdził recepcjonista.

- Potraktuj to jako wyjątek. Gość z 14 B wyjechał. Był tam tylko godzinę.

- No, no - mruknął recepcjonista. - Wychodzi na to, że duecik nie zaśpiewał dzisiejszej nocy tej samej piosenki, a ptaszek wyfrunął.

- Pięć dolarów starczy?

- To twój kumpel?

- Nie. Jakiś pijak, któremu się przywidziało, że jest księciem, ale zapomniał, że nie ma ani centa.

- Chyba nie będziemy robić z tego afery. Jak wyszedł z hotelu?

- Zjechałem z nim windą do garażu. Spałeś wtedy. Pięć dolarów starczy?

- Dlaczego akurat pięć?

Z kieszeni Tony'ego znów wyjrzał portfel i szeleszcząca piątka przesunęła się po blacie.

- Tylko tyle z niego wydusiłem - odparł niedbale.

Recepcjonista wziął banknot ze zdumioną miną.

- Ty tu rządzisz - powiedział, wzruszając ramionami.

Zadzwonił telefon. Recepcjonista odebrał, słuchał przez chwilę, po czym przesunął aparat w stronę Tony'ego.

- Do ciebie.

Tony przyłożył słuchawkę do ucha, a mikrofon z podstawką przytulił do piersi, tak że wargi prawie go dotykały. Usłyszał obcy, metaliczny głos.

- Tony? Tony Reseck?

- Przy telefonie.

- Wiadomość od Ala. Można?

Tony spojrzał na recepcjonistę.

- Bądź kumplem - powiedział, przysłoniwszy ręką muszlę mikrofonu. Recepcjonista uśmiechnął się kącikami ust i wyszedł za przepierzenie. - Gadaj - rzucił Tony do mikrofonu.

- W twoim hoteliku mieliśmy pogadać z pewnym facetem. Przyuważyliśmy go, jak dawał nogę. Al miał przeczucie, że mu to ułatwisz. Pojechał za nim i przycisnął go do krawężnika. Ale się nie udało.

Tony z całych sił ścisnął słuchawkę. Na skronie wystąpił mu zimny pot.

- Jedź dalej, na pewno jest coś jeszcze.

- Niezbyt wiele. Al dostał. Al... Al kazał ci powiedzieć do widzenia.

Z głuchym jękiem Tony ciężko opadł na blat recepcji.

- Zrozumiałeś? - w metalicznym głosie pojawiły się nutki znużonego zniecierpliwienia. - Gość miał spluwę i wiedział, co z nią zrobić. Al już nigdy do nikogo nie zadzwoni.

Aparat telefoniczny z trzaskiem uderzył w różowy marmur. Usta Tony'ego zmieniły się w suchy, twardy węzeł.

- To by było wszystko. Cześć. - W aparacie coś lekko trzasnęło, jak kamyk rzucony o ścianę.

Tony ostrożnie odwiesił słuchawkę na widelki i spojrzał na zaciśniętą dłoń lewej ręki. Wytarł ją delikatnie chusteczką, a potem pomagając sobie drugą ręką, rozprostował palce. Otarł pot z czoła. Zza przepierzenia wyszedł recepcjonista i popatrzył na niego roziskrzonymi oczami.

- W piątek mam wolne. Może dałbyś mi ten numer telefonu?

Tony skinął głową i uśmiechnął się przelotnie. Schował chustkę do kieszeni. Odwrócił się, przeciął hall, szedł po trzech płaskich stopniach i po chwili znalazł się w pokoju z radiem. Stał delikatnie, jak w sali, gdzie leży bardzo chory pacjent. Podeszedł do krzesła i ostrożnie usiadł. Dziewczyna wciąż spała, zwinięta w kłębek, bez ruchu, z bez troską właściwą niektórym kobietom i wszystkim kotom. Przytłumione mruczenie radia zagłuszało jej oddech.

Tony Reseck rozsiadł się wygodnie, zacisnął kciuk losia w dłoni i powoli zamknął
oczy.

Przełożył
Krzysztof Adamski

Strzelanina „U Cyrana”

I

Ted Malvern lubił deszcz. Lubiał szum i dotknięcie spadających kropel. Lubiał jego zapach. Wsiadłszy ze swojego lasalle coup~e, przez chwilę stał przy bocznym wejściu do hotelu Carondelet. Ręce wcisnął w kieszenie niebieskiego zamszowego płaszcza, podniesiony kołnierz łaskotał go w uszy. Z ust zwisał rozmiękły papieros. Wszedł do środka, mijając salon fryzjerski, drugstore i sklep z kosmetykami, którego witrynę zdobiły delikatnie podświetlone rzędy buteleczek. Prezentowały się niczym zespół teatralny w finale musicalu na Broadwayu.

Minął kolumnę z poprzecinanego złotymi żyłkami marmuru i wsiadł do windy z wyściełaną podłogą.

- Cześć, Albert. Wspaniały deszcz. Na dziewiąte.

Szczupły, wyglądający na zmęczonego chłopak, w srebrno_niebieskiej liberii dłonią w białej rękawiczce przytrzymał zamykające się drzwi.

- Rany, panie Malvern. Myśli pan, że nie wiem, na którym piętrze pan mieszka?

Nawet nie patrząc na tablicę z przyciskami, posłał windę na dziewiąte. Gdy stanęła, nagle zamknął oczy i oparł się o ścianę. Malvern właśnie wychodził, ale zatrzymał się i uważnym spojrzeniem bystrych piwnych oczu zmierzył chłopca.

- Co się stało, Albert? Jesteś chory?

Chłopak z wysiłkiem przywoływał na twarz blady uśmiech.

- Jeżdżę już drugą zmianę z rzędu. Zastępuję Corky'ego. Jest chory. Dostał czyraków. Chyba trochę za mało zjadłem.

Wysoki mężczyzna o piwnych oczach wyłowił z kieszeni zmięty banknot pięciodolarowy i podsunął go chłopcu pod nos. Windziarz wybałuszył oczy i gwałtownie się wyprostował.

- Rany, panie Malvern. Nie chciałem...

- Daj spokój, Albert. Cóż to jest piątka między kumplami? Kup sobie na mój rachunek jakieś ekstra żarcie.

Wyszedł z windy. Ruszył korytarzem.

- Mięczak... - mruknął pod nosem.

Mężczyzna, który wyskoczył zza rogu, omal nie zwałił go z nóg. Zachwiał się, wymijając ramię Malverna, i podbiegł do windy.

- Na dół! - rzucił ostro.

Malvern dostrzegł mokry od deszczu kapelusz, a pod nim parę czarnych, bardzo blisko osadzonych oczu, które patrzyły w pewien, dobrze mu znany, dziwny sposób. Oczy narkomana.

Winda spadła w dół niczym bryła ołowiu. Malvern spoglądał przez długą chwilę tam, gdzie przed chwilą była, po czym poszedł w głąb korytarza i skręcił za róg.

Na progu otwartych drzwi do apartamentu 914 zobaczył dziewczynę.

Leżała na boku, w połyskliwej stalowoszarej piźamie, tuląc policzek do puszystego chodnika na korytarzu. Miała bujne, lśniące włosy koloru pszenicy, precyzyjnie ułożone w fale. Każdy włos na swoim miejscu. Była młoda, bardzo ładna i wyglądało na to, że żyje.

Malvern przykucnął i dotknął jej policzka. Był ciepły. Delikatnie odgarnął dziewczynie włosy i zobaczył siniaka.

- Uśpiona - mruknął przez zaciśnięte zęby.

Wziął dziewczynę na ręce, przeniósł przez krótki przedpokój do salonu w apartamencie i ułożył na obitej welurem kanapie, obok gazowego kominka.

Leżała bez ruchu. Miała zamknięte oczy, a twarz mimo makijażu siną. Zamknął drzwi na korytarz i obejrzał apartament. Potem wrócił do przedpokoju. Z podłogi, tuż przy boazerii, podniósł błyszczący przedmiot: siedmiostrzałowy pistolet z kościaną rękojeścią, kaliber 22. Powąchał go, schował do kieszeni i poszedł do dziewczyny.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął wielką srebrną piersiówkę, zdjął nakrętkę, rozchylił usta dziewczyny i wylał whisky na małe, białe zęby. Zakrztusiła się i poderwała spoczywającą na jego dłoni głowę. Otworzyła oczy, chabrowe z lekką domieszką purpury, i spojrzała czujnie.

Malvern zapalił papierosa. Stał i obserwował ją. Poruszyła się.

- Smakuje mi twoja whisky - wyszeptała po chwili. - Możesz jeszcze nalać?

Nalał do szklanki przyniesionej z łazienki. Dziewczyna bardzo powoli usiadła, dotknęła głowy i jęknęła. Potem z dłoni Malverna wzięła szklankę i przechyliła ją ruchem świadczącym o pewnej rutynie.

- Wciąż mi smakuje - powiedziała. - Kim pan jest?

Głos miała niski i miękki. Podobał mu się.

- Ted Malvern. Mieszkam w dziewięćset trzydzieści siedem, na tym samym korytarzu.

- Chyba... chyba zemdlalam.

- Mhm... Zostałaś ogłuszona, aniołku.

Taksował ją uważnie, a w kąciку jego ust błąkał się uśmiech. Dziewczyna szerzej otworzyła oczy, które załśniły jak pokryte warstewką ochronnej emalii.

- Widziałem tego oprycha - ciągnął. - Kokaina wysypywała mu się uszami. A to twoja broń.

Wyjął z kieszeni pistolet i trzymał go w otwartej dłoni.

- Wychodzi na to, że będę musiała opowiedzieć jakąś bajeczkę - powoli powiedziała dziewczyna.

- Mnie nie musisz. Jeżeli wpakowałaś się w kabałę, może mógłbym ci pomóc. To zależy.

- Od czego?

W jej głosie pojawiły się zimne, ostrzejsze tony.

- Od tego, co to za afera - cicho odparł Malvern. Wyciągnął magazynek z małego pistoletu i obejrzał nabój. - Pociski w miedziano_niklowych płaszczach, co? Wiesz, czym strzelać, aniołku.

- Musisz mnie nazywać aniołkiem?

- Nie wiem, jak masz na imię.

Uśmiechnął się, podszedł do biurka przy oknach i położył broń na blacie, obok dwóch fotografii w skórzanej ramce. Zrazu rzucił na nie okiem bez zainteresowania, lecz po chwili popatrzył uważniej. Na zdjęciach zobaczył przystojną brunetkę i chudego blondyna o zimnym spojrzeniu, w sztywnym, wysokim kołnierzyku. Wielki węzeł krawata i wąskie klapy marynarki wskazywały na to, że zdjęcie wykonano w czasach bardzo odległych. Malvern przyjrzał się mężczyźnie.

- Jestem Jean Adrian. Tańczę w lokalu "U Cyrana" - powiedziała za jego plecami dziewczyna.

Malvern wciąż wpatrywał się w zdjęcie.

- Benny Cyrano jest moim kumplem - wyznał z roztargnieniem. - To twoi rodzice?

Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Powoli podniosła głowę. W jej chabrowych oczach błysnęło coś, co przypominało strach.

- Tak. Od dawna nie żyją - odparła głucho. - Są jeszcze pytania?

Malvern szybko podszedł do kanapy i stanął przed dziewczyną.

- Okay - powiedział pojednawczo. - Jestem wścibski. I co z tego? To moje miasto. Rządził nim mój ojciec. Stary Marcus Malvern, "przyjaciół ludzi". Hotel też jest mój. Mam

w nim swój udział. Ten naćpany wyglądał mi na mordercę. Co w tym dziwnego, że chcę ci pomóc?

Blondynka leniwie zmierzyła go spojrzeniem.

- Wciąż mam ochotę na twoją whisky. Czy mogę...

- Chwyć ją za szyjkę. Szybcej w siebie wlejesz - mruknął.

Dziewczyna pobladła i zerwała się z kanapy.

- Mówisz do mnie jak do oszustki - zachnęła się. - No to posłuchaj, jeśli już musisz wiedzieć. Mój chłopak otrzymywał ostatnio pogróżki. Jest bokserem i ktoś chce, żeby poddał walkę. Teraz próbują go dorwać przeze mnie. Zadowolony?

Malvern wziął z krzesła kapelusz, wyjął z ust papierosa i zgasił go w popielniczce.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział zmienionym głosem, skinął głową i ruszył w stronę drzwi.

Chichot kobiety dobiegł go wpół drogi.

- Masz paskudny charakterek. I zapomniałeś swojej piersiówki.

Malvern wrócił do kanapy i sięgnął po butelkę. Potem nagle pochylił się, ujął dziewczynę za podbródek i pocałował w usta.

- Do diabła z tobą, aniołku. Lubię cię - powiedział miękko.

I wyszedł na korytarz. Dziewczyna przesunęła palcem po wargach, a na jej twarzy pojawił się uśmiech zawstydenia.

II

Tony Acosta, szef chłopców hotelowych, był szczupłym, delikatnym jak dziewczyna brunetem, o wysmukłych dłoniach, aksamitnych oczach i twardych, małych ustach.

- Udało mi się załatwić tylko siódmy rząd, panie Malvern. Ten Deacon Werra nie jest zły, a Duke Targo to przyszedł mistrz w półciężkiej - powiedział, stając w progu.

- Wejdz i zrób sobie drinka, Tony - zaprosił go Malvern. Podszedł do okna i przez chwilę wpatrywał się w deszcz. - Będzie mistrzem, jeżeli kupię mu tytuł - rzucił przez ramię.

- Należę sobie malutkiego, panie Malvern.

Smagły chłopak starannie przyrządzał sobie koktajl. Wziął butelkę z tacy leżącej na barku - podrabianym sheratonie - obejrzał ją pod światło, precyzyjnie odmierzył składniki, długą łyżką wrzucił kostkę lodu, spróbował i uśmiechnął się, pokazując drobne białe zęby.

- Targo to kawał chłopca, panie Malvern. Jest szybki, sprytny, ma cios z obu rąk, ikry od cholery i nie cofnie się ani na krok.

- Musi się wykazać przed kanciarzami, którzy go karmią - wycedził Malvern.

- W takim razie nie karmili go jeszcze niedźwiedzim mięsem - odparł Tony.

Krople deszczu bębniły w szybę, rozpryskiwały się na niej i małymi falami spływały w dół.

- To łobuz. Dobrze wygląda, ma ładne ubranka, ale to jednak łobuz - powiedział Malvern.

- Chciałbym pójść na tę walkę - westchnął Tony. - Dziś w nocy nie pracuję.

Malvern odwrócił się powoli, podszedł do barku i przyrządził sobie koktajl. Na jego policzkach pojawiły się cienie.

- A więc o to chodzi. Co ci w tym przeszkadza? - zapytał zmęczonym głosem.

- Boli mnie głowa.

- Znów nie masz grosza przy duszy - niemal warknął Malvern.

Smagły chłopak nic nie powiedział. Spojrzenie spod długich rzęs uciekło w bok. Malvern zacisnął lewą dłoń, a po chwili ją rozprostował. Oczy miał poważne.

- Wystarczy poprosić Teda - westchnął. - Starego, dobrego Teda. Forsa wysypuje mu się z kieszeni. Taki miękki gość. Wystarczy poprosić Teda. Okay, Tony, weź bilet i dokup drugi.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot. Smagły chłopak wyglądał na urażonego.

- Rany, panie Malvern. Nie przypuszczałem, że pan pomyśli...

- Daj spokój! Co znaczy bilet na walkę między kumplami? Bierz oba i zaproś swoją dziewczynę. Do diabła z tym Targo.

Tony Acosta wziął bilety. Przez chwilę uważnie przyglądał się Malvernowi.

- Wolałbym pójść z panem, panie Malvern - powiedział bardzo miękko. - Targo jest dobry nie tylko na ringu. Kręci z wystrzałową blondynką, która mieszka akurat na tym piętrze. Panna Adrian - numer dziewięćset czternaście.

Malvern zeszywniał. Ostrożnie postawił szklanekę na barku.

- To i tak tylko łobuz, Tony. - Głos miał lekko zachrypnięty. - Spotkamy się przed twoim hotelem o siódmej. Zabiorę cię na kolację.

- Rany, panie Malvern! To świetnie!

Tony Acosta miękkiem krokiem wyszedł z pokoju i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Malvern stał przy biurku, lekko bębniąc opuszkami palców w blat. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę.

- Ted Malvern, pierwszy naiwniak Ameryki - powiedział gorzko na głos. - Gość, który bawi się w niańczenie dziwek. Taak.

Wypił koktajl, spojrział na zegarek, włożył kapelusz, potem niebieski zamszowy płaszcz i wyszedł. Koło numeru 914 przystanął, podniósł rękę, żeby zapukać, ale po chwili opuścił ją, nie dotykając drzwi. Zjechał windą na dół, wy dostał się na ulicę i wsiadł do samochodu.

Redakcja "Tribune" mieściła się na rogu Fourth Avenue i Spring Street. Malvern zaparkował samochód za skrzyżowaniem, wszedł wejściem służbowym do środka i wjechał na piąte piętro rozklekotaną windą, którą obsługiwał staruszek z niedopałkiem cygara w ustach i trzymanym sześć cali od twarzy złożonym na pół pismem.

"Dział miejski" - obwieszczał napis nad wielkimi, podwójnymi drzwiami. Obok nich za małym biurkiem z interkomem siedział kolejny staruszek. Malvern stuknął w blat.

- Do Adamsa. Jestem Ted Malvern.

Staruszek rzucił kilka słów do skrzyneczki interkomu, zwolnił przycisk i ruchem podbródka wskazał drogę.

Malvern wszedł do środka. Minął stół redakcyjny w kształcie podkowy i rząd stolików z hałaśliwymi maszynami do pisania. W końcu sali ujrzał zbijającego bąki szczupłego, wysokiego rudzielca, z nogami na wyciągniętej do połowy szufladzie, karkiem wystającym zza oparcia ryzykownie przechylonego obrotowego krzesła i wielką fajką wycelowaną prosto w sufit.

Malvern podszedł bliżej; mężczyzna zerknął na niego, nie zmieniając pozycji.

- Cześć Teddy. Co słyhać w świecie beztroskich bogaczy? - zapytał, nie wyjmując fajki z ust.

- A co słyhać w twoim archiwum wycinków? Chodzi mi o faceta nazwiskiem Courtway. O senatora stanowego Johna Myersona Courtwaya - jeśli chodzi o ścisłość.

Nogi Adamsa spoczęły na podłodze. Ich właściciel, przyciągnąwszy się do pulpitu biurka, przeszedł do pozycji pionowej, fajkę doprowadził do położenia horyzontalnego, wyjął ją z ust i splunął do kosza na śmieci.

- Ten stary sople lodu? A cóż może cię w nim interesować? Chodź, staruszk.

Przeszli obok rzędu biurek. Przy jednym z nich pisała na maszynie i śmiała się z własnej pisaniny tłusta dziewczyna z rozmazanym makijażem.

Weszli do pokoju z regałami, które do wysokości sześciu stóp wypełniały teczki. Między półkami tłoczyły się małe stoliki i krzesła.

Adams przez chwilę szperał w aktach, wyjął jakąś teczkę i położył na stoliku.

- Klapnij tutaj. Co to za szwindel?

Malvern oparł się łokciami o stół i zaczął przeglądać gruby plik wycinków prasowych. Nic ciekawego, kilka wzmianek ze świata polityki - ani jednej z pierwszej strony. Senator Courtway powiedział to i to, w związku z taką a taką sprawą publiczną, spotkał się z tym i tamtym, przyjechał tu i tam. Wszystko wyglądało dość nudno.

Na kilku fotografiach prasowych ujrzał szczupłego, siwowłosego mężczyznę o nieruchomej, opanowanej twarzy i głęboko osadzonych, ciemnych oczach, zupełnie pozbawionych blasku i ciepła.

- Dałbyś mi jego zdjęcie? Jakąś dobrą odbitkę.

Adams westchnął, przeciągnął się i zniknął za rzędami półek. Wrócił po chwili z błyszczącą czarno_białą fotką, którą rzucił na stół.

- Możesz ją zabrać - oznajmił. - Mamy tego na kopy. Facet jest nieśmiertelny. Załatwić ci zdjęcie z autografem?

Malvern zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się fotografii.

- W porządku - powiedział powoli. - Czy Courtway był kiedyś żonaty?

- Od kiedy wyrosłem z pieluszek, na pewno nie - mruknął Adams. - Prawdopodobnie nigdy nie był. No, puść farbę. Co to za cholernie tajemnicza sprawa?

Malvern uśmiechnął się, wyjął zza pazuchy piersiówkę i postawił na stoliku, obok teczki z wycinkami. Twarz Adamsa pojaśniała, a jego długa ręka sięgnęła ku butelce.

- W takim razie nie miał dziecka - ciągnął Malvern.

Adams zerknął chytrze spoza flaszki.

- No cóż, w gazetach o tym nie pisali. Z tego, co mi wiadomo o tym głupku, nie ma potomstwa.

Wypił solidny łyk, otarł usta i ponownie przechylił piersiówkę.

- To bardzo zabawne - zauważył Malvern. - Golnij sobie jeszcze potrójnego i zapomnij, że mnie kiedykolwiek widziałeś.

III

Grubas nachylił twarz do Malverna.

- Sąsiedzie, myślisz, że walka jest ustawiona? - wysapał.

- Tak. Dla Werry.

- Na ile jesteś o tym przekonany?

- A ile stawiasz?

- Mam do rozmnożenia pięć setek.

- Stoi - beznamiętnie powiedział Malvern.

Cały czas przyglądał się pszenicznowłosej głowie w rzędzie przy samym ringu. Oprócz falującej fryzury dostrzegał białą etolę i futro tego samego koloru. Nie widział twarzy dziewczyny. Nie było mu to potrzebne.

Tłuścioch wyciągnął z kieszeni kamizelki nabity portfel. Trzymając go na kolanach, odliczył dziesięć banknotów pięćdziesięciodolarowych i zwinął je w rulon.

- Zakład stoi, dziecino - wysapał, chowając portfel. - Pokaż swój szmal.

Malvern oderwał wzrok od dziewczyny i wyjął płaski plik nowych setek, jeszcze w banderoli. Odliczył pięć i podał sąsiadowi.

- Chłopie, ładnie to wygląda - stwierdził grubas. Znów zbliżył twarz do Malverna. - Jestem Skeets O'Neal. Nie boisz się, że zwieję?

Malvern z leniwym uśmiechem wepchnął pieniądze w rękę grubasa.

- Trzymaj, Skeets. Jestem Ted Malvern, syn starego Marcusa Malverna. Strzelam szybciej, niż ty biegasz. I zawsze mam kupę czasu, żeby ugadać sprawę.

Grubas odetchnął głęboko i poprawił się na krześle. Tony Acosta, rzuciwszy tkliwe spojrzenie zwitkowi banknotów wystających z zaciśniętych kluskowatych paluchów, oblizał wargi i niepewnie uśmiechnął się do Malverna.

- Jejku! To stracona forsa, panie Malvern - wyszeptał. - Chyba... chyba, że pan dostał jakiś cynk.

- Wystarczająco dobry na zakład o pięć setek - mruknął Malvern.

Brzęczyk ogłosił początek szóstej rundy.

Pierwszych pięć było wyrównanych. Duke'owi Targo, wielkiemu blondynowi, nie bardzo chciało się walczyć. Deacon Werra, silny nie skoordynowany Polaczek z zepsutymi zębami i kalafiorowatymi uszami, ze sztuki boksu opanował tylko brutalne klinczowanie i potężny sfing, wyprowadzany z piwnicy i zawsze chybiony. To na razie wystarczało, by trzymać Targo na dystans. Blondyn zdążył już zebrać niezłą porcję docinków od publiki.

Sekundant Targo zabrał stołek z ringu. Bokser poprawił srebrno_czarne spodenki i posłał dziewczynie w białym futrze pełen napięcia uśmieszek. Wyglądało na to, że jest w dobrej formie. Rozbity nos Werry zostawił na jego lewym ramieniu smugę krwi.

Zabrział gong. Werra przeleciał przez ring, prześlizgnął się pod ręką przeciwnika i trafił lewym hakiem. Cios nie był na tyle silny, żeby rzucić Targo na liny, ale jednak rzucił. Blondyn odbił się od lin i sklinczował.

Malvern uśmiechnął się w ciemnościach.

Sędzia rozdzielił walczących, Targo wyzwolił się ze zwarcia. Werra spróbował haka, ale nie trafił. Teraz urządzili sobie krótki sparring. Publika z galerii odpowiedziała kocią muzyką. Werra machnął swoim wyprowadzonym z wysokości kolan cepem. Targo wydawał się tylko na to czekać. Na jego twarzy ponownie pojawił się dziwnie napięty uśmieszek. Dziewczyna w białym futrze nagle wstała z miejsca.

Cios Werry ledwo musnął szczękę Targo. Blondyn nieznacznie się zachwiał i wystrzelił prawą, która trafiła Werre tuż nad okiem. Potem lewy hak wylądował na jego szczęce, a tuż za nim, niemal w tym samym miejscu, prawy sierp.

Brunet osunął się na kolana, ręce oparł na deskach, a potem powoli padł na rękawice. Wyliczanie sędziego zagłuszały gwizdy i wrzaski z galerii.

Grubas wstał z trudem i wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Jak ci się to podoba, kolego? Wciąż myślisz, że walka była ustawiona?

- Coś poszło nie tak - odparł Malvern beznamiętnie niczym policyjne radio.

- No to cześć, kolego. Wpadaj częściej.

Przeciskając się obok Malverna, grubas kopnął go w kostkę.

Malvern siedział nieruchomo i spoglądał na pustoszejące trybuny. Bokserzy wraz ze swoją świtą zeszli już schodami przy ringu do podziemi. Dziewczyna w białym futrze zniknęła w tłumie. W miarę jak gasły reflektory, hala sportowa przeistaczała się w obskurną stodołę.

Tony Acosta, nerwowo wierząc się w krzesło, obserwował mężczyznę w pasiastym kombinezonie, który zaczął zbierać śmieci pomiędzy rzędami.

* * *

Malvern gwałtownie wstał.

- Pójdę pogadać z tym gnojkiem, Tony. Poczekaj na mnie w samochodzie.

Ruszył rampą do hallu, przecisnął się między ostatnimi kibicami i znalazł szare drzwi z napisem: "Wstęp wzbroniony". Otworzył je, poszedł rampą w dół i po chwili

natrafił na kolejne drzwi z takim samym napisem. Stał tu strażnik w rozpiętej, wypłowiałej bluzie khaki. W jednej ręce trzymał butelkę piwa, w drugiej hamburgera.

Malvern mignął licencją detektywa i strażnik, nawet na nią nie spojrzawszy, odsunął się na bok. Zamykając za sobą drzwi, Malvern słyszał jeszcze jego czkawkę. Na czwartych z kolei drzwiach w korytarzu widniał przybity pinezkami kartonik z napisem: "Duke Targo".

Malvern otworzył je i zanurzył się w szum wody płynącej z prysznic, gdzieś poza zasięgiem wzroku.

W ciasnym pokoiku, na brzegu zarzuconego ubraniami stołu do masażu, siedział mężczyzna w białym swetrze. Malvern rozpoznał w nim sekundanta Targo.

- Gdzie jest Duke? - zapytał.

Mężczyzna w swetrze wskazał kciukiem tam, skąd dobiegał szum prysznic. Nagle do pokoju wpadł wysoki facet i chwiejąc się stanął tuż przed Malvernem. Jego kędzierzawe, rude włosy mocno już przyprószyła siwizna. W dłoni trzymał wielką szklankę z drinkiem. Był kompletnie pijany. Zmoczony włosy i przekrwione oczy dopełniały obrazu twarzy wykrzywianej przelotnymi uśmiezkami bez treści.

- Scramola Umpchay - wybełkotał.

Malvern spokojnie zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i sięgnął do kieszeni kamizelki pod rozpiętym niebieskim płaszczem po papierośnicę. Nawet nie spojrzął na przybysza. Nagle dłoń kędzierzawego błyskawicznie zniknęła pod marynarką. W sekundę potem na tle jasnego garnituru błysnęła nieoksydowana, zmatowiała broń. Ze szklanki w lewej ręce ulało się kilka kropel alkoholu.

- Nic z tego! - warknął.

Malvern bardzo powoli wyjął papierośnicę, pokazał ją kędzierzawemu, otworzył, wyjął papierosa i włożył go do ust. Niezbyt pewnie trzymany rewolwer podrygiwał tuż obok. Ręka ze szklanką tańczyła w takt szarpanego rytmu.

- Taaak. Chyba szukasz kłopotów - powiedział spokojnie Malvern.

Człowiek w swetrze wstał ze stołu do masażu i spojrzął na rewolwer.

- My lubimy kłopoty - odparł kędzierzawy. - Obszukaj go - Mike.

- Nie podoba mi się to, Shenvair. Na miłość boską, uspokój się. Jesteś pijany jak bela.

- Możesz mnie obszukać. Nie mam broni - powiedział Malvern.

- Nic z tego - zaprotestował człowiek w swetrze. - Mnie w to nie mieszaj. Ten gość to goryl Duke'a.

- Upiłem się jak cholera - zachichotał kędzierzawy.

- Jesteś przyjacielem Duke'a? - zapytał sekundant.

- Mam dla niego pewne informacje - odparł Malvern.

- Jakie informacje?

Malvern milczał.

- W porządku - zrezygnowanym głosem powiedział mężczyzna w swetrze.

- Wiesz, Mike? - zaczął gwałtownie kędzierzawy. - Myślę, że ten... chce zabrać mi robotę. Do diabła, tak? Wygląda mi na łobuza. Nie jesteś gliną, co? - szturchnął Malverna muszką rewolweru.

- Nie - odparł Malvern - trzymaj gnata przy sobie.

Kędzierzawy odwrócił lekko głowę i wykrzywił się do Mike'a.

- Co o tym sądzisz? To glina. Założę się, że chce zająć moje miejsce. Pewne jak w banku.

- Schowaj spluwę, głupcze - z niesmakiem powiedział Mike.

Kędzierzawy jeszcze trochę odwrócił głowę.

- Muszę ochraniać Duke'a, nie? - poskarżył się.

Ręka z papierosnicą niemal niedbale odtrąciła rewolwer. Kędzierzawy odwrócił się gwałtownie. Chwyciwszy uzbrojoną dłoń, Malvern zrobił krok do przodu i wpakował mu pięść w brzuch. Kędzierzawy zakrztusił się i oblał alkoholem płaszcz Malverna. Szklanka roztrzaskała się na podłodze. Rewolwer wypadł mu z ręki i poleciał do kąta. Ruszył po niego mężczyzna w swetrze.

Szum prysznicza ustał i zza zasłony wyszedł blond bokser, energicznie wycierając się ręcznikiem. Ujrawszy tę scenkę rodzajową, stanął jak wryty, z szeroko otwartymi ustami.

- Chłoptaş nie jest mi już potrzebny - powiedział Malvern.

Odepchnął kędzierzawego i walnął go prawą w szczękę. Pijany, przeleciał zataczając się przez pokój, uderzył w ścianę i opadł na podłogę.

Mężczyzna w swetrze chwycił rewolwer i stanął wyprostowany, uważnie przyglądając się Malvernowi, który czyścił płaszcz chustką do nosa. Targo zdążył już zamknąć swe kształtne usta. Powoli zaczął wycierać pierś ręcznikiem.

- Kim u diabła jesteś? - zapytał po chwili.

- Kiedyś byłem prywatnym detektywem. Nazywam się Malvern. Myślę, że potrzebujesz pomocy.

Zaczerwioną po prysznicu twarz Targo pociemniała jeszcze bardziej.

- Dlaczego?

- Słyszałem, że miałaś sprzedać walkę. Myślę, że nawet próbowałaś, ale Werra jest zbyt wielkim pataląchem. Nic nie mogłeś poradzić. A to znaczy, że wpackowałeś się w kabałę.

- Za takie teksty niektórzy łykali własne zęby - bardzo powoli powiedział Targo.

W pokoju na chwilę zapadła cisza. Kędzierzawy, mrugając oczyma, usiadł na podłodze. Usiłował wstać, ale dał spokój.

- Benny Cyrano to mój przyjaciel. A ty jesteś jego bokserem, co? - kontynuował spokojnie Malvern.

Mężczyzna w swetrze roześmiał się ochryple, wysunął bębenek, wytrząsnął naboje i upuścił rewolwer na podłogę. Wychodząc z pokoju, trzasnął drzwiami.

Targo obejrzał się, a potem cedząc słowa, zapytał:

- Co takiego słyszałeś?

- Twoja przyjaciółka, Jean Adrian, mieszka w moim hotelu na tym samym piętrze co ja. Dziś po południu ogłuszył ją jakiś oprych. Byłem akurat w pobliżu i widziałem, jak uciekał... Pomagałem dziewczynie się zebrać, a ona co nieco mi opowiedziała.

Targo włożył bieliznę i skarpetki. Z szafki wyjął czarną satynową koszulę.

- Nic mi o tym nie wspomniała.

- Przed walką nie mogła.

Targo lekko kiwnął głową.

- Jeżeli Benny to twój kumpel, chyba jesteś w porządku. Grożono mi. Może to tylko kupa bzdur albo pomysł jakiegoś cwaniaczka ze Spring Street na trafienie kilku dorców. Walka była uczciwa. A teraz możesz zjeżdżać.

Włożył obcisłe, czarne spodnie, czarną koszulę i biały krawat. Całości dopełniała biała marynarka z czesankowej wełny lamowana czarną plecionką. Z kieszonki kipiała czarno_biała chustka.

Malvern przez moment gapił się na ubranie Targo, a potem zrobił kilka kroków w stronę drzwi i zerknął na siedzącego pod ścianą pijaka.

- W porządku. W końcu masz obstawę. To był tylko taki pomysł. Przepraszam.

Wyszedł na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi.

Na ulicy wciąż padało. Skręcił za narożnik i znalazł się na wielkim, wysypanym żwirem parkingu.

Zabłyły światła reflektorów. W chrzęście mokrego żwiru podjechało jego coup~e. Za kierownicą siedział Tony Acosta. Malvern zajął miejsce pasażera.

- Jedź do Cyrana. Napijemy się - zaproponował.

- Rany, bomba! Dziś występuje tam panna Adrian. Wie pan, ta blondynka, o której mówiłem.

- Wiem, widziałem się z Targo. Można go polubić, ale nie jego ubrania.

IV

Gus Neishacker wyglądał jak stukilowy model z żurnala. Model o bardzo rumianych policzkach i cienkich, podkreślonych ołówkiem wytwornych brwiach jak z chińskiej wazy. W klapę smokingu wpiął czerwony goździk. Wąchał go od czasu do czasu, obserwując rozsadzającego gościa szefa kelnerów. Na widok Malverna i Tony'ego Acosty, którzy stanęli w sklepionym wejściu, uśmiechnął się szeroko i podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

- Jak leci, Ted? Duży stół?

- Jesteśmy tylko we dwójkę. Poznaj pana Acostę. Tony, to jest Gus Neishacker - kierownik sali "U Cyrana".

Neishacker uściśnął dłoń Tony'ego, nawet nie zaszczyciwszy go spojrzeniem.

- Słuchaj, ostatnim razem byłeś u nas z...

- Wyjechała z miasta - przerwał Malvern. - Daj nam stolik w pobliżu parkietu, ale nie na skraju. Ze sobą nie tańczymy.

Gus wyszarpnął menu spod pachy starszego kelnera i pokonawszy pięć wyłożonych karmazynowym dywanem stopni, poprowadził gościa wzdłuż stolików okalających owalny parkiet.

Usiedli. Malvern zamówił koktajle z żytniówką i kanapki z jajkiem na twardo, szynką i cebulą. Neishacker, przekazawszy zamówienie kelnerowi, przysiadł się do ich stolika. Wyjął ołówek i na wewnętrznej stronie kartonika firmowych zapalek zaczął rysować trójkąty.

- Widziałeś walkę? - zapytał niedbale.

- To była lipa?

Gus Neishacker uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Benny rozmawiał z Dukiem i uważa, że niegłupio kombinujesz.

Nagle spojrział na Tony'ego Acostę.

- On jest w porządku.

- Dobra. Zrób nam przysługę. Ukręć łeb całej sprawie. Benny lubi chłopaka i nie chce, żeby mu się coś stało. Gdyby uważał, że to coś więcej niż głupi dowcip łobuza z ulicznego totalizatora, dałby Duke'owi ochronę - prawdziwą ochronę. Benny nigdy nie obstawia tylko jednego boksera i dobiera ich cholernie starannie.

Malvern zapalił papierosa i kątem ust wydmuchał dym.

- Nie mój interes - powiedział spokojnie - ale myślę, że to jakiś szwindel. Takie sprawy czuję na miłę.

Gus Neishacker przyglądał mu się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Wstał i szybko odszedł, lawirując między stolikami. Tu i ówdzie nachylał się, by zamienić z gośćmi kilka słów i uśmiechów.

Aksamitne oczy Tony'ego Acosty rozbliły.

- Rany, panie Malvern! Myśli pan, że to brudna sprawa?

Malvern w milczeniu skinął głową. Kelner przyniósł koktajle i kanapki. Orkiestra na podium, po drugiej stronie parkietu, zagrała tusz. Uśmiechnięty, gładki konferansjer wskoczył na scenę i przytknął usta do małego mikrofonu.

Rozpoczął się występ. W świetle różnobarwnych reflektorów rząd półnagich tancerek falował na kształt sinusoidy. Błyszczały nogi. A pępki, niczym plamki ciemności, odbijały od nagich, białych brzuchów.

Twarda rudowłosa dziewczyna zaśpiewała twardą piosenkę głosem, którym można by rąbać drzewo na podpałkę. Na scenę wróciły tancerki w czarnych pończochach i jedwabnych kapeluszach. Tym razem obnażyły inne partie ciała.

Muzyka złagodniała i w bursztynowym świetle reflektora pojawił się wysoki amant, który głosem szlachetnym jak stara kość słoniowa zaśpiewał pieśń o kimś bardzo daleko, komu się nie powiodło.

Malvern upił nieco koktajlu i w półmroku skubnął kanapkę. Napięta twarz Tony'ego zniknęła w ciemności.

Amant opuścił scenę i nagle wszystko zgasło z wyjątkiem reflektorów oświetlających podium orkiestry i małych bursztynowych lampek nad wejściami do łóż.

W ciemnościach rozległy się chichoty kobiet. Pod sufitem zabłysnął punktowiec, rozjaśniając przejście obok sceny. W jego blasku twarze gości przybrały barwę kredy. Tu i ówdzie żarzyły się ogniki papierosów. W krąg światła wkroczyło czterech wysokich Murzynów, niosąc na ramionach sarkofag z mumią. Szli powoli, rytmicznie. Mieli egipskie nakrycia głowy, przepaski z białej skóry na biodrach, a na nogach takiego samego koloru sznurowane do kolan sandały. Ich wysmukłe kończyny lśniły niczym czarny marmur w poświacie księżycy.

Dotarli na środek parkietu i ostrożnie ustawili sarkofag pionowo. Powoli opadła pokrywa, złapał ją jeden z Murzynów. Potem - jak ostatni liść z martwego drzewa - z wnętrza sarkofagu wypadła owinięta w białe bandażę mumia. Przez moment wydawało się, że zawisała w powietrzu, by za sekundę w hałasie werbli spłynąć w dół.

Światła zgasły, a po chwili znów rozbłysły. Na podium wirowała wokół swej osi zabandażowana sylwetka. Jeden z Murzynów, obracając się w przeciwną stronę nawijał bandaż na siebie. Gdy skończył, białe, lśniące ciało dziewczyny wystrzeliło w górę, ku światłu reflektorów, i niczym piłka baseballowa zaczęło przechodzić z rąk do rąk trójki Murzynów.

Łoskot bębnow przeszedł w walc. Dziewczyna zatańczyła. Powoli i zwiewnie prześlizgiwała się obok partnerów, czterech hebanowych kolumn.

Występ był skończony. Oklaski zrywały się i opadały niczym fale. Zapadła ciemność. Kiedy światła znów rozbłysły, dziewczyna i czterej Murzyni zniknęli.

- Świetny numer - westchnął Tony Acosta. - Naprawdę świetny. To była panna Adrian, prawda?

- Taak. Nasz mały śmiałek - odpowiedział Malvern i zapalił papierosa. Rozejrzał się po lokalu. - Zaraz zobaczysz kolejny czarno_biały numer, Tony. Oto Duke Targo we własnej osobie.

Targo, z twarzą wykrzywioną uśmiechem, stał przy wejściu do jednej z łóż i głośno klaskał. Wyglądało na to, że wypił już kilka drinków.

Nagle czyjeś ramię otoczyło barki Malverna, a dłoń wpakowała się w popielniczkę na stole. Owionął go zapach szkockiej. Powoli odwrócił głowę. Zobaczył spoconą twarz Shenvaira, pijanego goryla Duke'a Targo.

- Czarnuchy i biała dziewczyna - wybełkotał Shenvair. - Wszawe. Co za nędza. Parszywa nędza.

Malvern uśmiechnął się z lekka i nieznacznie przesunął krzesło. Tony Acosta zacisnął usta w cienką linię i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Shenvaira.

- To nie czarnuchy, tylko ucharakteryzowani biali, panie Shenvair. Mnie się podobało.

- Kogo u diabła obchodzi, co ci się podobało? - warknął Shenvair.

Malvern, ciągle się uśmiechając, położył papierosa na brzegu talerza i jeszcze bardziej przesunął krzesło.

- Wciąż myślisz, że odbieram ci chleb, Shenvair?

- Wciąż. I wciąż należy ci się po ryju. - Wyjął dłoń z popielniczki, wytarł w obrus i zacisnął w pięść. - Chcesz, żeby wypłacić ci od razu?

Kelner złapał go za ramię i próbował odciągnąć.

- Zgubił pan swój stolik, proszę pana? Wskażę panu drogę.

Shenvair poklepał kelnera po ramieniu.

- Świetnie, wypijemy jeszcze po jednym. Nie podobają mi się ci faceci - dodał usiłując objąć go ramieniem.

Odeszli, znikając między stolikami.

- Do diabła, z tą knajpą, Tony - powiedział ponuro Malvern, wpatrując się w podium orkiestry.

Nagle jego spojrzenie nabrało ostrości. Obok sceny pojawiła się dziewczyna o pszenicznych włosach, w białej sukni i białej futrzanej etoli. Weszła do loży, przy której stał Duke Targo.

- Taak. Do diabła z tą knajpą - powtórzył Malvern. - Zbieramy się. Nie - poczekaj chwilę. Widzę jeszcze jednego faceta, który mi się nie podoba - dodał cicho, z napięciem w głosie.

Po drugiej stronie pustego w tej chwili parkietu, wzdłuż rzędu stolików, siedł mężczyzna. Brak kapelusza trochę zmieniał jego wygląd, ale twarz pozostała ta sama - płaska, blada, zimna facjata o blisko osadzonych oczach. Mężczyzna miał około trzydziestki i zaczynałłysieć na czubku głowy. Niewielkie wybrzuszenie marynarki pod lewym ramieniem było ledwo widoczne. To właśnie on uciekał z apartamentu Jean Adrian w hotelu Carondelet.

Mężczyzna wszedł do loży, w której przed chwilą zniknęła Jean Adrian.

- Poczekaj tu, Tony - rzucił Malvern.

Kopniakiem odepchnął krzesło i zerwał się na nogi. Ktoś lekko klepnął go w plecy. Gdy się odwrócił, tuż obok zobaczył wykrzywioną w grymasie, spoconą twarz Shenvaira.

- Wróciłem, kolego - zarechotał kędzierzawy i trzasnął Malverna w szczękę.

To był krótki, niezły jak na pijanego wyprowadzony cios. Malvern zatoczył się. Tony Acosta, warcząc jak kot, skoczył na równe nogi. Malvern nie zdołał jeszcze złapać równowagi, kiedy Shenvair zadał kolejny cios. Jednak ten był zbyt szeroki i za wolny. Malvern skrócił dystans i z całej siły uderzył Shenvaira w nos. Trysnęła krew. Ochlapała dłoń Malverna, który nie zdążył cofnąć ręki, ale już po chwili wróciła na twarz kędzierzawego. Shenvair wykonał obrót wokół własnej osi, przechylił się do tyłu i przyciskając rękę do nosa, ciężko klapnął na podłogę.

- Miej oko na tego ptaszka Tony - polecił Malvern.

Shenvair szarpnęła obrus przy sąsiednim stoliku. Na podłogę poleciały srebrne sztuce, porcelanowa zastawa, szkło. Rozległy się przekleństwa mężczyzn i piski kobiet. W stronę stolika biegł siny z wściekłości kelner.

W całym tym zamieszaniu Malvern ledwo usłyszał dwa wystrzały.

Oddane z małokalibrowej broni, jeden po drugim, były niegłośne. Biegający kelner stanął jak wryty. Wokół jego ust pojawiła się biała bruzda, niczym ślad po smagnięciu biczem.

Brunetka o spiczastym nosie otworzyła usta w niemym krzyku. To była jedna z tych chwil, kiedy wszyscy wstrzymują oddech i wydaje się, że cisza będzie trwać wiecznie. To był moment tuż po wystrzale. Malvern popędził w stronę łoży.

Roztrącił gości wyciągających głowy ku łoży, do której wszedł blady mężczyzna. Miała wysokie ścianki i nieco niższe wahadłowe drzwi. Nikt ich jeszcze nie otworzył, ludzie pochylali się tylko nad nimi, zaglądając do środka. Pokonawszy łagodnie, wyściełane dywanem podejście, Malvern dotarł na miejsce.

Zza drzwi wystawały podkurczone, rozrzucone nogi w ciemnych spodniach i czarnych butach z noskami skierowanymi w stronę łoży.

Malvern strząsnął czyjaś rękę z ramienia i wszedł do środka.

Na krawędzi stołu ujrzał mężczyznę twarzą i torsem przytulonego do białego obrusa. Lewa ręka wpadła pomiędzy stół i wyściełane krzesło; prawa niezbyt pewnie obejmowała kolbę leżącego na stole dużego, oksydowanego rewolweru, kaliber 45, z krótką lufą. Łysinka na czubku głowy i metal broni lekko połyskiwały. Wypływająca spod jego piersi krew tworzyła purpurową plamę na nasiąkającym niczym bibuła białym obrusie.

W głębi łoży w marynarce z białej czesankowej wełny stał wyprostowany Duke Targo. Lewą dłoń zacisnął na krawędzi stołu. Obok siedziała Jean Adrian. Targo tępo wpatrywał się w Malverna, jakby widział go po raz pierwszy. Wyciągnął w jego stronę wielką otwartą dłoń, na której leżał mały pistolet z kolbą wyłożoną białą masą.

- Zastzelełem go - powiedział głucho. - Wyjął broń i chciał do nas strzelać. Wtedy go zabiłem.

Jean Adrian wycierała dłonie chustką do nosa. Na jej zimnej, napiętej twarzy i w ciemnych oczach nie było widać strachu.

- Zastrzelełem go - powtórzył Targo, rzucając na obrus pistolet, który odbił się od blatu i o mało nie uderzył w głowę bladego mężczyzny. - Chodźmy... Chodźmy stąd.

Malvern położył dłoń na bezwładnej szyi mężczyzny i trzymał ją tak przez sekundę lub dwie.

- Nie żyje - oznajmił. - To dopiero nowina: porządny obywatel załatwił szajbusa.

Nieruchome spojrzenie Jean Adrian wpiło się w Malverna. Uśmiechnął się do niej, dotknął dłonią piersi Targo i popchnął go.

- Siadaj, Targo. Nigdzie nie pójdziesz.

- W porządku. Ale wiesz, ja go zastrzeliłem.

- Jasne. Uspokój się - powiedział Malvern.

Tłum ludzi za jego plecami gęstniał i napierał. Odpychał ich i cały czas uśmiechał się do poblądłej dziewczyny.

Sylwetka Benny'ego Cyrana przypominała dwa jajka. Mniejsze - głowa - sterczało na większym, które stanowiła reszta ciała. Drobne stopy w lakierkach ukrył pod ciemnym, matowym biurkiem. Lewą ręką nerwowo szarpał chustkę, której róg trzymał w zębach. Prawą wykonywał uspokajające gesty.

- Chwileczkę, chłopcy. Tylko bez nerwów - mitygował głosem stłumionym przez chustkę.

Środek pasiastej sofy zajmował Duke Targo, a po obu jego stronach tkwili detektywi z komendy miasta. Gęste blond włosy opadały na posiniaczoną kość policzkową boksera. Czarna satynowa koszula wyglądała tak, jakby używano jej jako hamaka.

Siwowłosy detektyw miał rozciętą wargę. Drugi - młody blondyn - podbite oko. Obaj wyglądali na wściekłych, ale blondyn bardziej.

Na krześle pod ścianą siedział okrakiem Malvern i znudzonym wzrokiem wpatrywał się w Jean Adrian. Na wyłożonym skórą bujanym fotelu dziewczyna nerwowo mięła chustkę. Oddawała się tej czynności od dawna, jakby zapomniała, co robi. Małe, stanowcze usta zacisnęła w grymasie gniewu.

Gus Neishacker palił papierosa, opierając się o zamknięte drzwi.

- Tylko spokojnie, chłopcy - powtórzył Cyrano. - Gdybyście go tak nie przyciskali, na pewno by się nie rzucił. To dobry chłopak. Najlepszy, jakiego mam. Dajcie mu spokój.

Z kącika ust Targo spływała krew, zastygając na wydatnym podbródku w postaci połyskującej plamki. Twarz miał pustą, bez wyrazu.

- Benny, chyba nie będziesz wymagał od tych chłopców, żeby przestali grać pałkami w bezika, co? - zimno zapytał Malvern.

- Masz jeszcze licencję prywatnego tajniaka, Malvern? - warknął blondyn.

- Gdzieś tu chyba leży.

- Kto wie, może ci ją zabierzemy? - takim samym tonem powiedział blondyn.

- Dla mnie, glino, możesz zatańczyć najwyżej w teatryku rewiowym.

Blondyn już się podnosił, ale starszy tajniak powstrzymał go.

- Daj spokój. Jeżeli podejdziesz bliżej niż na sześć stóp, to po nim.

Gus Neishacker uśmiechnął się do Malverna. Cyrano wykonał kolejny bezradny gest. Dziewczyna obserwowała Malverna spod rzęs. Targo splunął krwią na niebieski dywan.

Ktoś pchnął drzwi z zewnątrz i Neishacker odsunął się na bok, pozwalając im się nieco uchylić, a potem otworzyć na oścież. Do pokoju wszedł Mc\$chasey.

Mc\$chasey był porucznikiem w dochodzeniówce. Wysoki, rudowłosy, o wyblakłym spojrzeniu i wąskiej, podejrzliwej twarzy, miał około czterdziestki. Zamknął za sobą drzwi, przekręcił klucz i powoli zbliżył się do Targo.

- Martwy jak cholera. Jeden pod sercem, jeden w sercu. Znałeś go?

- Każdy dostanie, co mu się należy - mętnie odparł Targo.

- Zidentyfikowali go już? - wstając z sofy, zapytał siwowłosy policjant.

Mc\$chasey skinął głową.

- Torchy Plant. Spluwa do wynajęcia. Nie widziałem go ze dwa lata. Kiedy się naćpa, jest twardy jak wrośnięty paznokieć. Gnojek i włóczykij.

- Tylko taki ćpun mógł wydać bankiet w knajpie - powiedział siwowłosy.

- Masz pozwolenie na broń, Targo? - zapytał Mc\$chasey?

- Tak. Benny załatwił mi dwa tygodnie temu. Odebrałem kupę pogrózek.

- Niech pan posłucha, poruczniku - zatrajkotał Cyrano. - Jacyś kanciarze chcieli go nastraszyć. Ostatnie dziewięć walk wygrał przed czasem. Zarobili by niezłą forszę na zakładach. Poradziłem mu, żeby odpuścił jedną walkę.

- Mało brakowało i tak bym zrobił - poważnie powiedział Targo.

- No i przysłali tego szajbusa - dorzucił Cyrano.

- Może to i prawda. Ale jakim cudem byłeś od niego szybszy? Gdzie trzymałeś broń?

- W kieszeni na biodrze.

- Pokaż.

Targo wsunął dłoń do kieszeni na prawym biodrze i wyszarpnął z niej chustkę. Wskazujący palec wycelował niczym lufę pistoletu.

- Tę chustkę miałeś razem z bronią w kieszeni? - zapytał Mc\$chasey.

Wielka, rumiana twarz Targo nieco spochmurniała. Skinął głową.

Mc\$chasey pochylił się i wyjął płatek materiału z dłoni boksera. Powąchał go, rozwinął, znów powąchał, złożył i wsunął do swojej kieszeni. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Czy coś powiedział?

- Tylko: "Mam coś dla ciebie, śmieciu". I sięgnął po rewolwer. Ale gnat uwiązał mu w kaburze i ja byłem szybszy.

Mc\$chasey uśmiechnął się lekko, odchylił do tyłu, zakołysał na obcasach i zmierzył Targo wzrokiem od stóp do głowy.

- Tak. Powiedziałbym, że to cholernie dobre strzały, jak na kaliber dwadzieścia dwa. A ty jesteś cholernie szybki jak na tak dużego faceta... Kto odbierał pogrózki?

- Ja. Przez telefon.

Mc\$chasey sztywno przemierzył pokój i stanął przed wiszącym na ścianie plakatem sportowym. Odwrócił się i wolno podszedł do drzwi.

- Ten zabity gnojek niewiele dla mnie znaczy - powiedział cicho - ale od tego jest policja. Targo i dziewczyna pojedą z nami na komisariat, żeby złożyć zeznania. W drogę.

I Mc\$chasey opuścił pokój.

Dwaj detektywi podnieśli się z sofy i pociągnęli za sobą Duke'a Targo.

- Będiesz grzeczny? - szczechnęła siwowłosa.

- Jeżeli pozwolisz mi umyć twarz - szyderczo odparł Targo.

Wyszli z pokoju. Blondyn przepuścił Jean Adrian w drzwiach.

- A ty daj się wypchać! - warknął do Malverna.

- Lubię trociny. Mam w sobie coś z kornika, glino - miękko odparł Malvern.

Gus Neishacker parsknął śmiechem, zamknął drzwi i ruszył do barku.

- Trzęsę się jak trzeci podbródek Benny'ego - powiedział. - Napijmy się brandy.

Napełnił trzy koniakówki do jednej trzeciej wysokości i jedną zabrał ze sobą na pasiastą sofę. Wyciągnął na niej nogi, odchylił głowę i łyknął.

Malvern wstał i jednym haustem opróżnił swoją. Wyjął papierosa i powoli obracając go w palcach, spod oka przyglądał się białej, gładkiej twarzy Cyrana.

- Ile według ciebie można było zarobić na wieczornej walce? - zapytał. - Chodzi mi o zakłady.

Cyrano zamrugał i pulchną dłonią dotknął ust.

- Kilka tysięcy. To była zwykła, cotygodniowa walka. Ale jaki to może mieć związek?

Malvern włożył papierosa do ust, pochylił się nad biurkiem i zapalił zapalną o blat.

- Jeżeli ma, to morderstwo cholernie potaniało w tym mieście.

Cyrano nie odpowiedział. Gus Neishacker wypił resztę brandy i ostrożnie postawił pusty kieliszek na korkowym blacie okrągłego stolika obok sofy. W milczeniu wpatrywał się w sufit.

Chwilę później Malvern skinął głową obu mężczyznom, wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem, mijając otwarte garderoby. Wszędzie było ciemno. Odsunął kotarę zasłaniającą sklepione przejście i wydostał się na parkiet.

Szef kelnerów stał w westybulu i przez przeszklone drzwi popatrywał na moknące w deszczu plecy mundurowego policjanta. W pustej szatni Malvern znalazł swój płaszcz i kapelusz, ubrał się i stanął obok kelnera.

- Nie wiesz przypadkiem, co się stało z chłopakiem, z którym siedziałem przy stoliku?

Kelner potrząsnął głową i otworzył drzwi.

- Było tu czterysta osób... a ze trzy setki zwiało, zanim zameldowała się policja. Przykro mi.

Skinął mu głową i wyszedł w deszcz. Policjant obrzucił go niedbałym spojrzeniem. Malvern ruszył ulicą do miejsca, gdzie zostawił samochód. Nie było go. Rozejrzał się, przez moment stał na deszczu, a potem poszedł w stronę Mellrose.

Po chwili złapał taksówkę.

VI

Podjazd prowadzący do garażu hotelu Carondelet opadał łukiem w zimny półmrok. Ciemne cielska zaparkowanych samochodów wyglądały złowieszczo na tle białych ścian, a samotne światło w budce strażnika miało w sobie coś z bezlitosnego blichtru domu pogrzebowego.

Z budki, przecierając oczy, wyszedł wielki Murzyn, w poplamionym kombinezonie. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- ...wieczór, panie Malvern. Cosik pan dziś nie możesz zasnąć.

- Nie mogę usiedzieć na miejscu, kiedy pada. Założę się, że nie ma tu mojej landary?

- Nie ma, panie Malvern. Odkurzałem wszystkie samochody i pańskiego nie widziałem.

- Pożyczyłem go kumpłowi - drewnianym głosem powiedział Malvern. - Pewnie się rozwalił.

Pstryknął w powietrze półdolarówką i wrócił rampą na ulicę. Zaplecze Carondelet zamykały z jednej strony tylna ściana hotelu, a z drugiej, na wprost, dwa baraki i czteropiętrowy budynek z cegły, do którego wejście oświetlała mlecznobiała kula z napisem: "Hotel Blaine".

Malvern przeskoczył trzy betonowe stopnie i nacisnął klamkę. Zamknięte. Przez szklaną tafelę drzwi zajrzał do małego, zakurzonego foyer. Z kieszeni wyjął dwa wytrychy: drugi odrobinę ruszył zamek. Mocno przyciągnął rozklekotane drzwi i pomagając sobie pierwszym wytrychem, na tyle odsunął zatrzask, że puściły.

Wszedł do środka. W recepcji znalazł jedynie tabliczkę z napisem: "Kierownik" i dzwonek. Z tyłu wisiał prostokąt pustych, numerowanych skrytek na klucze. Malvern wyjął spod lady oprawiony w skórę rejestr gości hotelowych i przejrzawszy trzy strony, znalazł chłopięcy gryzmoł: "Tony Acosta" z dopisanym innym charakterem numerem pokoju.

Odłożył książkę hotelową i rezygnując z automatycznej windy, ruszył na trzecie piętro.

W korytarzu było bardzo cicho. Lampa pod sufitem ledwo rozpraszała mrok. Pod przedostatnimi drzwiami po lewej stronie Malvern zauważył smugę światła. To był pokój numer 411. Wyciągnął rękę, żeby zapukać, ale cofnął ją, nie dotykając drzwi.

Klamka była uwalana czymś, co wyglądało na krew. Tuż przy drzwiach, na parkiecie, zobaczył całą kałużę.

Czuł, jak potnieje mu dłoń. Zdjął rękawiczkę, zacisnął palce niczym szpony i powoli je rozluźnił. W jego oczach pojawił się ostry, pełen napięcia błysk.

Wyjął z kieszeni chustkę, chwycił przez nią klamkę i powoli nacisnął. Drzwi nie były zamknięte. Wszedł do środka.

Spojrzał w głąb pokoju.

- Tony... och, Tony - jęknął. Zamknął drzwi i znowu przez chustkę przekręcił klucz w zamku.

Pokój oświetlał żyrandol w kształcie czaszy, zwisający z sufitu na trzech mosiężnych łańcuchach. W jego blasku Malvern zobaczył zasłane łóżko, pastelowe meble, zielonkawy dywan i prostokątne biurko z eukaliptusowego drewna.

Przy biurku, z głową na lewym ramieniu, siedział Tony Acosta. Między nóżkami krzesła i stopami chłopca połyskiwała rudawa kałuża.

Malvern ruszył w jego stronę krokiem tak sztywnym, że już przy drugim zabołały go kostki. Dotknął ramienia siedzącego.

- Tony - wyszeptał głuchym, bezbarwnym głosem. - Na Boga, Tony!

Chłopak nie poruszył się. Malvern podszedł z drugiej strony. Zwarte uda Tony'ego przykrywał nasiąknięty krwią ręcznik kąpielowy. Prawa dłoń zacisnęła się na krawędzi blatu, tak jakby jej właściciel chciał podciągnąć się do góry. Tuż obok twarzy leżała pokryta gryzmołami koperta.

Malvern przysunął ją i powoli podniósł, jakby to było coś bardzo ciężkiego. "Pojechałem za nim... włoskiej dzielnicy... 28 Court Street... nad garażem... trafił mnie... chyba sam też dostał... pański samochód..." I niewyraźny odcisk linii papilarnych kciuka. Pióro wyjechało poza kartkę i zostawiło na blacie kleksa. Leżało teraz na podłodze.

Malvern pedantycznie złożył kopertę, starając się nie uszkodzić odcisku, i schował ją do portfela. Potem podniósł głowę Tony'ego i lekko obrócił ją twarzą ku sobie. Szyja była wciąż ciepła, dopiero zaczynała sztywnieć. Czarne, spokojne oczy Tony'ego zachowały aksamitny połysk. Jak wszystkie oczy przed chwilą zmarłych, wydawały się wpatrywać w punkt tuż obok obserwatora.

Malvern złożył głowę Tony'ego na wyciągniętym na blacie ramieniu. Rozluźnił się i lekko przechylił głowę, a jego oczy przybrały wyraz niemal senny. Po chwili jednak gwałtownie ją podniósł, a spojrzenie nabrało ostrości.

Zdjął płaszcz i marynarkę, podwinął rękawy koszuli, zmoczył ręcznik w znajdującej się w rogu pokoju umywalce i podszedł do drzwi. Wytarł z obu stron klamkę, a potem pochylił się i zmył krew z parkietu na korytarzu.

Wypłukał ręcznik, rozwiesił go na suszarce, dokładnie wytarł ręce i włożył ubranie. Wyszedł na korytarz, przekręcił klucz w zamku, wytarł go chustką i wrzucił do środka przez szparę pod drzwiami. Usłyszał jego brzęk, gdy klucz padał na podłogę.

Wrócił na dół i wyszedł z Hotelu Blaine. Wciąż padało. Na ulicy za rogiem zobaczył swój samochód. Stał kilka metrów od skrzyżowania, starannie zaparkowany, z wyłączonymi światłami i kluczykami w stacyjce. Wyjął je i dotknął siedzenia kierowcy. Było mokre i kleiło się. Wytarł rękę, podniósł szybę, zamknął samochód i zostawił go tam, gdzie stał.

W drodze powrotnej do hotelu Carondelet nie spotkał nikogo. Ostry, zacinający deszcz wciąż siekł opustoszałe ulice.

VII

Spod drzwi pokoju 914 padała cienka smuga światła. Malvern lekko zapukał i rozejrzał się po korytarzu. Powoli przebierał palcami w rękawiczce i czekał. Długo czekał.

- Tak? Kto tam? - zapytał w końcu znudzony głos.

- Ted Malvern, aniołku. Muszę się z tobą zobaczyć. Mam interes.

Szczęknięta zamek i drzwi się otworzyły. W progu stanęła dziewczyna. Twarz miała zmęczoną i bladą, oczy już nie chabrowo_fiołkowe, lecz raczej koloru miki, a pod nimi cienie przypominające smugi rozmazanego tuszu. Jej mała, silna dłoń zacisnęła się na krawędzi drzwi.

- To ty... tak myślałam, że to musisz być ty - powiedziała zmęczonym głosem. - Kapałam się. Cuchnę komisariatem.

- Za piętnaście minut? - lekkim tonem zapytał Malvern, ale jego spojrzenie nie straciło nic ze swej ostrości.

Wzruszyła leniwie ramionami i skinęła głową. Drzwi zatrzasnęły się tak szybko, jakby chciały go zaatakować. Malvern wrócił do własnego apartamentu, zrzucił płaszcz i kapelusz, nalał sobie whisky i wszedł do łazienki. Z kranu nad umywalką dołał zimnej wody.

Pił powoli, spoglądając w ciemność nad bulwarem. Od czasu do czasu przejeżdżał samochód - dwa promienie białego światła wytryskujące z nicości.

Skończył drinka, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Potem włożył świeże ubranie, uzupełnił swoją wielką piersiówkę i umieścił ją w wewnętrznej kieszeni marynarki. Z walizki wyjął pistolet i przyglądał mu się przez moment, ważąc w dłoni. Po chwili schował go do walizki i zapalił papierosa.

Wcisnął na głowę inny kapelusz, włożył sztruksową marynarkę i wyszedł. Drzwi do pokoju 914 wyglądały podejrzanie. Były uchylone. Lekko zapukał, wślizgnął się do środka, zamknął je, dotarł do salonu i zobaczył Jean Adrian.

Siedziała na kanapie. Musiała dopiero co wyjść z kąpieli. Miała na sobie gładką piżamę koloru śliwki i chiński szlafrok. Kosmyk mokrych włosów opadł jej na skroń. Drobne, regularne rysy wyrazistością przypominały kameę. Taką wyrazistość bardzo młodym ludziom nadaje zmęczenie.

- Napijesz się czegoś? - zapytał Malvern.

- Chyba tak.

Malvern wyjął z barku szklanki, nalał whisky, uzupełnił zimną wodą i trzymając je w ręce, podszedł do kanapy.

- Wciąż męczą Targo?

Ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Wpatrywała się w swoją szklankę.

- Znów pokazał, co potrafi. Rozbił o ścianę dwóch policjantów. Cały komisariat jest w nim zakochany.

- Musi się jeszcze sporo nauczyć o policjantach. Rano będą w niego wycelowane wszystkie aparaty fotograficzne. Już widzę te nagłówki: "Znany bokser zbyt szybki dla zawodowca", "Duke Targo załatwił gangstera".

Dziewczyna łyknęła odrobinę whisky.

- Jestem zmęczona - powiedziała. - I bolą mnie stopy. Powiedz lepiej, jaki masz interes.

- Jasne.

Otworzył papierośnicę i poczęstował dziewczynę.

- Jak już zapalisz - zaczął - powiesz mi, dlaczego go zastrzełaś.

Jean Adrian włożyła papierosa między wargi, pochyliła twarz nad zapaloną zapalką, zaciągnęła się i odrzuciła głowę do tyłu. Jej oczy powoli nabrały blasku, a uśmiech złagodził linię zaciśniętych ust. Nie odpowiedziała.

Malvern obserwował ją przez chwilę, obracając w dłoniach szklankę. Spojrzał na podłogę i rzekł:

- To był twój pistolet - taki sam widziałem u ciebie dziś po południu. Targo zeznał, że trzymał broń w kieszeni na biodrze - najgorszym miejscu, jakie można sobie wyobrazić. I o dziwo, zdążył dwoma strzałami załatwić zawodowca, zanim ten wyjął splotkę z kabury pod pachą. To nie trzyma się kupy. Ale ty poznałaś tego gościa i jeżeli miałaś pistolet w torebce na kolanach, mogłaś to zrobić. Zwłaszcza, że interesował go Targo.

- Słyszałam, że jesteś prywatnym kapusiem - powiedziała beznamiętnie. - I w dodatku synem politykiera, prawdziwego bossa. Rozmawiali o tobie w komendzie. Wyglądało na to, że trochę się ciebie obawiają, szczególnie twoich znajomości. Kto cię na mnie poszczuł?

- Oni się mnie nie boją, aniołku. Chcieli tylko sprawdzić, jak zareagujesz na takie gadki. Chcieli wiedzieć, czy jestem w to zamieszany. Jeszcze nie mają pojęcia o co tu chodzi.

- Wywęszyli już wystarczająco dużo, żeby je mieć.

Malvern potrząsnął głową.

- Glina nigdy nie uwierzy w to, czego dowiedział się bez trudu. Zbyt jest przyzwyczajony do bajeczek. Myślę, że Mc\$chasey domyśla się, że to ty strzelałaś. I zna już odpowiedź na pytanie, czy broń była w kieszeni razem z chustką do nosa.

Oslabłe nagle palce dziewczyny wypuściły do połowy wypalonego papierosa. Przeciąg zakolysał zasłonami w oknach, zawirował popiół w popielniczce.

- W porządku - powiedziała powoli. - To ja go zastrzeliłam. Uważasz, że miałam inne wyjście? Po tym, co wydarzyło się po południu?

Malvern skubał płatek ucha.

- Zbyt lekko mówię o tej sprawie - powiedział miękko. - Nie masz pojęcia, jak mi ciężko na sercu. Wydarzyło się coś strasznego, coś paskudnego. Myślałaś, że ten facet naprawdę chciał zabić Targo?

- Tak. Inaczej bym go nie zastrzeliła.

- Przypuszczam, że chciał go tylko nastraszyć. To już się zdarzało. Poza tym nocny lokal to kiepskie miejsce, jeśli chodzi o ucieczkę.

- Tacy ludzie nie noszą czterdziestkiptki, żeby napędzić komuś stracha. A zwiac z lokalu mógłby spokojnie. Na pewno przyszedł kogoś zastrzelić. Nie chciałam, żeby Duke nadstawiał za mnie karku. Jak już było po wszystkim, wyrwał mi pistolet z dłoni i wyszło, że strzelał on. A zresztą, jakie to ma znaczenie? Wiedziałam, że prawda i tak w końcu się wyda.

Ze wzrokiem utkwionym w podłódze obracała w roztargnieniu tłącego się w popielniczce papierosa.

- To wszystko, co chciałaś wiedzieć? - niemal szeptem zapytała po chwili?

Malvern zerknął z ukosa na dziewczynę. Przyglądał się wyrazistej linii kości policzkowych i szyi.

- Maczał w tym palce Shenvair. Kumpel, z którym byłem "U Cyrana", śledził go do meliny. Shenvair go zastrzelił. Nie żyje. Nie żyje, aniołku... młody człowiek, który pracował w tym hotelu. Tony, szef chłopców hotelowych. Gliny jeszcze o tym nie wiedzą.

W ciszy, która zapadła, rozległ się głośny szcęk zamykanych drzwi windy. W dole, na zalanym deszczem bulwarze posępnie zatrąbił jakiś samochód. Nagle dziewczyna przechyliła się do przodu, potem na bok i jej głowa opadła na kolana Malverna. Poprzecinane małymi, niebieskimi żyłkami powieki drżały.

Malvern ostrożnie objął dziewczynę ramieniem, potem swobodnie, stopniowo wzmacniając chwyt, podniósł do góry, zbliżył jej twarz do swojej i pocałował w kącik ust.

Otworzyła mętne, nieprzytomne oczy. Malvern pocałował ją jeszcze raz, tym razem mocno i ułożył na oparciu kanapy. - Nie udawałaś, prawda, zapytał cicho.

Zerwała się na równe nogi i odwróciła do niego plecami.

- Jest w tobie coś potwornego! - powiedziała niskim, napiętym gniewnie głosem. - Coś... satanicznego. Przychodzisz i mówisz, że zabito jakiegoś człowieka... a potem mnie całujesz. To jakiś absurd.

- Jest coś potwornego w każdym facecie, który traci głowę dla kobiety należącej do innego.

- Nie jestem jego kobietą! - ucięła. - Nawet go nie lubię... ciebie też.

Spoglądali na siebie wrogo. Malvern wzruszył ramionami. Dziewczyna zacisnęła zęby.

- Wynoś się! - powiedziała gwałtownie. - Nie mam już siły z tobą rozmawiać. Pójdiesz wreszcie?!

- Czemu nie? - odparł Malvern. Wstał, włożył marynarkę i kapelusz.

Dziewczyna głośno załkała i szybkim, lekkim krokiem podeszła do okna. Stała nieruchomo, plecami do Malverna.

Spojrzał na nią, zbliżył się i przez chwilę przywarł wzrokiem do jej opadających na kark miękkich włosów.

- Dlaczego, u diabła, nie chcesz, żebym ci pomógł? Wiem, że coś jest nie tak. Nie zrobię ci krzywdy.

- Wynoś się! - wściekle warknęła dziewczyna w zasłonę na oknie. - Nie chcę twojej pomocy. Wynoś się i nie wracaj. Nie chcę cię więcej widzieć.

- Myślę, że potrzebujesz pomocy. Czy tego chcesz, czy nie. Na biurku stoi fotografia w oprawce. Sądzę, że wiem, kim jest człowiek na zdjęciu... I sądzą, że wciąż żyje.

Dziewczyna odwróciła się i z napięciem patrzyła w jego oczy. Była blada jak papier, oddychała ciężko, chrapliwie.

- Jestem w potrzasku. W potrzasku. Nic na to nie możesz poradzić - powiedziała po chwili, która wydawała się bardzo długa.

Malvern podniósł dłoń i powoli powiódł palcami po jej policzku, aż do podbródka. Jego oczy rozjarzył twardy, brązowy blask. Uśmiechnął się przebiegle, prawie chytrze.

- Pomyliłem się, aniołku. Nie znam tego faceta na zdjęciu. Dobranoc.

Przeszedł przez mały przedpokój i otworzył drzwi na korytarz. Dłoń dziewczyny zacisnęła się na zasłonie i przytuliła ją do policzka.

Malvern nie zamknął za sobą drzwi. Zastygł w bezruchu, spoglądając na dwóch facetów z bronią gotową do strzału, którzy pojawili się na progu.

Stali tak blisko, że chyba mieli właśnie zapukać. Jeden był krępy ponurakiem o ciemnej karnacji, drugi albinosem o czerwonych, przenikliwych oczach, wąskiej głowie i śnieżnobiałych włosach, które wystawały spod przemoczonego kapelusza. W odrażającym grymasie pokazał drobne, ostre zęby szczura.

Malvern spróbował zamknąć drzwi.

- Zostaw je, kmiotku. Mówię o drzwiach. Wchodzimy do środka - powiedział albinos.

Drugi facet przysunął się do Malverna i lewą ręką starannie go obmacał.

- Broni nie ma, ale za to pod pachą niezłą piersiówkę - oznajmił.

- Bądź spokojny, kmiotku. Panienska też nam się przyda.

Albinos wymachiwał bronią.

- Słuchaj, Critz, możesz schować spluwę. Znam ciebie i twojego szefa. Jeżeli chce się ze mną widzieć, chętnie z nim pogadam - zaproponował Malvern.

Odwrócił się i wszedł do pokoju. Dwaj faceci ruszyli za nim.

Jean Adrian wciąż stała przy oknie, z zamkniętymi oczami i twarzą wtuloną w zasłonę, jakby wcale nie słyszała głosów z korytarza.

Dopiero teraz gwałtownie otworzyła oczy. Powoli odwróciła się i omijając wzrokiem Malverna, spojrzała na dwóch goryli. Albinos stanął na środku pokoju, bez słowa zajrzał w każdy kąt, a potem do sypialni i łazienki. Dobiegł ich stamtąd trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Po chwili, stąpając miękko jak kot, wrócił do salonu, rozpiął płaszcz i zsunął z czoła kapelusz.

- Ubieraj się, siostrzyczko. Mała przejażdżka w deszczu. Okay?

Dziewczyna wpatrywała się w Malverna, który wzruszył ramionami i z nieznacznym uśmiechem na wargach rozłożył ręce.

- Nie ma rady, aniołku.

Twarz Jean Adrian wykrzywił wyraz pogardy.

- Ty... ty... - syknęła.

Sztywno przeszła przez pokój i zniknęła w sypialni.

Albinos wsunął papierosa między wąskie wargi i zaniósł się gulgoczącym chichotem, jakby usta miał pełne śliny.

- Chyba cię nie lubi, kmiotku.

Malvern zmarszczył brwi, podszedł powoli do biurka, oparł się o krawędź blatu i spojrzał na podłogę.

- Myśli, że ją wydałem - powiedział bezbarwnym głosem.

- Może ma rację - wycedził albinos.

- Lepiej miej ją na oku. Umie się obchodzić z bronią - ostrzegł go Malvern.

Sięgnął od niechcienia do tyłu, namacał zdjęcie w ramce, położył je na blacie i wsunął pod bibularz.

VIII

Malvern wsparł łokieć na oparciu sterującym ze środka tylnego siedzenia samochodu i w zagłębieniu dłoni ułożył podbródek. Przez na wpół zaparowaną szybę patrzył na ulicę, na zacinający deszcz, który połyskiwał w światłach reflektorów. Bębnienie kropli o karoserię przypominało odległą strzelaninę.

W przeciwległy kąt wcisnęła się Jean Adrian. Miała na sobie czarny kapelusz i szare futro o jedwabistym włosie, dłuższym niż karakulę i nie tak poskręcany. Nie spojrzała nawet na Malverna i nie odzywała się do niego.

Albinos siedział z przodu, obok prowadzącego samochód krępego bruneta. Jechali pustymi ulicami, cały czas pod górę, mijając zamazane domy, zamazane drzewa, zamazane światła latarń i neonów, które wyłaniały się zza zasłony deszczu. Nieba nie było widać.

Kiedy dotarli do skrzyżowania, w słabym świetle lampy Malvern odczytał nazwę ulicy: "Court Street".

- To włoska dzielnica, Critz. Twój szef nie ma już chyba tyle szmalu co kiedyś - powiedział cicho.

Albinos spojrzał przez ramię na Malverna. W jego oczach odbijało się światło ulicy.

- Powinieneś wiedzieć, kmiotku.

Zwolnili przed wielkim, drewnianym domem z ażurową werandą. W żadnym z okien nie paliło się światło. Po drugiej stronie ulicy Malvern zauważył budynek z cegły, a na nim szyld: "Paulo Perrugini - zakład pogrzebowy".

Szeroki zakręt zaprowadził ich na wysypyany żwirem podjazd; reflektory oświetliły wnętrze otwartego garażu. Samochód wtoczył się do środka i zatrzymał obok wielkiego, błyszczącego karawanu.

- Wsiadka! - szczechnął albinos.

- Widzę, że nasza następna podróż jest już zaplanowana - powiedział Malvern.

- Dowcipniś - warknął albinos. - Mądrała.

- Aha, mam wisielcze poczucie humoru - wycedził Malvern.

Krępy kumpel albinosa zgasił silnik, błysnął światłem dużej latarki, wyłączył reflektory, wysiadł z samochodu i oświetlił wąskie drewniane schody w rogu garażu.

- Idziemy na górę, kmiotku - zarządził albinos. - Dziewczyna pierwsza. Ja z tyłu, z gnatem w ręku.

Jean Adrian wysiadła z samochodu, nawet nie spojrzawszy na Malverna. Zaczęła wspinać się po schodach, na czele procesji złożonej z trzech mężczyzn. Jej ruchy były sztywne.

Po chwili otworzyła drzwi na szczycie schodów i wszystkich oślepiło ostre białe światło. Weszli na pustą, poprzdzielaną podporami stropu poddasze z zamkniętymi na głucho i zamalowanymi na czarno kwadratowymi oknami. Naga żarówka zwisała nad kuchennym stołem, przy którym tkwił jakiś zwalisty mężczyzna. Tuż przy jego łokciu stała wypełniona niedopałkami podstawka pod doniczkę. Dwa wciąż jeszcze się tliły.

Na łóżku pod ścianą siedział chudy facet z lugerem obok lewej dłoni. Wyposażenia pokoju dopełniały jakieś pojedyncze meble i wytarty dywan. Na wpół otwarte drzwi w rogu pomieszczenia odsłaniały sedes i fragment staroświeckiej wanny na żelaznych nóżkach.

Mężczyzna przy stole nie był przystojniakiem. Kwadratową, agresywną twarz o mocno zarysowanych szczękach zdobiły włosy koloru marchewki i ciemniejsze od nich brwi. W grubych wargach ścisnął papierosa. Drogie ubranie, które miał na sobie, wyglądało, jakby w nim sypiał. Niedbale rzucił okiem na Jean Adrian.

- Zaparkuj gdzieś tutaj, siostrzyczko - powiedział, nie wyjmując z ust papierosa. - Cześć, Malvern. Mańkut, daj mi gnata, a wy, chłopaki, spadajcie na dół.

Dziewczyna przeszła cicho przez poddasze i usiadła na prostym, drewnianym krześle. Mężczyzna na łóżku wstał, zbliżył się do kuchennego stołu, położył lugera obok łokcia zwalistego i razem z resztą obstawy zszedł na dół. Drzwi zostawił otwarte.

Wielki facet dotknął lugera i spojrzał na Malverna.

- Jestem Doll Conant, może sobie mnie przypominasz - powiedział sarkastycznie.

Malvern stał swobodnie. Szeroko rozstawił nogi, głowę odchylił do tyłu, a rękę włożył do kieszeni płaszcza. Ale spojrzenie jego sennie przymkniętych oczu było bardzo zimne.

- Pamiętam. Pomogłem mojemu ojcu przykleić ci jedyny wyrok, jaki dostałeś.

- Nie było żadnego wyroku, głupku. Sąd apelacyjny go uchylił.

- Może tym razem się uda - beztrósco rzekł Malvern. - Na obszarze tego stanu porwanie to poważne przestępstwo.

Conant wykrzywił twarz w uśmiechu. Jej wyraz wskazywał, że jest w dobrym humorze.

- Nie ma się o co kłócić. Jest interes do obgadania, a ty znasz lepsze dowcipy niż ten, który przed chwilą powiedziałaś. Siadaj... albo lepiej idź zobaczyć eksponat numer 1. Leży w wannie. Przyjrzyj mu się dobrze. Potem możemy podyskutować.

Malvern odwrócił się, podszedł ku drzwiom łazienki, pchnął je i wszedł do środka. Zapalił żarówkę w oprawce przymocowaną do ściany i pochylił się nad wanną.

Zesztywniał. Po chwili bardzo wolno wypuścił powietrze z płuc, lewą ręką przymknął drzwi i jeszcze raz nachylił się nad wielką żeliwną wanną.

Była wystarczająco długa, by pomieścić wyprostowanego człowieka. Leżał na plecach. W ubraniu i kapeluszu na głowie, chociaż nie wyglądało na to, że sam go włożył. Włosy miał gęste, kędzierzawe, mocno przetykane siwizną. Twarz była zalana krwią. W wewnętrznym kąciku lewego oka Malvern dostrzegł dziurę z czerwoną obwódką.

To był Shenvair. Nie żył.

Malvern wciągnął powietrze i powoli się wyprostował. Nagle jego uwagę przykuła szczelina pomiędzy wanną i ścianą. Na zakurzonej podłodze połyskiwał metalicznie jakiś przedmiot. Rewolwer - taki sam, jakim wymachiwał Shenvair.

Obejrzał się szybko. Przez szparę w nie domkniętych drzwiach zobaczył fragment poddasza, wejście na schody i stopę Dolla Conanta na dywanie pod kuchennym stołem. Powoli sięgnął za wannę i podniósł rewolwer. Cztery odsłonięte komory bębena załadowane były nabojami w stalowych płaszczach.

Malvern wsunął broń do kieszeni na biodrze, ściągnął pasek i zapiął płaszcz. Wychodząc z łazienki, ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

- Siadaj - powiedział Doll Conant i wskazał krzesło po drugiej stronie stołu.

Malvern zerknął na Jean Adrian. Spod czarnego kapelusza wpatrywały się w niego zaintrygowane oczy, na tle białej, nieruchomej twarzy ciemne i nieokreślone.

Uśmiechnął się do niej i gestem wskazał łazienkę.

- Tam jest pan Shenvair. Miał wypadek... Nie żyje.

Spojrzenie, którym go obdarzyła, było bez wyrazu. Nagle wzdrygnęła się gwałtownie i ponownie popatrzyła na niego.

Malvern usiadł na krześle po drugiej stronie stołu.

Conant zerknął na niego i do kolekcji w białej podstawie dorzucił jeszcze jeden niedopałek. Pociągnięciem przez całą długość blatu zapalił zapalniczkę i przytknął ją do następnego papierosa.

- Tak, nie żyje. Ty go zastrześliś - powiedział niedbale i wydmuchnął chmurkę dymu.

- Nie - uśmiechnął się Malvern i potrząsnął lekko głową.

- Daruj sobie te niewinne oczęta, kolego. Zastrześliś go. Ten lokal należy do Perruginiego - makaroniarskiego grabarza, który ma swój zakład po drugiej stronie ulicy.

Od czasu do czasu na kilka godzin wynajmuje to mieszkanie chłopakom. Tak się składa, że to mój kumpel, jest bardzo pomocny w kontaktach z makaroniarzami. Ostatnio wynajął poddasze Shenvairowi. Włoch nie znał go, ale ten wiedział, jak z nim gadać. Dziś wieczorem Perrugini usłyszał strzały, wyrzwał przez okno i zobaczył gościa wsiadającego do samochodu. Zdążył odczytać numery. Twoje numery.

Malvern znowu potrząsnął głową.

- Ale to nie ja go zastrzeliłem.

- Spróbuj to udowodnić... Makaroniarz przyleciał tu i na schodach znalazł Shenvaira. Już nie żył. Zawłókł go na górę i wsadził do wanny - jakiś głupi pomysł, przypuszczalnie ze względu na krew. Potem przeszukał go i znalazł licencję prywatnego detektywa. Wtedy naprawdę strach go obleciał. Kiedy dowiedziałem się od niego, kto tu leży, wskoczyłem do bryki i przycisnąłem gaz do dechy.

Conant urwał i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w Malverna.

- Słyszałeś o strzelaninie w lokalu "U Cyrana"? - cicho zapytał Malvern.

Conant skinął głową.

- Byłem tam razem z chłopakiem z mojego hotelu - ciągnął Malvern. - Tuż przed aferą Shenvair uderzył mnie. Chłopak pojechał za nim aż tutaj i doszło do strzelaniny. Shenvair był pijany i wystraszony. Założę się, że to on strzelił pierwszy. Nawet nie wiedziałem, że chłopak ma gnata. Shenvair postrzelił go w brzuch. Dzieciak zdołał jeszcze dotrzeć do swojego hotelu. Przed śmiercią napisał mi kilka słów na kartce. Mam ją przy sobie.

- To ty zastrzeliłeś Shenvaira albo zleciłeś to chłopakowi - powiedział po chwili Conant. - Powiem ci dlaczego: chciał się wycofać z tego waszego interesu z szantażem i wygadał wszystko Courtwayowi.

Malvern wyglądał na zaskoczonego. Rzucił spojrzenie ku Jean Adrian. Siedziała pochylona na łóżku i wpatrywała się w niego roziskrzonymi oczami. Na twarz wróciły jej rumieńce.

- Przepraszam cię, aniołku - powiedziała miękko. - Pomyliłam się co do ciebie.

Lekki uśmiech rozjaśnił twarz Malverna.

- Ona myślała, że to ja puściłem farbę - powiedział do Conanta. - Czy przypadkiem ten Courtway to nie nasz senator stanowy, a twój tresowany piesek?

Twarz Conanta pobladła. Położył papierosa na podstawce, pochylił się nad stołem i walnął Malverna pięścią w usta.

Malvern wraz z koślawym krzesłem rąbnął do tyłu i uderzył głową o podłogę.

Jean Adrian zerwała się z łóżka.

Malvern, przekręciwszy się na brzuch, wstał i postawił krzesło. Z kieszeni wyjął chustkę, którą raz i drugi przyłożył do ust.

Na schodach zadudniły czyjeś kroki i do pokoju zajrzał albinos. W rękę trzymał rewolwer.

- Potrzebuje pan pomocy, szefie?

- Wynoś się - nie patrząc na niego, powiedział Conant. - Wynoś się, zamknij drzwi i nie kręć się tutaj!

Drzwi się zamknęły. Po chwili ucichły kroki albinosa. Malvern zwiesił lewą rękę za oparciem krzesła i kołysał nią lekko w tę i w tę. W prawej dłoni wciąż trzymał chustkę. Wargi mu pociemniały i zaczęły puchnąć. Oczy utkwili w lugerze leżącym obok łokcia Conanta, który właśnie wyjął z podstawki papierosa i włożył go do ust.

- Jeżeli ci się zdaje, że będę chciał ukręcić kark tej aferze z szantażem, to jesteś w błędzie, braciszku. Załatwię to od ręki. Raz na zawsze. A ty wszystko wyśpiewasz. Na dole czeka trzech chłopaków, którym przyda się trochę gimnastyki. Lepiej zacznij mówić.

- W porządku. Ale twoi chłopcy są na dole. - Malvern schował chustkę pod płaszcz i wyjął ją wraz z rewolwerem. - Weź lugera za lufę i przesun go do mnie.

Conant nawet nie mrugnął. Jego oczy zamieniły się w szparki. Papieros drgnął w zaciśniętych ustach. Nie dotknął lugera.

- Chyba wiesz, co się teraz z tobą stanie - powiedział po chwili.

Malvern lekko potrząsnął głową.

- Chyba mnie to tak bardzo nie interesuje. Ale jeżeli nawet coś się ze mną stanie, to ty na pewno się o tym nie dowiesz.

Przez długie sekundy Conant nieruchomo wpatrywał się w Malverna i jego rewolwer.

- Skąd go masz? Te fagasy cię nie obszukały?

- Obszukały. To jest rewolwer Shenvaira. Twój przyjaciel makaroniarz musiał kopnąć go pod wannę. Bardzo nierozsądnie.

Dwoma grubymi paluchami Conant odwrócił lugera i popchnął go w stronę Malverna. Pokiwał głową.

- To rozdanie przegrałem - powiedział bezbarwnym głosem. - Powinienem być o tym pomyśleć.

W tej sytuacji to chyba ja muszę zacząć gadać.

Jean Adrian szybkim krokiem przemierzyła pokój i stanęła przy stole. Malvern lewą ręką zgarnął lugera i wsunął dgo do kieszeni płaszcza. Dłoń, w której trzymał rewolwer, oparł na poręczy krzesła.

- Kim jest ten człowiek? - zapytała Jean Adrian.

- To Doll Conant, miejscowa szycha. Senator John Myerson Courtway jest jego wtyczką w Kongresie Stanowym. A senator Courtway, aniołku, to człowiek, którego zdjęcie widziałem na twoim biurku. Człowiek, o którym mówiłaś, że był twoim ojcem i że nie żyje.

- To jest mój ojciec - bardzo spokojnie odpowiedziała dziewczyna. - Wiedziałam, że żyje. Właśnie szantażuję go... na sto kawałków. Shenvair, Targo i ja. Nigdy nie ożenił się z moją matką. Jestem bękartem. Ale jako jego córka mam jakieś prawa. Przez cały czas podle traktował moją matkę, a na koniec zostawił ją bez grosza. Wynajął detektywów, żeby mnie śledzili. Całymi latami. Jednym z nich był Shenvair. Rozpoznał mnie na fotosach przed lokalem "U Cyrana". Wtedy poznałam Targo. Shenvair pojechał do San Francisco i przywiózł kopię mojej metryki. Mam ją ze sobą.

Pogrzebała w torebce. Z kieszonki w podszewce, zamykanej na zamek błyskawiczny, wyjęła papier i położyła na stole.

Conant spojrział na dziewczynę, sięgnął po niego, rozłożył i przeczytał.

- To niczego nie dowodzi - powiedział powoli.

Malvern wyjął lewą rękę z kieszeni i wyciągnął ją po dokument. Conant popchnął go po stole w jego kierunku.

Była to rejentalnie poświadczona kopia metryki dziewczynki, Adriany Gianni Myerson, córki Johna i Antoniny Gianni Myerson. Malvern położył papier na biurku. - Adriana Gianni - Jean Adrian. Czy to odwrócenie miało coś znaczyć, Conant?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Shenvair przestraszył się, wykombinował sobie tę kryjówkę i dał cynk Courtwayowi. Myślałem, że to dlatego dostał w czapę. Targo nie mógł tego zrobić, bo siedzi w komisariacie. Może pomyliłem się co do ciebie, Malvern.

Malvern bez słowa, tępo wpatrywał się w Conanta.

- To moja wina - powiedziała Jean Adrian. - Cała ta paskudna sprawa to tylko moja wina. Teraz to widzę. Chciałabym powiedzieć Courtwayowi, że już nigdy o mnie nie usłyszysz i... że jest mi przykro. Chciałabym tylko wymóc na nim obietnicę, że nic nie zrobi Duke'owi? Mogę?

- Co tylko zechcesz, aniołku - zapewnił ją Malvern. - Moje dwie spluwy też się zgadzają. Ale dlaczego czekałaś z tym tak długo? Dlaczego nie dochodziłaś swoich praw w

sądzie? Przecież pracujesz w rozrywce. Rozgłoś tylko by ci pomógł - nawet gdybyś przegrała.

Dziewczyna zagryzła wargi.

- Moja matka nigdy nie wiedziała, kim naprawdę był, nawet nie znała jego nazwiska. Dla niej był po prostu Johnem Myersonem. Ja też go nie znałam - do czasu kiedy zobaczyłam w gazecie jego fotografię. Zmienił się, ale go rozpoznałam. No i oczywiście zgadzały się imiona.

- Nie poszłaś do sądu, bo cholernie dobrze wiedziałaś, że nie jesteś jego córką - przerwał szyderczo Conant. - Twoja matka nagadała ci bzdur, jak każda tania dziwka, której szmal przeszedł koło nosa. Courtway mówi, że może to udowodnić i wsadzi cię tam, gdzie twoje miejsce. I tylko dlatego ten dumny głupiec pozwoli na odgrzebanie sprawy sprzed dwudziestu lat, choćby to miało kosztować go utratę dobrego imienia. - Zwalisty mężczyzna wypluł niedopałek i dodał. - Wyłożyłem kupę szmalu, żeby go umieścić gdzie trzeba, i nie chcę nic zmieniać. Koniec zabawy, siostrzyczko. Nie mam zamiaru się z wami cackać. Będziesz musiała się trochę przewietrzyć. Jeżeli chodzi o twojego uzbrojonego w dwie spluwy przyjaciela... Nawet jeżeli nie miał pojęcia o całej sprawie, to teraz już ma i jedzie z tobą na jednym wózku.

Conant huknął dłonią w stół, odchylił się do tyłu i spokojnie spoglądał na błyszczący rewolwer w dłoni Malverna.

Malvern nie spuszczał wzroku z twarzy zwalistego mężczyzny.

- Ten gość ze spluwą "U Cyrana", dziś wieczorem... Czy to przypadkiem nie twój pomysł na zakończenie zabawy, Conant? - zapytał cicho.

Conant skrzywił się i potrząsnął głową.

Drzwi prowadzące na schody otwarte zostały bezszelestnie, Malvern tego nie widział. Ale widziała Jean Adrian i cofnęła się. Ten ruch i jej rozszerzone oczy przyciągnęły spojrzenie Malverna.

Do pokoju cicho wszedł albinos z bronią w rękę. Jego czerwone oczy błyszczały. Usta rozciągnął w szyderczym uśmiechu.

- Przez te drzwi wszystko słyhać, szefie. A ty, kmiotku, rzuć spluwę, bo rozwalę na kawałki ciebie i dziewczynę.

Malvern odwrócił się i otworzył prawą dłoń. Rewolwer upadł na wytarty dywan, podskoczył kilka razy i znieruchomiał. Nie patrząc nawet na Jean Adrian, Malvern wrzucił ramionami i rozłożył ręce.

Albinos zbliżył się i przystawił broń do jego pleców.

Conant wstał, obszedł stół i wyjął mu lugera z kieszeni płaszcza. Podrzucił go w dłoń i z nieruchomą twarzą, bez słowa walnął nim Malverna w szczękę.

Malvern zatoczył się jak pijany i upadł na podłogę.

Jean Adrian krzyknęła i rzuciła się na Conanta z paznokciami. Odepchnął ją, przełożył pistolet do lewej dłoni i prawą uderzył dziewczynę mocno w twarz.

- Tylko spokojnie, siostrzyczko. Koniec zabawy.

Albinos podszedł do schodów i krzyknął coś na dół. Dwaj goryle wkroczyli do pokoju i uśmiechając się szyderczo, stanęli pod ścianą.

Malvern leżał bez ruchu na podłodze. Conant zapalił kolejnego papierosa i knykciami zabębnił w blat stołu, tuż obok metryki.

- Ona chce widzieć się z ojcem. W porządku - zobaczy go. Wszyscy go zobaczymy. W tej sprawie wciąż mi coś śmierdzi - powiedział i podniósł wzrok na krępego goryla. - Weź ze sobą Mańkuta, wyciągnijcie z komisariatu Targo i zawieźcie go do domu senatora. Tylko migiem. No, jazda.

Dwaj mężczyźni zeszli na dół.

Conant rzucił okiem na leżącego i lekko kopnął go w żebra. Kopał tak dopóty, dopóki Malvern nie poruszył się i nie otworzył oczu.

IX

Samochód stał na wzgórzu przed kutą żelazną bramą. Domek odźwiernego był wewnątrz, tuż obok. W prostokącie żółtego światła z otwartych drzwi stał wysoki mężczyzna w płaszczu i nasuniętym na czoło kapeluszu. Nieśpiesznie podszedł do bramy, trzymając ręce głęboko w kieszeniach. Krople deszczu spływały po jego butach.

Albinos, szcękając zębami, opierał się o bramę.

- Czego chcecie? - zapytał wielki facet.

- Rusz się, kmiotku. Pan Conant ma interes do twojego szefa.

Facet splunął w wilgotną ciemność.

- I co z tego? Wiesz, która godzina?

Nagle otworzyły się drzwi samochodu i Conant poszedł do bramy. Deszcz zagłuszył głosy rozmawiających.

Malvern powoli odwrócił głowę do Jean Adrian i pogładził ją po ręce. Odtrąciła jego dłoń.

- Ty głupcze... ty głupcze - powiedziała cicho.

Malvern westchnął.

- Świetnie się bawię, aniołku. Naprawdę świetnie.

Człowiek po drugiej stronie bramy wyciągnął z kieszeni pęk kluczy na długim łańcuchu. Wrota rozwarły się na oścież i uderzyły o stalowe ograniczniki. Conant i albinos wrócili do samochodu. Oparty obcasem o próg limuzyny, Conant mókł na deszczu.

Malvern wyciągnął z kieszeni marynarki swoją wielką piersiówkę, sprawdził, że nie jest pogięta, zdjął nakrętkę i podał butelkę dziewczynie.

- Łyknij trochę dla kurażu.

Nie zareagowała. Siedziała nieruchomo. Malvern napił się, schował piersiówkę i spojrzał obok szerokich pleców Conanta na ociekające wodą drzewa w parku i zawieszzone w powietrzu rozświetlone okna domu.

Przebijając reflektorami mokrą ciemność, na wzgórzu wjechał samochód i stanął obok limuzyny. Conant podszedł do niego, przez uchyloną szybę wsadził do środka głowę i powiedział kilka słów. Samochód cofnął się i skierował ku bramie. Światła omiotły mur przy wrotach i po chwili zniknęły, by pojawić się jako ostre, białe kręgi na tle kamiennej "porte coch~ere" na szczycie wzgórza.

Conant wsiadł do limuzyny i albinos ruszył śladem pierwszego samochodu. Po chwili wszyscy znaleźli się na okolonym cyprysami, okrągłym wybetonowanym podjeździe.

W otwartych drzwiach na szczycie schodów stał mężczyzna w płaszczu kąpielowym. Trochę niżej Malvern zobaczył Targo. Tkwił między dwoma gorylami, z gołą głową, bez płaszcza.

Kamerdyner w szlafroku poprowadził ich przez obwieszony portretami przodków korytarz, potem przez wytworny owalny westybul i znów przez korytarz. Cała gromada trafiła w końcu do ozdobionego panneaux gabinetu z ciężkimi zasłonami, głębokimi skórzanymi fotelami i przyćmionym światłem.

Za wielkim biurkiem, w niszy utworzonej przez niskie półki z książkami, stał bardzo wysoki i bardzo chudy mężczyzna. Miał gęstą, białą czuprynę i pobrużdżoną twarz, małe, zgorzkniałe usta i czarne, puste oczy. Jego lekko przygarbioną, niewiarygodnie chudą sylwetkę okrywał niebieski, sztruksowy szlafrok z satynowymi wyłogami.

Kamerdyner zamknął drzwi, lecz Conant zaraz je otworzył i kiwnięciem głowy wyprosił z gabinetu dwóch goryli. Albinos stanął za Targo i popchnął go na krzesło. Bokser wyglądał na oszołomionego. Miał uwalany policzek i oczy naszprycowanego.

Jean Adrian podbiegła do niego.

- Och, Duke... Nic ci nie jest?

Targo zerknął na nią i lekko się skrzywił.

- Musiałaś zakapować, co? Nieważne. Ze mną wszystko w porządku - powiedział nienaturalnym głosem.

Dziewczyna odsunęła się i skuliła na krześle, jakby zrobiło się jej zimno.

Wysoki mężczyzna zmierzył gości lodowatym spojrzeniem.

- Czy to ci szantażyści? - zapytał obojętnie. - Czy konieczne było przywożenie ich tutaj w środku nocy?

Conant rzucił płaszcz na podłogę obok dużej lampy, zapalił papierosa i stanął w rozkroku na środku gabinetu. Wielki, bardzo pewny siebie, twardy i szorstki.

- Dziewczyna chciała się z panem zobaczyć i przeprosić za wszystko. Będzie z nami współpracować. Ten gość w kremowej marynarce to Targo - bokser. Brał udział w strzelaninie w nocnym lokalu, a potem tak się popisował w komisariacie, że musieli go nakarmić tabletkami nasennymi. Ten drugi, to Ted Malvern, syn starego Marcusa Malverna. Jeszcze nie wiem, w co się bawi.

- Jestem prywatnym detektywem, senatorze - oschle rozpoczął Malvern. - Reprezentuję interesy mojej klientki, panny Adrian. - Roześmiał się.

Dziewczyna rzuciła mu szybkie spojrzenie, potem wbiła wzrok w podłogę.

- Shenvair, ten facet, o którym pan już wie, został załatwiony - opryskliwym tonem ciągnął Conant. - Nie przez nas. To jeszcze trzeba wyjaśnić.

Wysoki mężczyzna chłodno skinął głową, usiadł za biurkiem i białym piórem połaskotał ucho.

- Jaki ma pan sposób na rozwiązanie tej sprawy, panie Conant? - zapytał.

Conant wzruszył ramionami.

- Jestem twardy chłopak, ale tym razem rozegramy to zgodnie z prawem. Pogadam z prokuratorem okręgowym i wpakuję ich do pudła pod zarzutem wyłudzenia. Dla gazet wysmaży się jakąś bajeczkę, a potem poczekamy, aż wszystko przyschnie. Następnie wywieziemy ich poza granice stanu z zakazem powrotu, bo jak nie...

Senator Courtway połaskotał piórem drugie ucho.

- Mogą mi szkodzić nawet z daleka - stwierdził chłodno. - Jestem gotów pójść na publiczną konfrontację. Wtedy ci szantażyści trafią tam, gdzie ich miejsce.

- Nic z tego, Courtway. To byłaby polityczna śmierć.

- Jestem zmęczony życiem polityka, Conant. Z chęcią przejdę na emeryturę. - Usta wysokiego mężczyzny wygięły się w słabym uśmiechu.

- Po moim trupie - warknął Conant i odwróciwszy głowę, rzucił. - Podejdz no tu, siostrzyczko.

Jean Adrian wstała, powoli przeszła przez pokój i zatrzymała się przed biurkiem.

- Poznajesz ją? - zapytał Conant.

Przez długą chwilę Courtway beznamiętnie wpatrywał się w ściągniętą napięciem twarz dziewczyny. Położył pióro na biurku, otworzył szufladę i wyjął fotografię. Dobrych parę sekund spoglądał to na dziewczynę, to na zdjęcie.

- Zostało zrobione dawno temu, ale widzę duże podobieństwo. Bez wahania mogę powiedzieć, że to ta sama twarz.

Rzucił fotografię na biurko i równie nieśpiesznym ruchem wyjął z szuflady pistolet. Położył go obok.

Conant spojrział na broń i skrzywił usta.

- Nie będzie pan tego potrzebował, senatorze - powiedział głucho. - Niech pan posłucha, ten pański pomysł z konfrontacją jest do kitu. Lepiej weźmy od tej zgrai poświadczane zeznania i będziemy mieli ich w garści. Jeżeli zaczną podskakiwać, zawsze zdążymy załatwić ich inaczej.

Malvern uśmiechnął się nieznacznie i podszedł do biurka.

- Chciałbym rzucić okiem na tę fotografię - powiedział i nagłym ruchem pochylił głowę nad blatem.

Chuda dłoń Courtwaya sięgnęła po pistolet, by po chwili rozluźnić chwyt. Senator odchylił się w krześle i obserwował Malverna.

* * *

Malvern obejrzał fotografię i położył ją na biurku.

- Siadaj na miejsce - powiedział do Jean Adrian.

Dziewczyna obróciła się na pięcie, przemierzyła pokój i opadła na krzesło.

- Pański pomysł z konfrontacją bardzo mi się podoba, senatorze. To byłby czysty, postępowy i całkowicie nowy rozdział w polityce pana Conanta. Ale nic z tego nie wyjdzie. - Postukał paznokciem w zdjęcie. - To tylko powierzchowne podobieństwo, nic więcej. Nie sądzę, żeby to była ta sama dziewczyna. Ta na zdjęciu ma inny kształt uszu. Panna Adrian ma krótszą zuchwę i inaczej osadzone oczy, nie tak blisko. Te rzeczy się nie zmieniają. I co w końcu macie? List z żądaniem pieniędzy. Być może, ale nie możecie podwiązać go do nikogo, w przeciwnym razie dawno byście już to zrobili. Jest jeszcze imię. To czysty przypadek. Co wam pozostaje?

Twarz Conanta wyglądała jak wykuta z granitu, usta wykrzywił grymas.

- A co powiesz, mądralo, o metryce, którą dziewczyna wyciągnęła z torebki? - Głos lekko mu drżał.

Malvern uśmiechnął się, koniuszkami palców potarł szczękę.

- Myślałem, że dostałeś ją od Shenvaira? - oznajmił chytrze. - A Shenvair nie żyje.

Twarz Conanta z trudem maskowała furję. Zacisnął zęby i szarpnął się do przodu.

- Ty... parszywy, wszawy...

Jean Adrian, pochylona, zatopiła szeroko otwarte oczy w Malvern. Targo wpatrywał się w Malverna wzrokiem wyblakłym, twardym, ze swobodnym uśmiechem na ustach. Courtway też nie odrywał spojrzenia od Malverna, choć twarz jego nie wyrażała żadnych emocji. Siedział zimny, rozluźniony, nieobecny.

Nagle Conant roześmiał się i strzelił palcami.

- W porządku, gadaj, co wykombinowałeś - burknął.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie dojdzie do konfrontacji - zaczął Malvern. - Strzelanina "U Cyrana". Te próby zmuszenia Targo do poddania mało ważnej walki. Oprych, który napadł na pannę Adrian w jej pokoju hotelowym, ogłuszył ją i zostawił na progu. Nie możesz ruszyć swoją wielką czaszką Conant? Nie możesz złożyć tego do kupy? Ja mogę.

Courtway pochylał się nagle do przodu i chwycił rękojeść pistoletu. Jego czarne oczy wyglądały w białej zmrożonej twarzy niczym dziury.

Conant stał nieruchomo. Milczał.

- Dlaczego grożono Targo, a potem, jak nie poddał walki, ten gość ze spluwą chciał go załatwić w nocnej knajpce "U Cyrana", najgorszym pod słońcem miejscu na taką robotę? Dlatego, że Targo był tam z dziewczyną, a sam Cyrano był sponsorem. Jeżeli cokolwiek stałoby się w jego lokalu, policja połknęłaby bajeczkę o pogroźkach, zanim zaczęłaby myśleć o innych możliwościach. Te pogroźki stanowiły przygotowanie do zabójstwa. Dziewczyna miała zostać załatwiona podczas strzelaniny tak, że dla policji byłaby przypadkową ofiarą podczas zamachu na Targo.

Gość mógłby przy okazji wykończyć i Targo, ale przede wszystkim chodziło o Adrian. Dlatego że w tym szantażu to ona grała pierwsze skrzypce. Bez niej nie byłoby o czym gadać. Gdyby została na tym świecie, mogłaby płatać się po sądach w sprawach o uznanie ojcostwa, o ile nie udałoby się jej tego załatwić w inny sposób. Ty, Conant, wiedziałeś o niej od Targo, bo Shenvair spietrał się i wysypał. Shenvair musiał znać oprycha, bo jak zobaczyłem go w knajpie, wciągnął mnie w pijacką bijatykę tylko po to, żebym nie przeszkadzał.

Malvern zamilkł i zerknął spod oka na Conanta.

- Ja się nie bawię w takie klocki, kolego - powiedział ochryple Conant. - Możesz mi wierzyć albo nie - ale się nie bawię.

- Posłuchaj. Oprych mógł swobodnie zabić dziewczynę już w hotelu. Wystarczyłoby mocniejsze uderzenie pałką. Nie zrobił tego, bo nie było tam Targo. Walka miała się odbyć dopiero wieczorem i całe przedstawienie poszłoby na marne. Oprych przyszedł do hotelu, bo chciał ją po prostu zobaczyć z bliska, bez makijażu. Ale ona wpadła w panikę i sięgnęła po broń. No to dał jej po głowie i uciekł. Ta wizyta była wystawieniem na strzał.

- Ja się nie bawię w takie klocki, kolego - powtórzył Conant i z kieszeni płaszcza wyjął lugera.

Malvern wzruszył ramionami i odwrócił się do senatora Courtwaya.

- Ty nie, ale on tak - powiedział spokojnie. - Miał motyw i nikt by go nawet nie podejrzewał. Wysmażyli to razem z Shenvairem, a jeżeli coś poszłoby nie tak, co zresztą się stało, Shenvair zwałby. Jeśli chłopcy z policji trochę by pogłótkowali, to tylko wielki, twardy Doll Conant wdepnąłby w to po uszy.

Courtway uśmiechnął się nieznacznie.

- Ten młody człowiek jest bardzo pomysłowy, ale z pewnością... - zaczął martwym głosem.

Targo wstał z krzesła. Twarz zastygła mu w maskę.

- Dla mnie ta historia jest w porządku. Coś mi się zdaje, że skrećę ci ten... cholerny kark, panie Courtway.

- Siadaj, gnojku - warknął albinos i podniósł broń.

Targo błyskawicznie obrócił się i trzasnął go w szczękę. Cios odrzucił albinosa i rozpląszczył go na ścianie. Z bezwładnych palców wyleciał pistolet.

Targo ruszył przez pokój.

Conant patrzył na niego kątem oka, bez najmniejszego ruchu. Targo przechodząc obok, prawie go dotknął. Nawet jeden mięsień nie drgnął w jego wielkiej, pustej twarzy. Oczy pod ciężkimi powiekami zwięzły się, przypominały teraz połyskujące szparki.

Wszyscy, z wyjątkiem Targo, znieruchomieli. Wtem Courtway podniósł pistolet, jego palec wskazujący pobielał, gdy naciskał spust. Broń wypaliła.

Malvern szybko zasłonił sobą Jean Adrian.

Targo spojrzał na swoje dłonie. Twarz wykrzywił mu głupawy uśmiech. Usiadł na podłodze i przycisnął ręce do piersi.

Courtway znów podniósł broń i wtedy ruszył się Conant. Poderwany do góry luger dwa razy plunął płomieniem. Z dłoni Courtwaya pociekła krew. Jego pistolet upadł za biurko. Długa sylwetka senatora złożyła się niczym scyzoryk, gdy sięgał po broń. Ponad blat wystawały tylko zgarbione barki.

- Wstawaj, ty pieprzona, oszukańcza świni - wrzasnął Conant.

Za biurkiem rozległ się strzał. Barki Courtwaya zniknęły.

Conant obszedł mebel, pochylił się i po chwili wyprostował.

- Połknął pestkę - powiedział bardzo spokojnie. - Włożył lufę w usta... A ja straciłem ładnego, zadbanego senatora.

Targo oderwał ręce od piersi i runął bokiem na podłogę.

Drzwi do gabinetu otworzyły się z trzaskiem. Stanął w nich kamerdyner, potargany, z szeroko otwartymi ustami. Chciał coś powiedzieć, ale zobaczył broń w dłoni Conanta i nieruchomego Targo na podłodze. Nie powiedział nic.

Albinos powoli gramolił się z podłogi. Dotknął zębów, potrząsnął głową, zaczął delikatnie masować szczękę. Potem wolno przesunął się wzdłuż ściany i podniósł broń.

- Niezły z ciebie goryl - warknął Conant. - Zadzwoń do kapitana Malloya; ma dziś nocny dyżur. Z życiem!

Malvern odwrócił się do Jean Adrian i uniósł jej podbródek.

- Już świta, aniołku. I chyba przestał padać deszcz - powiedział powoli i wyjął swoją piersiówkę. - Wypijmy... za pana Targo.

Dziewczyna potrząsnęła głową i ukryła twarz w dłoniach.

Po dłuższej chwili rozległy się syreny.

X

Szczupły, zmęczony chłopak w błękitno_srebrnej liberii hotelu Carondelet oparł rękę w białej rękawiczce o drzwi windy.

- Czyraki Corky'ego powoli się leczą, ale do pracy jeszcze nie przyszedł, panie Malvern. Tony'ego, szefa chłopców hotelowych, też dziś nie ma. Niektórzy umieją się urządzać.

Malvern stał w kącie windy, blisko Jean Adrian. Poza nimi i windziarzem nie było nikogo.

- To tylko tobie tak się zdaje - powiedział.

Chłopak poczerwieniał.

- Nie przejmuj się, synu - poklepał go po ramieniu Malvern. - Całą noc czuwałem przy chorym przyjacielu. Masz, kup sobie drugie śniadanie.

- Rany, panie Malvern, ja nie chciałem...

Winda zatrzymała się na dziewiątym piętrze. Poszli korytarzem do apartamentu 914. Malvern wyjął klucz, otworzył, włożył go do zamka z drugiej strony.

- Przytul na chwilę głowę do poduszki - powiedział z dłonią na klamce. - Zabierz ze sobą moją piersiówkę, przyda ci się przed snem.

Dziewczyna weszła do pokoju.

- Nie chcę alkoholu - rzuciła przez ramię. - Wstąp na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

Malvern wszedł do środka i zamknął drzwi. Jasna smuga światła przecinała dywan od okna do kanapy. Zapalił papierosa i wpatrywał się w nią intensywnie.

Jean Adrian usiadła, zerwała z głowy kapelusz i rozrzuciła włosy. Milczała przez chwilę.

- To bardzo ładnie z twojej strony, że pomogłeś mi wydostać się z tych tarapatów - zaczęła powoli, starannie dobierając słowa. - Jednego tylko nie wiem: dlaczego to zrobiłeś.

- Jest kilka powodów, ale żaden z nich nie przywróci Targo do życia - odparł Malvern. - To do pewnego stopnia była moja wina. Chociaż z drugiej strony nie prosiłem go o skrzywienie karku senatorowi.

- Myślisz, że z ciebie twarzą, ale jesteś tylko patalą, który dla byle włóczki pakuje się w kłopoty. Daj sobie z tym spokój. Z Targo i ze mną. Szkoda dla nas twojego czasu. Mówię ci to dlatego, że mam zamiar wyjechać stąd tak szybko, jak to możliwe. Nie zobaczysz mnie więcej. To jest pożegnanie.

Malvern pokiwał głową. Nie odrywał wzroku od smugi światła na dywanie.

- Trudno mi o tym mówić - ciągnęła dziewczyna. - Kiedy powiedziałam, że jestem włóczęgą, nie szukałam współczucia. Dusłam się w zbyt wielu tanich sypialniach, rozbierałam się w zbyt wielu parszywych garderobach, minęło mnie zbyt wiele posiłków i skłamałam zbyt wiele razy, żeby być kimś innym. Dlatego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nigdy.

- Podoba mi się sposób, w jaki to mówisz. Nie przerywaj - powiedział Malvern.

Spojrzała na niego i po chwili odwróciła wzrok.

- Wcale nie nazywam się Gianni. Domyśliłeś się tego. Ale ją znałam. Robiliśmy jako przyszywane siostry numery taneczne na scenkach, kiedy modne były jeszcze tańczące rodzeństwa. Ada i Jean Adrian. Zrobiłyśmy klapę. Pojechałyśmy w trasę do Nowego Orleanu i też zrobiłyśmy klapę. Gianni nie wytrzymała takiego życia i połknęła dwuchlorek. Przed śmiercią opowiedziała mi swoją historię. Kiedy patrzyłam na fotografię tego zimnego chudzielca i myślałam, co mógł dla niej zrobić - zaczęłam go nienawidzić. W końcu była jego córką. To nie bajeczka. Wysyłałam nawet do niego listy podpisane jej imieniem, w których prosiłam o wsparcie. Nie prosiłam o wiele. Nigdy nie odpisał. Postanowiłam, że zapłaci za jej śmierć. I przyjechałam tutaj, żeby z niego coś wydusić.

Przerwała, mocno zacisnęła palce i rozwarła je gwałtownie jakby chciała zadać sobie ból.

- Targo poznałam przez Cyrana, a przez Targo Shenvaira. Tajniak wiedział o zdjęciach. Pracował dla agencji we Frisco, kiedy Courtway zlecił pilnowanie Ady. Resztę już znasz.

- Brzmi to nieźle. Zastanawiam się tylko, dlaczego tak długo czekałaś z szantażem? Chcesz mi powiedzieć, że nie chciałaś jego pieniędzy?

- Nie. Pieniądze i tak bym wzięła. Ale nie ich chciałam najbardziej. Już ci mówiłam, że byłam dziwką.

- Niezbyt wiele wiesz o dziwkach, aniołku. - Uśmiechnął się. - Popeliłaś przestępstwo i złapano cię. Ale nawet gdybyś zarobiła parę groszy, nie właściwie by ci z tego przyszło. To byłyby brudne pieniądze. Wiem o tym dobrze.

Dziewczyna nie odrywała od niego wzroku. Malvern dotknął twarzy i wzdrygnął się.

- Wiem o tym dobrze, bo moje pieniądze są takie same. Ojciec je zarobił, sprzedając za łapówki zezwolenia budowlane na kanalizację, kontrakty drogowe i koncesje na domy gry, a myślę, że nie gardził zyskami z prostytucji. Każdego dolara ze swojego majątku zarobił w parszywy sposób, tak jak to się robi w polityce. A kiedy już je zarobił i pozostało

mu tylko się i gapić się na nie - umarł i wszystko mi zostawił. Ta góra pieniędzy mnie nie uszczęśliwiła. Miałem nadzieję, że tak będzie, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Z jednego powodu: byłem jego szczeniakiem, jego krwią, wychowałem się w takim samym świecie. Jestem kimś gorszym od dziwki. Jestem facetem, który żyje za kradzioną forszę i nawet jej sam nie ukradł.

Przerwał, strząsnął popiół na podłogę i poprawił kapelusz.

- Przemyśl to sobie i nie uciekaj zbyt daleko, bo mam kupę czasu i daleko nie uciekniesz. O wiele przyjemniej będzie uciec razem.

Podszedł do drzwi, zatrzymał się, rzucił okiem na smugę światła na dywanie, zerknął na dziewczynę i wyszedł z pokoju.

Jean Adrian wstała z kanapy, przeszła do sypialni i rzuciła się na łóżko, tak jak stała, w płaszczu. Wbiła wzrok w sufit. Po długiej chwili uśmiechnęła się i zasnęła.

*Przełożył
Krzysztof Adamski*

Spokojne góry

I

List nadszedł tuż przed południem, przez umyślnego, tania koperta z adresem nadawcy: F. S. Lacey, Puma Point, Kalifornia. W środku czek na sto dolarów, płatny gotówką i podpisany "Frederick S. Lacey", oraz kartka zwykłego białego papieru. Oto jej nieudolnie wystukana na maszynie treść:

"Pan John Evans

Szanowny Panie:

Len Esterwald podał mi Pana nazwisko. Moja sprawa jest pilna i ściśle poufna. Załączam zaliczkę. Proszę przyjechać do Puma Point w czwartek, po południu albo wieczorem, jeśli to w ogóle możliwe, zatrzymać się w hotelu Pod Głową Indianina i zadzwonić do mnie pod numer 2306.

Z poważaniem

Fred Lacey"

Od tygodnia trwał zastój w interesie, a tu zapowiadał się ciekawy dzień. Bank, na który opiewał czek, mieścił się o sześć przecznic ode mnie. Poszedłem tam, zrealizowałem czek, zjadłem lunch, wyprowadziłem samochód z garażu i ruszyłem w drogę.

W dolinie było gorąco, w San Bernardino jeszcze goręcej, upał panował nawet na wysokości pięciu tysięcy stóp, gdzie dotarłem po przejechaniu piętnastu mil szosą szybkiego ruchu w stronę jeziora Puma. Pokonałem czterdzieści z pięćdziesięciu mil krętą drogą, nim zaczęło się ochładzać, ale tak naprawdę nie było chłodno, póki nie dojechałem do tamy i nie ruszyłem wzdłuż południowego brzegu jeziora, mijając liczne granitowe głazy i rozrzucone po równinie obozowiska. Było późne popołudnie, kiedy dotarłem do Puma Point, czułem się jak wypatroszona ryba.

Hotel Pod Głową Indianina okazał się brązowym budynkiem na skrzyżowaniu, vis-à-vis sali tańców. Zameldowałem się, wniosłem na górę walizkę i rzuciłem ją w ponurym, nieprzyjaznym pokoju z owalną matą na podłodze, podwójnym łóżkiem w kącie i wiszącym samotnie na gołej sosnowej ścianie kalendarzem producenta sprzętu komputerowego, pomarszczonym w powietrzu suchego górskiego lata. Umyłem twarz, ręce i zszedłem na dół coś zjeść.

Sala baru, przylegająca do hotelowego hallu, pełna była zionących alkoholem mężczyzn w sportowych ubraniach oraz kobiet w szortach lub w spodniach, z krwistymi

paznokciami i brudnymi mankietami. Facet o brwiach niczym JOhn L. Lewis grasował po sali z cygarem wbitym między wargi. Szczupły, bladooki kasjer w samej koszuli usiłował złapać wyniki wyścigów w Hollywood Park na radyjku, w którym tyle było trzasków, ile wody w pur~ee z kartofli. W mrocznym zakamarku sali zespół country, składający się z pięciu defetystów w białych marynarkach i purpurowych koszulach, próbował się przebić przez gwar lokalu.

Zmiotłem z talerza to, co w karcie nazwano pełnym obiadem, zamówiłem wódkę, żeby mieć przy czym posiedzieć, a potem wyszedłem na główną ulicę miasteczka. Wciąż było całkiem jasno, ale neony już świeciły. Wieczór rozbrzmiewał klaksonami samochodów, piskliwymi głosami, grzechotem kręgli, strzałami z broni kaliber 22 na strzelnicy, muzyką z szafy grającej, a nad tym wszystkim górował ochryply, twardy łoskot motorówek na jeziorze. Na rogu ulicy, naprzeciwko poczty, dostrzegłem niebiesko_białą strzałkę z napisem: "Telefon". Ruszyłem zakurzonym poboczem drogi, która nagle stała się spokojna, chłodna i pachniała sosnami. Oswojona łania z futrzanym kołnierzem przeszła przez jezdnię dwa kroki ode mnie. Urząd telefoniczny mieścił się w drewnianym baraku, była w nim budka z automatem. Zamknąłem się w niej, wrzuciłem monetę i wykręciłem 2306. Odezwał się kobiecy głos.

- Czy zastałem pana Freda Lacey'a? - zapytałem.

- Przepraszam, a kto dzwoni?

- Nazywam się Evans.

- Pana Lacey'a w tej chwili nie ma w domu. Czy spodziewa się pańskiego telefonu?

Dwa jej pytania przypadały na jedno moje. To mi się nie podobało.

- Czy mówię z panią Lacey?

- Tak, jestem jego żoną.

Pomyślałem, że głos ma napięty, podenerwowany, ale niektórzy ludzie zawsze w ten sposób mówią.

- Dzwonię w interesie - powiedziałem. - Kiedy wróci pani mąż?

- Nie wiem dokładnie. Myślę, że przed nocą. A co pan...

- Gdzie znajduje się wasz domek, pani Lacey?

- Mieszkamy w Ball Sage Point, jakieś dwie mile na zachód od miasteczka. Czy pan stamtąd telefonuje? Czy pan...

- Zadzwoń jeszcze raz za godzinę. - Poinformowałem i odłożyłem słuchawkę.

Wyszedłem z kabiny. W drugim końcu baraku ciemnoskóra dziewczyna w spodniach pisała przy biurku w czymś, co wyglądało na księgę rachunkową. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Jak się panu podobają góry? - zapytała.

- Piękne.

- Tu jest bardzo spokojnie - powiedziała. - Można wypocząć.

- Tak. Czy pani zna może niejakiego Freda Lacey'a?

- Lacey'a? Ach, tak, właśnie im zakładano telefon. Kupili domek Baldwina. Stał pusty przez dwa lata, a teraz oni go kupili. To na samym końcu Ball Sage Point, spory dom na wzgórkach, z widokiem na jezioro. Widok tam naprawdę wspaniały. Czy pan zna pana Lacey'a?

- Nie - odrzekłem i wyszedłem na dwór.

Oswojona łania stała w przejściu między barierkami odgraniczającymi chodnik. Próbowałem ją usunąć z drogi, ale nie chciała się ruszyć, więc przekroczyłem barierkę, wróciłem do hotelu i wsiadłem do samochodu.

Na wschodnim krańcu miasteczka mieściła się stacja benzynowa. Zatankowałem i spytałem gościa w skórze, który mnie obsługiwał, gdzie jest Ball Sage Point.

- Prosta sprawa - odparł. - Prosta jak drut. Znajdzie pan Ball Sage Point bez problemu. Pojedzie pan tędy, prosto, jakieś półtorej mili, minie pan kościół katolicki i obóz Kincaid, potem koło piekarni skręci pan w prawo, dojedzie pan do obozu chłopięcego Willertona i jak pan już minie obóz, to będzie pierwszy skręt w lewo. Piaszczysta droga, pełna wybojów. Nie odśnieżają jej zimą, ale teraz przecież nie zima. Zna pan tam kogoś?

- Nie.

Dałem mu pieniądze. Poszedł po resztę i wrócił.

- Tu jest spokojnie - oznajmił. - Można wypocząć, panie...?

- Murphy.

- Miło mi pana poznać, panie Murphy - powiedział i uściśnął mi rękę. - Niech pan do mnie wpada. Cieszę się, że mogłem pana obsłużyć. Więc do Ball Sage Point musi pan jechać prosto, tą drogą...

- Tak - stwierdziłem i zostawiłem go w pół słowa.

Uznałem, że wiem już, jak trafić do Ball Sage Point, więc zawróciłem i pojechałem w przeciwnym kierunku. Może Fred Lacey nie chciałby mnie widzieć w swoim domku?

Tuż za hotelem brukowana droga skręcała w dół, ku przystani motorówek, a potem na wschód, wzdłuż brzegu jeziora. Stan wody był niski. Bydło pasło się na zakwaszonej

łące, którą wiosną zalewała woda. Kilku nieruchomych turystów łowiło z łódek okonie lub samogłowy. Niespełna milę za łąkami piaszczysta droga wiała się ku podłużnemu wzniesieniu porośniętemu jałowcem. Niedaleko brzegu stał jasno oświetlony pawilon taneczny. Rozbrzmiewał już muzyką, choć na tej wysokości wydawało się, że jest dopiero późne popołudnie. Miałem wrażenie, że zespół gra u mnie w kieszeni. Dziewczyna gardłowym głosem śpiewała "Pieśń dzięcioła". Przejechałem obok pawilonu, muzyka stopniowo cichła, a droga stawała się coraz gorsza, coraz bardziej wyboista. Przemknął koło mnie domek nad jeziorem, a za nim były już tylko sosny, jałowce i lśniąca tafla. Zatrzymałem samochód prawie pod szczytem wzniesienia i podszedłem do wielkiego obalonego drzewa, którego korzenie sterczały na dwanaście stóp w górę. Siadłem, opierając się o drzewo, na suchej jak pieprz ziemi, i zapaliłem fajkę. Cisza, spokój, z dala od wszystkiego. Koło przeciwległego brzegu jeziora dwie motorówki wyścigowe bawiły się w berka, ale po tej stronie była tylko cicha woda, ciemniejąca w górskim zmierzchu. Zastanawiałem się, kim u diabła jest ten Fred Lacey, czego chce i dlaczego, skoro miał taką pilną sprawę, nie czekał w domu ani nie zostawił wiadomości. Długo nad tym nie deliberowałem. Wieczór był taki spokojny. Pałem, patrzyłem na jezioro, w niebo, a także na drozda, który siedział na nagiej gałęzi u szczytu wysokiej sosny i czekał, aż ściemni się na tyle, żeby mógł zaśpiewać swoją kołysankę.

Gdy upłynęło pół godziny, wstałem, wykopałem obcasem dołek w miękkim gruncie, wystukałem popiół z fajki i zasypałem go, mocno ubijając ziemię. Bez żadnego powodu zrobiłem kilka kroków w stronę jeziora i tak doszedłem do końca drzewa. Wtedy ujrzałem stopę.

Była w białej tenisówce, przypuszczalnie numer dziewięć. Obszedłem korzenie drzewa.

Znalazłem jeszcze jedną stopę, także w białej tenisówce. Ponadto białe spodnie z pospinanymi nogawkami, a w nich nogi, oraz tors w bladozielonej koszuli sportowej, wypuszczonej na wierzch, z kieszeniami jak w swetrze. Przy szyi miała wycięcie w kształcie litery V, przez które widać było włosy pokrywające klatkę piersiową. Mężczyzna w średnim wieku, łysawy, w porządnej brązowej marynarce. Nad grubą wargą miał cienki, podgolony wąsik, a w ustach, lekko, jak to zwykle bywa, uchylonych, widać było duże, mocne zęby. Twarz z tych, do których pasuje wielkie żarcie, ale nie pasują smutki. Oczy patrzyły w niebo. Nie mogłem jednak pochwycić jego wzroku.

Na zielonej sportowej koszuli, z lewej strony, ujrzałem plamę krwi wielkości talerza do drugiego dania. Pośrodku mogła się znajdować osmalona dziura. Ale pewności nie miałem. Światło było już trochę zawodne.

Pochyliłem się i wymacałem zapalki oraz papierosy w kieszeniach koszuli, w bocznych kieszeniach spodni kilka kawałków metalu, przypominających klucze, i drobne. Obróciłem go nieco, żeby się dostać do bioder. Był jeszcze miękki i tylko trochę zimnawy. Portfel z nie wyprawionej skóry ciasno wypełniał prawą tylną kieszeń. Wyciągnąłem go, napierając kolanem na plecy.

W środku było dwanaście dolarów i kilka biletów wizytowych, ale mnie najbardziej interesowało nazwisko na prawie jazdy. Zapaliłem zapalkę, żeby dobrze je odczytać w zamierającym świetle dziennym.

Właścicielem prawa jazdy był Frederick Shield Lacey.

II

Odłożyłem portfel na miejsce, wstałem i pilnie się rozglądając, zrobiłem pełne koło. W polu widzenia nie było nikogo, ani na łądzie, ani na wodzie. W tym świetle nikt nie mógłby zobaczyć, co robię, chyba że zupełnie z bliska.

Przeszedłem kilka kroków i schyliłem się, żeby sprawdzić, czy zostawiam ślady. Nie. Ziemię pokrywało stare sosnowe igliwie oraz rozpadające się w pył próchno.

Rewolwer leżał w odległości czterech stóp, prawie pod pniem drzewa. Nie chciałem go dotykać. Był to wielostrzałowy colt kaliber 22 z kościaną rękojeścią. Tkwił na pół zagrzebany w kopczyku brunatnego, spróchniałego drewna. Po kopczyku chodziły mrówki, jedna pełzła po bębunku rewolweru.

Wyprostowałem się i jeszcze raz szybko rozejrzałem. Po jeziorze leniwie płynęła motorówka, niewidoczna z przylądka. Słyszałem jąkanie się dławionego silnika ale jej samej nie widziałem. Ruszyłem z powrotem do samochodu. Już do niego dochodziłem, kiedy zza krzaka manzanity wychynęła jakaś drobna postać. Ujrzałem błysk okularów i jeszcze czegoś trzymanego w dłoni.

- Podnosimy ręce do góry, proszę bardzo - zasyczał głos.

To było dobre miejsce na bardzo szybką ucieczkę. Obawiałem się, że moja nie byłaby dość szybka. Podniosłem ręce do góry.

Drobna postać obeszła krzak manzanity. To coś błyszczące poniżej okularów okazało się pistoletem. Dość dużym pistoletem. Teraz zbliżał się do mnie.

W drobnych, osłoniętych czarnym wąsikiem ustach błysnął złoty ząb.

- Teraz się obracamy, bardzo proszę - mówił łagodnie miły, cichy głos. - Widzieliśmy człowieka, co leży na ziemi?

- Niech pan posłucha - zacząłem. - Ja tu jestem obcy. Ja...

- Teraz się szybko obracamy - powiedział zimno mężczyzna.

Wykonałem zwrot. Lufa pistoletu mościła się w okolicach mojego kręgosłupa. Drobna, zwinna ręka dotykała mnie tu i ówdzie, by zatrzymać się na pistolecie pod pachą. Głos coś zaćwierkał. Ręka powędrowała na biodro. Ucisk portfela ustał. Bardzo zręczny kieszonkowiec. Niemal nie poczułem, że mnie dotyka.

- Teraz oglądam portfel. Stoimy bez ruchu - polecił głos. Pistolet się odsunął.

Ktoś naprawdę dobry miałby w tej chwili szansę. Rzuciłby się szybko na ziemię, zrobił z pozycji kłęczącej fikołka do tyłu i stanął naprzeciw wroga z błyszczącym pistoletem w ręku. To by się stało błyskawicznie. Dobry facet załatwiłby tego małego okularnika tak,

jak stara kobieta wyrywa sobie ząb, jednym płynnym ruchem. Jakoś mi się wydawało, że nie jestem dość dobry.

Portfel wrócił do tylnej kieszeni, a pistolet - w okolice kręgosłupa.

- A więc - odezwał się łagodnie głos - przyjeżdżając tutaj, popełniliśmy błąd.

- Ty tak twierdzisz, bracie - odparłem.

- Nieważne - powiedział głos. - Teraz się wynosimy. Do domu. Pięćset dolarów. Bez jednego słowa. Najdalej za tydzień, licząc od dzisiaj, znajdzie się pięćset dolarów.

- Świetnie - stwierdziłem. - Czy ma pan mój adres?

- Bardzo zabawne - zaćwierkał głos. - Cha, cha, cha.

Coś walnęło mnie od tyłu na wysokości prawego kolana i noga ugięła się pode mną raptownie, jak zawsze, gdy rąbnąć w to miejsce. Już zaczynałem czuć ból głowy, tam gdzie spodziewałem się uderzenia pistoletem, ale facet mnie nabrał. Otrzymałem cios, jakim zabija się króliki. Prawdziwy majstersztyk, zadany kantem szczupłej, ale twardej dłoni. Urwał mi głowę, która poleciała prawie do samego jeziora, zawróciła jak bumerang i z przeraźliwym chrzęstem wylądowała na szczycie kręgosłupa. A jeszcze po drodze zdążyła nabrać w usta sosnowych igieł.

W dusznym pomieszczeniu z zamkniętymi oknami panowała głęboka noc. Moja klatka piersiowa oddychała z trudem, przyciśnięta do podłoża. Plecy przygniatała mi tona węgla. Jedna szczególnie twarda bryła wbijała mi się w kręgosłup. Wydawałem jakieś dźwięki, ale zapewne niezbyt istotne. W każdym razie nikt się nimi nie przejmował. Usłyszałem narastający łoskot motorówki, a następnie lekkie kroki po szpilkowym podłożu, przypominające suche trzaski. Potem kilka głośnych chrząknięć i kroki oddaliły się. Gdy znów powróciły, odezwał się chrapliwy, nie pozbawiony obcego akcentu głos.

- Co tu masz, Charlie?

- Nic takiego - zaćwierkał Charlie. - Palił fajkę, nic innego nie robił. Turysta, cha, cha, cha.

- Widział sztywnego?

- Nie widział - odparł Charlie. - Zastanawiałem się, dlaczego.

- Dobra, idziemy.

- Och, szkoda - stwierdził Charlie. - Szkoda.

Ciężar przestał uciskać moje plecy, twarde bryły węgla nie wbijały mi się już w kręgosłup.

- Szkoda - powtórzył Charlie. - Ale co robić.

Tym razem mnie nie nabrał. Uderzył pistoletem. Wpadnijcie do mnie, pozwolę wam dotknąć guza na karku. Mam ich tam kilka.

Czas mijał i w końcu, stękając, dźwignąłem się na klęczki. Postawiłem jedną stopę na ziemi, oparłem się na niej, otarłem twarz wierzchem dłoni, postawiłem drugą stopę i wygrzebałem się z dziury, w której, zdawało mi się, tkwię.

Tuż przed oczyma miałem blask wody, pociemniałej teraz z braku słońca, ale rozsrebrzonej przez księżyc. Na prawo widziałem wielkie zwalone drzewo. Wszystko wróciło. Ostrożnie podszedłem do pnia, opuszkami palców obmacując kark. Był opuchnięty i miękki, ale nie krwawił. Przystanąłem, szukając kapelusza, ale przypomniałem sobie, że zostawiłem go w samochodzie.

Obszedłem drzewo dookoła. Księżyc świecił bardzo jasno, jak to się zdarza tylko w górach lub na pustyni. Przy takim świetle można prawie czytać gazetę. Nietrudno było stwierdzić, że na ziemi nie leżą już zwłoki, a pod pniem nie kryje się rewolwer z pełzającymi po nim mrówkami. Ziemia sprawiała wrażenie zamiecionej i zagrabionej.

Stałem nad słuchując, ale słyszałem jedynie pulsującą w skroniach krew i czułem, że boli mnie głowa. Moja ręka powędrowała pod pachę - pistolet był na swoim miejscu. Potem do tylnej kieszeni - portfel też był na miejscu. Wyciągnąłem go i sprawdziłem, czy są pieniądze. Wyglądało na to, że są wszyst- kie.

Powlokłem się do samochodu. Chciałem dotrzeć do hotelu, wypić parę kieliszków i wskoczyć do łóżka. Miałem zamiar spotkać się z Charliem, ale nie od razu. Przede wszystkim musiałem się na trochę położyć. Byłem dorastającym chłopcem, który potrzebuje wypoczynku.

Wsiadłem do samochodu, uruchomiłem silnik, zawróciłem ostrożnie na miękkim podłożu i piaszczystą drogą dojechałem do szosy. Nie spotkałem innych samochodów. W pawilonie tanecznym nad brzegiem jeziora nadal grała muzyka, wokalistka gardłowym głosem oznajmiała: "Już nigdy się nie uśmiechnę".

Kiedy znalazłem się na szosie, włączyłem światła drogowe i skręciłem w kierunku miasteczka. Miejscowy policjant tkwił w jednopokojowym sosnowym baraku, nieco powyżej przystani, vis ~a vis straży pożarnej. Wewnątrz świeciła goła żarówka, widoczna przez oszklone drzwi.

Zatrzymałem się po drugiej stronie szosy i spędziłem dłuższą chwilę w samochodzie, obserwując posterunek. W środku, na obrotowym krześle, za biurkiem z szufladami, siedział mężczyzna bez nakrycia głowy. Otworzyłem drzwiczki samochodu i już wysiadałem, zawahałem się jednak. Zapaliłem silnik i odjechałem.

W końcu musialem zapracowac na te sto dolarow.

III

Pojechałem dwie mile za miasteczko i koło piekarni skręciłem w niedawno naprawioną drogę, wiodącą ku jezioru. Minąłem kilka campingów, następnie zobaczyłem brązowe namioty obozu chłopięcego, między nimi lampy, i usłyszałem brzęk talerzy dobiegający z namiotu, w którym zmywano naczynia. Nieco dalej droga okrążyła zatoczkę, za zakrętem odchodziła w bok piaszczysta dróżka. Była przeorana głębokimi koleinami, z piachu wystawały liczne kamienie, drzewa prawie nie pozwalały przejechać. Minąłem kilka oświetlonych domków z nie okorowanej sosny. Potem droga zaczęła się piąć w górę, zrobiło się przestronniej, a po chwili na szczycie wzniesienia pojawił się spory dom z widokiem na położone u jego stóp jezioro. Miał dwa kominy i otoczony był wiejskim płotem, za którym znajdował się podwójny garaż. Od strony jeziora ujrzałem długi ganek, schodki prowadziły do wody. Z okien padało światło. W blasku moich reflektorów mogłem odczytać nazwisko Baldwin, wymalowane na drewnianej tabliczce przybitej do drzewa. W porządku, to dom, którego szukam.

W otwartym garażu stał samochód. Zatrzymałem się nieco dalej i podszedłem, żeby dotknąć rury wydechowej. Była zimna. Za furtką w wiejskim stylu oznakowana kamieniami ścieżka prowadziła do ganku. Drzwi otworzyły się, kiedy do nich podszedłem. Na progu stała wysoka kobieta, jej sylwetka odcinała się na tle światła. W tej samej chwili minął ją mały, gładkowłosy piesek, sturlał się po schodkach, przednimi łapkami uderzył mnie w brzuch, potem zsunął się na ziemię i zaczął biegać w kółko, piszcząc z radości.

- Siad, Jasna! - zawołała kobieta. - Siad! Czy to nie śmieszna suczka? Mała śmieszna suczka... która miała ojca kojota.

Piesek wrócił pędem do domu.

- Czy mówię z panią Lacey? Nazywam się Evans. Dzwoniłem mniej więcej przed godziną.

- Tak, nazywam się Lacey - odparła. - Mąż jeszcze nie wrócił. Już... ale może niech pan wejdzie...

Jej głos był nieco przytłumiony, jak głosy we mgle.

Kiedy wszedłem, zamknęła za mną drzwi i stała, patrząc na mnie, potem lekko się wzdrygnęła i usiadła na wyplatany krześle. Sam zająłem drugie, identyczne. Piesek pojawił się zniemacka, skoczył mi na ręce, polizał języczkiem w czubek nosa i zeskoczył. Był mały, szary, miał spiczasty nos i długi puszysty ogon.

W dużym, podłużnym pokoju o kilku oknach z przybrudzonymi firankami znajdowały się, oprócz sporego kominka, indiańskie makatki, dwie sofy ze spleśniałymi kretonowymi narzutami i jeszcze kilka wyplatanych krzeseł, niezbyt wygodnych. Na ścianie wisiało kilka par jelenich rogów, jedne z sześcioma odnogami.

- Fred jeszcze nie wrócił - powtórzyła. - Nie mam pojęcia, co go zatrzymuje.

Skinąłem głową. Pani Lacey była blada. Wyjąwszy nieco zmierzwiłone ciemne włosy, wyglądała schludnie. Dwurzędowy czerwony żakiet z metalowymi guzikami, szare flanelowe spodnie, a na gołych nogach sandały ze świńskiej skóry o grubych drewnianych podeszwach. Do tego naszyjnik z matowych bursztynów i we włosach opaska z materiału w kolorze przydymionego różu. Miała trzydzieści parę lat, za późno, żeby się nauczyć ubierać.

- Chciał się pan widzieć z moim mężem w interesach?

- Tak. Pani mąż napisał, żebym przyjechał, zatrzymał się Pod Głową Indianina i do niego zadzwonił.

- Ach... Pod Głową Indianina... - powiedziała, jakby coś z tego wynikało.

Założyła nogę na nogę, ale nie odpowiadała jej ta pozycja, więc znów usiadła prosto. Po chwili pochyliła się, podtrzymując brodę ręką opartą na kolanie.

- Czym pan się zajmuje, panie Evans?

- Jestem prywatnym detektywem.

- Chodzi... chodzi o te pieniądze? - zapytała szybko.

Skinąłem głową. Mogłem sobie na to pozwolić. W końcu zwykle chodzi o pieniądze. Zresztą chodziło o sto dolarów, które miałem w kieszeni.

- Jasne - stwierdziła pani Lacey. - Oczywiście. Napije się pan czegoś?

- Bardzo chętnie.

Podeszła do drewnianego barku i wróciła z dwiema szklankami. Napiliśmy się. Spoglądaliśmy na siebie znad szklanek.

- Pod Głową Indianina - powtórzyła pani Lacey. - Mieszkaliśmy tam dwie doby. Zaraz po przyjeździe, kiedy sprzątano w domku. Zanim go kupiliśmy, dwa lata stał pusty. Strasznie tu było brudno.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Więc mówi pan, że mąż do pana napisał? - spytała, patrząc w szklankę. - Mam nadzieję, że opowiedział panu całą historię.

Poczęstowałem ją papierosem. Wyciągnęła rękę, ale zaraz potrząsnęła głową, położyła dłoń na kolanie i mocno je ścisnęła. Omiotła mnie przy tym uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

- Był niezbyt precyzyjny - powiedziałem. - Zwłaszcza w szczegółach.

Wpatrywała się we mnie i ja się w nią wpatrywałem. Potem zacząłem chuchać do szklanki, aż pokryła się mgiełką.

- Cóż, chyba nie ma z czego robić tajemnicy - stwierdziła. - Chociaż muszę wyznać, że wiem o tej sprawie więcej, niż Fred przypuszcza. Nie wie na przykład, że widziałam list.

- List, który do mnie napisał?

- Nie. Ten, który dostał z LOs Angeles, z ekspertyzą banknotu dziesięciodolarowego.

- W jaki sposób trafiła pani na ten list? - spytałem.

Zaśmiała się bez przekonania.

- Fred jest zbyt skryty. Nie należy być skrytym wobec kobiety. Zerknęłam na list, kiedy Fred był w łazience. Wyjęłam mu go z kieszeni.

Skinąłem głową i pociągnąłem kolejny łyk. Wydałem nieartykułowany pomruk. A co ważniejsze, całkiem niezobowiązujący, skoro nie miałem pojęcia, o czym mówimy.

- Ale skąd pani wiedziała, że jest w kieszeni? - zapytałem.

- Właśnie go odebrał na poczcie. Byłam tam z nim. - Zaśmiała się, tym razem z większym przekonaniem. - Zauważyłam, że w środku jest banknot i że list nadano w Los Angeles. Wiedziałam, że wysłał jeden z banknotów swojemu przyjacielowi, który specjalizuje się w tych rzeczach. Stąd przypuszczałam, że list zawiera ekspertyzę. I miałam rację.

- Widzę, że Fred raczej się nie krył - powiedziałem. - No, a co było w liście?

Pani Lacey lekko się zaczerwieniła.

- Nie wiem, czy powinnam panu o tym mówić. Nie wiem nawet, czy naprawdę jest pan detektywem i nazywa się Evans.

- Ba, o tym może się pani przekonać bez użycia przemocy - zapewniłem.

Wstałem i pokazałem to, co konieczne w takiej sytuacji. Kiedy znów usiadłem, piesek podszedł do krzesła i obwąchiwał mi mankiety nogawek. Pochyliłem się, żeby go pogłaskać po łebku, a on obślinił mi całą dłoń.

- List stwierdzał, że to piękna robota. Zwłaszcza papier. Był niemal doskonały. Dopiero po analizie mikroskopowej udało się wykryć drobne różnice w "registrarze". Co to znaczy?

- To znaczy, że badany banknot nie pochodzi z drukarni papierów wartościowych. Czy coś jeszcze się nie zgadzało?

- Tak. W niewidzialnym świetle, nie mam pojęcia, co to takiego, ujawniły się minimalne różnice w składzie farb. Ale według listu fałszerstwo jest praktycznie nie do wykrycia gołym okiem. Może wprowadzić w błąd każdego kontrolera bankowego.

Pokiwałem głową. Tego się nie spodziewałem.

- Kto napisał ten list, pani Lacey?

- Nie wiem, podpisał się Bill. To była kartka zwykłego papieru. Aha, jeszcze jedno. Bill twierdził, że Fred powinien natychmiast przekazać banknot ludziom z Biura Federalnego, ponieważ pieniądze są tak dobrze podrobione, że mogłyby narobić mnóstwo zamieszania, gdyby więcej ich trafiło do obiegu. Ale Fred oczywiście wolałby tego uniknąć. Pewnie dlatego sprowadził pana.

- No nie, oczywiście, że nie - zaprzeczyłem.

Strzelałem na oślep, ale miałem nadzieję, że nikogo nie zranię. Zbyt wielki był obszar mojej niewiedzy.

Pani Lacey potaknęła, jakbym coś wyjaśnił.

- A czym się Fred obecnie zajmuje? - zapytałem.

- Brydżem i pokerem, jak zwykle od lat. Prawie każdego popołudnia gra w brydża w klubie sportowym, a wieczorami rżnie w pokera. Rozumie pan, że nie mógł sobie pozwolić nawet na najniewinniejsze powiązanie ze sprawą fałszywych pieniędzy. Zawsze by się znalazł ktoś, kto by zakwestionował jego niewinność. Gra też na wyścigach, ale to już wyłącznie dla przyjemności. W ten sposób zdobył pięćset dolarów, które włożył mi w prezencie do buta. Właśnie Pod Głową Indianina.

Miałem ochotę wyjść na dwór i trochę pokrzyzczeć, waląc kulakami w klatkę piersiową, żeby się po prostu wyładować. Tymczasem mogłem jedynie siedzieć, robić mądrą minę i pociągać ze szklanki. Wypiłem do dna i zagrzechotałem resztkami lodu. Moja gospodyni przyniosła mi nową porcję. Łyknąłem porządnie i wziąłem głęboki oddech.

- Skoro banknot był tak dobry, skąd on wiedział, że jest zły, jeśli mnie pani rozumie?

- zapytałem.

Oczy jej się zaokrągliły.

- Ach, tak, rozumiem. Nie wiedział. Chodzi o to, że było ich pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt nowiutkich dziesięciodolarówek. Ale kiedy je wkładał do buta, wyglądały inaczej.

Deliberowałem, czy coś pomoże mocne pociągnięcie się za włosy. Raczej nie - ze względu na obolałą głowę. Charlie. Ten stary kumpel Charlie! W porządku, Charlie, wkrótce zjawię się u ciebie z moimi chłopakami.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Chwileczkę, pani Lacey. Mąż nic nie wspomniał o bucie. Czy zawsze trzyma pieniądze w bucie, czy zrobił to tylko tym razem, z tej okazji, że wygrał je na wyścigach, a więc przez wdzięczność dla końskich nóg?

- Już mówiłam, że to miała być dla mnie niespodzianka. Miałam znaleźć pieniądze, wkładając buty, to proste.

- Ach - krzyknąłem, odgryzłszy sobie pół cala górnej wargi. - Ale pani ich nie znalazła?

- Jak mogłam znaleźć, skoro posłałam pokojówkę z tymi butami do szewca, żeby podwyższył obcasy? Nie zaglądałam do środka. Nie wiedziałam, że Fred coś tam włożył.

Wreszcie jakieś światełko w ciemności. Było bardzo odległe, zbliżało się opieszale. I bardzo nisko, tyle co pół robaczka świętojańskiego.

- A Fred nic o tym nie wiedział. I pokojówka zaniósła buty do szewca. Co dalej? - zapytałem.

- Potem Gertruda - tak ma na imię pokojówka - powiedziała, że ona też nie zauważyła pieniędzy. Kiedy Fred dowiedział się, że oddałam buty, i porozmawiał z Gertrudą, poleciał zaraz do szewca, ale okazało się, że on jeszcze nie zaczął ich robić. Zwitek banknotów wciąż tam tkwił. Fred wybuchnął śmiechem, schował pieniądze do kieszeni, a szewcowi dał z radości pięć dolarów.

Dopiłem drugą szklankę i rozprostowałem kości.

- Teraz rozumiem. Potem Fred wyjął banknoty, obejrzał je i stwierdził, że to nie te same. To były nowiutkie dziesięciodolarówki, a przedtem znajdowały się tam różne nominały, w dodatku nienowe, przynajmniej nie wszystkie nowe.

Patrzyła na mnie zdziwiona, że wyciągam takie oczywiste wnioski. Zastanawiałem się, ile jej zdaniem stron miał list, który dostałem od Freda.

- I wtedy Fred musiał pomyśleć, że zamiany dokonano nie bez kozery. Przyszedł mu do głowy prawdopodobny powód i wysłał jeden banknot przyjacielowi, z prośbą o sprawdzenie. A ekspertyza wykazała, że to wprawdzie bardzo dobre fałszerstwo, ale jednak fałszerstwo. Z kim o tym rozmawiał w hotelu?

- Chyba jedynie z Gertrudą. Nie chciał wszczynać alarmu. Myślę, że zawiadomił tylko pana.

Zdusiłem papierosa i przez otwarte frontowe okno wyjrzałem na oświetlone księżycem jezioro. Motorówka wyścigowa wyposażona w silny przedni reflektor przemknęła z łoskotem po powierzchni, albo nawet nad powierzchnią jeziora i znikła za lesistym przylądkiem.

Spojrzałem na panią Lacey. Nadal siedziała z podbródkiem opartym na smukłej dłoni. Wzrok miała trochę nieobecny.

- Chciałabym, żeby Fred już wrócił - westchnęła.

- A gdzie on się podziewa.

- Nie wiem. Wyszedł z człowiekiem, który się nazywa Frank Luders i mieszka w Woodland Club, na najdalszym krańcu jeziora. Fred mówi, że jest współwłaścicielem tego ośrodka. Ale dzwoniłam przed chwilą do Ludersa, który mi powiedział, że całkiem niedawno pojechali razem do miasteczka i Fred wysiadł koło poczty. Spodziewam się, że zadzwoni lada chwila i poprosi, żebym go przywiozła do domu. Wyruszył ładnych parę godzin temu.

- W Woodland Club na pewno grywa się w karty. Może tam poszedł.

- Zwykle jednak dzwoni do domu - stwierdziła, kiwając głową.

Przez chwilę wbijałem wzrok w podłogę, czując się jak podeszwa. Potem wstałem.

- Myślę, że powinienem wrócić do hotelu. Można mnie tam znaleźć, gdyby chciała pani zadzwonić. Wydaje mi się, że poznałem kiedyś pani męża. Czy to dobrze zbudowany czterdziestopięciolatek, lekko łysiejący, z małym wąsikiem?

Odprowadzała mnie do drzwi.

- Tak - powiedziała. - To Fred, wypisz, wymaluj.

Zamknęła psa w domu. Kiedy zawracałem i odjeżdżałem, stała na ganku. U licha, była taka samotna.

IV

Leżałem w łóżku, międląc papierosa i zastanawiając się, dlaczego właśnie ja mam być w tej sprawie mądry, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Odezwałem się. Weszła dziewczyna w roboczym kombinezonie. Z ręcznikami. Miała ciemne, rudawe włosy, zmyślną, dobrze umalowaną twarz i długie nogi. Powiedziała "przepraszam", powiesiła ręczniki na wieszaku i ruszyła w stronę drzwi. Patrzyła na mnie spod oka, trzepocząc przy tym rzęsami.

- Witaj, Gertrudo - powiedziałem na chybił trafił.

Zatrzymała się, obróciła ciemną, rudą główkę i prawie się uśmiechnęła.

- Skąd pan wie, jak mi na imię?

- Nie wiedziałem. Mówiono mi, że jest tu pokojówka o imieniu Gertruda. Chciałem z nią porozmawiać.

Oparła się o framugę drzwi, z ręcznikami na ręce. Oczy miała leniwe.

- A więc?

- Pani tu na lato, czy na całe życie? - spytałem.

Odeła wargi.

- Trudno to nazwać życiem. Wśród tych zwariowanych miłośników gór? Dziękuję, nie.

- Ale chyba dobrze się pani powodzi?

Skinęła głową.

- I nie potrzebuję towarzystwa, mój panie.

To akurat możnaby jej chyba wyperswadować.

- Proszę mi opowiedzieć o tych pieniądzach, schowanych w bucie - poprosiłem, przyglądając się jej przez chwilę.

- Kim pan jest? - spytała chłodno.

- Nazywam się Evans. Jestem detektywem z Los Angeles.

Uśmiechnąłem się do niej, bardzo chytrze.

Jej twarz z lekka zeszywniała. Rękę zacisnęła na ręcznikach, paznokcie rysowały kółko na ubraniu. Odeszła od drzwi i siadła na krześle pod ścianą. W jej oczach kryło się zakłopotanie.

- Śledź - westchnęła. - O co chodzi?

- Nie wiesz?

- Wiem tylko, że pani Lacey zostawiła jakieś pieniądze w bucie, który chciała oddać do podwyższenia obcasa, a ja zaniiosłam buty do szewca, który nie ukradł pieniędzy. Ja zresztą też nie ukradłam. Przecież odzyskała pieniądze, prawda?

- Nie przepadasz za glinami, co? Zdaje mi się, że skądś znam twoją buzię - powiedziałem.

Skamieniała.

- Posłuchaj, gliniarzu, mam pracę, którą muszę skończyć. Żaden gliniarz mi w tym nie pomoże. A poza tym nic nikomu nie zrobiłam.

- Jasne - zgodziłem się. - Kiedy wzięłaś te buty z pokoju, poszłaś z nimi prosto do szewca?

Przytaknęła.

- Nigdzie się po drodze nie zatrzymałaś?

- Po co miałabym się zatrzymywać?

- Nie było mnie przy tym, więc nie wiem.

- Nie. Powiedziałam tylko panu Weberowi, że wychodzę na zlecenie gościa hotelowego.

- Kto to jest ten pan Weber?

- Zastępca kierownika. Często przesiaduje w jadalni.

- Wysoki, blady facet, który zapisuje wszystkie wyniki wyścigów?

- Tak, to on - potwierdziła dziewczyna.

- Rozumiem. - Zapaliłem zapalniczkę, a od niej papierosa. Patrzyłem na nią przez dym. - Bardzo dziękuję.

Dziewczyna wstała i otworzyła drzwi.

- A jednak nie mogę sobie pana przypomnieć - rzuciła, oglądając się przez ramię.

- Widzę, że znasz prawie wszystkich moich kolegów - stwierdziłem.

Zaczerwieniła się. Stała, piorunując mnie wzrokiem.

- Czy w tym hotelu zawsze tak późno zmienia się ręczniki? - zapytałem, żeby coś powiedzieć.

- Spryciarz z pana.

- Staram się sprawiać takie wrażenie - wyznałem ze skromnym uśmiechem.

- Ale nie zawsze to panu wychodzi - powiedziała, a w jej głosie nagle dosłyszałem ślad obcego akcentu.

- Czy ktoś oprócz ciebie dotykał tych butów?

- Nie. Już mówiłam, że zatrzymałam się na chwilę, żeby powiedzieć panu Weberowi... - tu przerwała w pół zdania i zastanawiała się dłuższą chwilę. - Poszłam przynieść mu kawy. Zostawiłam buty na jego biurku, obok kasy. Skąd do cholery mam wiedzieć, czy nikt ich nie ruszał? A zresztą czy to nie wszystko jedno, skoro ci ludzie odzyskali swój szmal?

- No cóż, widzę, że starasz się mnie o tym usilnie przekonać. Ale opowiedz mi o Weberze. Długo tu jest?

- Zbyt długo - odparła z zaciekleścią w głosie. - Dziewczyny wolą go omijać z daleka, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Ale o czym mówiliśmy?

- O panu Weberze.

- Do diabła z Weberem, jeśli mnie pan rozumie.

- Miałaś jakieś kłopoty z jego powodu.

Znów się zaczerwieniła.

- I powiem jeszcze, zupełnie poza protokołem: do diabła z panem.

- Jeśli mnie pan rozumie - dodałam.

Otworzyła drzwi, rzuciła mi szybki, nadąsany uśmiech i wyszła.

Jej kroki zastukały w korytarzu. Nie słyszałem, żeby się zatrzymywała przy innych drzwiach. Spojrzałem na zegarek. Minęło pół do dziewiątej.

Ktoś zbliżał się korytarzem, łomocąc buciorami, po czym wszedł do sąsiedniego pokoju i trzasnął drzwiami. Usłyszałem męskie pochrząkiwanie i łoskot rzucanych butów. Jakiś ciężar runął na sprężyny łóżka i podskakiwał na nich przez dobre pięć minut. Potem mężczyzna wstał. Dwie wielkie bose stopy zadudniły w podłogę, butelka brzęknęła o szklankę. Mężczyzna nalał sobie, znów się położył i niemal od razu zaczął chrapać.

Gdyby nie to chrapanie i bliżej nie zidentyfikowane odgłosy z jadalni i baru, panowałyby cisza właściwa górnemu ośrodkowi wypoczynkowemu. Szybkie motorówki terkotały na jeziorze, stąd i zowąd dobiegała muzyka taneczna, samochody trąbiły, kaliber 22 trzaskał na strzelnicy, a dzieci wrzeszczały do siebie przez główny deptak.

Było tak cicho, że nie usłyszałem, jak otwierają się drzwi mojego pokoju. Kiedy się zorientowałem, stały już otworem. Wszedł jakiś mężczyzna, przytknął je, zrobił parę kroków i przystanął, patrząc na mnie. Był wysoki, szczupły, blady i spokojny, a w jego oczach czaiła się groźba.

- Dość tych żartów - rzucił. - Chcę to zobaczyć.

Odwróciłem się do niego i usiadłem, ziewając.

- Co takiego?

- Znaczek.

- Jaki znaczek?

- Skończmy z wygłupami. Chcę zobaczyć znaczek, który daje panu prawo wypytywać personel.

- Ach, o to chodzi - westchnąłem z nikłym uśmiechem. - Nie mam żadnego znaczka, panie Weber.

- A to ci historia - stwierdził Weber.

Przemierzył pokój, wymachując długimi rękoma. Kiedy zbliżył się do mnie na odległość trzech stóp, pochylił się i zrobił coś niespodziewanego. Otwartą dłoń mocno uderzył mnie w twarz. Głowa mi się zakołysała, a z karku we wszystkich kierunkach rozszedł się przenikliwy ból.

- Tylko za to jedno uderzenie - powiedziałem - nie pójdzie pan dzisiaj do kina.

Wykrzywił twarz w ironicznym grymasie i zamachnął się prawym kułakiem. Zasygnalizował cios z dużym wyprzedzeniem. Gdybym się pospieszył, zdążyłbym może wybiec na ulicę i kupić sobie maskę baseballową. Wyminąłem jego pięść i wbiłem mu w brzuch lufę pistoletu. Mruknął coś ze złością.

- Rączki do góry - poleciłem.

Znów coś mruknął, oczy wyszły mu z orbit, ale rąk nie podniósł. Obszedłem go i wycofałem się w najodleglejszy kąt pokoju. Obrócił się powoli, nie odrywając ode mnie oczu.

- Chwileczkę, tylko zamknę drzwi. Potem zajmiemy się sprawą pieniędzy w bucie, znaną skądinąd jako Zagadka Zamienionej Sałaty - powiedziałem.

- Idź pan do diabła - warknął.

- To już przed chwilą przerabiałem - odparłem. - Mógłby się pan zdobyć na coś oryginalniejszego.

Sięgnąłem za plecami do klamki, nie spuszczać go z oczu. Usłyszałem skrzypnięcie drewna. Zakręciłem się wokół własnej osi, przydając trochę energii dużemu, ciężkiemu i twardemu jak świat interesów kawałowi betonu, który wylądował na mojej szczęce. Poleciałem w powietrze niczym błyskawica i dałem nura w przestrzeń kosmiczną. Minęło parę tysięcy lat. Potem plecami zatrzymałem bieg planety, otwarłem zamglone oczy i ujrzałem dwie stopy.

Szeroko rozwarte, były częścią nóg, które zbiegały się w moim kierunku i spoczywały bezwładnie na podłodze. Obok leżała nieruchoma ręka, a tuż poza zasięgiem dłoni - pistolet. Ruszyłem stopą i ze zdumieniem stwierdziłem, że należy do mnie.

Bezwładna dłoń drgnęła i odruchowo sięgnęła po pistolet, ale nie trafiła. Ponowiła więc próbę i wreszcie objęła gładką rękojeść. Podniosłem broń. Ktoś wprawdzie przywiązał do niej pięćdziesięciofuntowy odważnik, ale mimo to udało mi się ją unieść. W pokoju była tylko i wyłącznie cisza. Podniosłem wzrok i wpatrywałem się w zamknięte drzwi. Poruszyłem się i poczułem, że boli mnie całe ciało. Bolała mnie głowa. Bolała szczęka. Uniosłem broń wyżej i znów ją opuściłem. Do diabła z pistoletem. Nie miałem powodu go dźwigać. Pokój był pusty. Opuścili go wszyscy goście. Samotna lampa pod sufitem świeciła pustym blaskiem. Obróciłem się na bok, czując przy tym nową falę bólu, po czym zgiąłem nogę i podciągnąłem kolano. Podniosłem się stękając, znów złapałem pistolet i wywindowałem się do pozycji pionowej. W ustach czułem smak popiołu.

- Wielka szkoda - powiedziałem głośno. - Wielka szkoda. Ale trudno. Jeszcze się zobaczymy, Charlie.

Zachwiałem się, oszołomiony jak po trzydniowym pijaństwie, obróciłem i zlustrowałem pokój.

Przy łóżku klęczał jakiś zatopiony w modlitwie popielaty blondyn w szarym garniturze. Nogi miał nieco rozsunęte, a tułów i szeroko rozłożone ręce opierały się na łóżku.

Najwyraźniej było mu w tej pozycji wygodnie. Chropowata rogowa rękojeść myśliwskiego noża, wystająca spod lewej łopatki, wcale mu nie przeszkadzała.

Podszedłem bliżej i nachyliłem się, żeby spojrzeć mu w twarz. Była to twarz pana Webera. Biedny pan Weber! Spod rękojeści myśliwskiego noża, wzdłuż lewej poły jego marynarki, biegła ciemna smuga.

Nie była to woda rtęciowa.

Znalazłem w kącie swój kapelusz, włożyłem go ostrożnie na głowę, umieściłem pistolet pod pachą i powoli zbliżyłem się do drzwi. Przekręciłem klucz, zgasilem światło, wyszedłem, zamknąłem drzwi, a klucz włożyłem do kieszeni.

Powędrowałem wymarłym korytarzem i schodami w dół, do biura. Stary nocny portier o zniszczonej twarzy siedział za biurkiem i czytał gazetę. Nawet na mnie nie spojrzał. Przez łukowate wejście zerknąłem do restauracji. Ten sam hałaśliwy tłumek cisnął się koło baru. Ten sam zespół country walczył w kącie o przetrwanie. Facet z cygarem w ustach i brwiami jak John L. Lewis pilnował kasy. Interes szedł w najlepsze. Pośrodku sali tańczyło, trzymając szklanki za plecami partnera, kilka par turystów.

Wyszedłem głównym wejściem i skręciłem w lewo, kierując się do swojego samochodu, ale po chwili przystanąłem i wróciłem do hotelowego hallu. Pochyliłem się nad ladą.

- Czy mógłbym się widzieć z pokojówką Gertrudą? - zapytałem recepcjonistę.

- Ma wolne od wpół do dziesiątej. Pojechała do domu.

- A gdzie mieszka?

Popatrzył na mnie, nie mrugając powiekami.

- Chyba za dużo pan sobie wyobraża - powiedział.

- Jeśli nawet sobie wyobrażam, to nie to, o czym pan myśli.

Potał palcami policzek i przykleił się wzrokiem do mojej twarzy.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Jestem detektywem z Los Angeles. Pracuję bardzo spokojnie, jeśli mi się pozwala pracować spokojnie.

- Myślę, że powinien pan porozmawiać z panem Holmesem - odparł. - Z naszym kierownikiem.

- Słuchaj, kolego, to jest bardzo mała dziura. Wystarczy, że przejdę na drugą stronę ulicy i w jakimś barze albo restauracji zapytam o Gertrudę. Wymyślę jakiś pretekst. Zdobędę jej adres. Pan może oszczędzić mi trochę czasu, a być może komuś innemu kłopotu. Bardzo poważnego kłopotu.

Wzruszył ramionami.

- Czy mogę zobaczyć pańską licencję, panie...

- Evans.

Pokazałem mu swoje papiery. Wpatrywał się w nie długo, zanim zaczął czytać, po czym oddał mi portfel i wstał, mierząc wzrokiem własne paznokcie.

- Zdaje mi się, że mieszka w Whitewater Cabins - powiedział w końcu.

- Jak brzmi jej nazwisko?

- Smith - odparł i uśmiechnął się słabym, starym, bardzo wytartym uśmiechem człowieka, który już niejedno widział na tym świecie. - A może Schmidt.

Podziękowałem mu i wyszedłem na dwór. Nie dochodząc do pierwszej przecznicy, wstąpiłem napić się czegoś w małym hałaśliwym barze. Trzyosobowy zespół swingował na niewielkim podium w głębi sali. Przed podium znajdował się parkiet, na którym kilka par o

zamglonym wzroku i płaskich stopach kręciło się w kółko z otwartymi ustami i pustymi twarzami.

Wypiłem szklaneczkę żytniej i zapytałem barmana, gdzie szukać Whitewater Cabins. Powiedział, że na wschód od miasteczka, przy drodze, która zaczyna się obok stacji benzynowej, niedaleko stąd.

Wróciłem po samochód, przejechałem przez miasteczko i znalazłem tę drogę. Bładoniebieski neon ze strzałką wskazywał kierunek. Grupka domków, rozłożonych na stoku wzgórza, oraz biuro przy wjeździe - oto całe Whitewater Cabins. Zatrzymałem się przed biurem. Wokół na miniaturowych ganeczkach, siedzieli ludzie, słuchając przenośnych odbiorników radiowych. Wieczór był cichy i spokojny. Przy drzwiach biura znalazłem dzwonek.

Zadzwoiłem, zjawiała się dziewczyna w spodniach, która poinformowała mnie, że panny Smith i Hoffman mają chatkę nieco na uboczu, ponieważ rano dłużej śpią i potrzebują spokoju. Oczywiście w sezonie w ośrodku zawsze panuje gwar, ale ich chatka, Przytulisko, jest zaciszna, leży z dala od innych, po lewej stronie, znajdę ją bez trudu. Czy jestem ich przyjacielem?

Powiedziałem, że jestem dziadkiem panny Smith, podziękowałem, wyszedłem z biura i ruszyłem stokiem pod górę, pomiędzy gęsto stojącymi chatkami. Dotarłem do sosnowego lasu. Na jego skraju leżały stągi drewna opałowego, a po obu ich stronach przycupnęły chatki. Przed tą po lewej stało coup~e z włączonymi światłami pozycyjnymi. Wysoka blondynka w niebieskiej chustce, niebieskim swetrze i niebieskich spodniach - przynajmniej o zmroku sprawiały wrażenie niebieskich - ładowała walizkę do bagażnika. W chatce paliło się światło. Niewielki szyld na dachu oznajmiał, że to Przytulisko.

Blondynka weszła do chatki, zostawiając otwarty bagażnik. Przez uchylone drzwi padała smuga przyćmionego światła. Cichutko wszedłem po schodkach i znalazłem się w środku.

Gertruda mocowała się z zapięciem leżącej na łóżku walizki. Blondynka była poza zasięgiem mego wzroku, ale słyszałem, jak krząta się w małej kuchence.

Zdaje się, że nie narobiłem zbyt wiele hałasu. Gertruda zatrzasnęła walizkę, zważyła ją w dłoni i ruszyła w stronę wyjścia. Dopiero wtedy mnie spostrzegła. Zbladła jak trup i zamarła w pół kroku. Otworzyła usta i szybko rzuciła przez ramię:

- Anno! Achtung!

W kuchni zaległa cisza. Gertruda i ja wpatrywaliśmy się w siebie.

- Wyjeżdżacie? - spytałem.

Dziewczyna zwilżyła wargi.

- Gliniarz chce mnie zatrzymać?
- Nie sądzę. Dlaczego wyjeżdżacie?
- Nie podoba mi się tutaj. Wysokość źle mi robi na nerwy.
- Zdecydowałyście się dość nagle.
- Czy jakiś paragraf tego zabrania?
- Nie sądzę. Chyba nie boisz się Webera?

Nie odpowiedziała. Patrzyła ponad moim ramieniem. To stary numer, więc nie reagowałem. Za moimi plecami szczęknęły drzwi chatki. Wtedy się obejrzałem. Stała tam blondynka. W ręku miała pistolet. Patrzyła na mnie uważnie, bez żadnego wyrazu twarzy. Była duża i wyglądała na silną.

- Co to takiego? - spytała nieco ociężałym, niemal męskim głosem.
- Śledź z Los Angeles - odparła Gertruda.
- Aha - stwierdziła Anna. - Czego chce?
- Nie wiem - rzekła Gertruda. - Myślę, że to nie jest prawdziwy śledź. Inaczej pachnie.

- Aha - powiedziała Anna.

Przesunęła się na bok, odsłaniając drzwi. Wciąż miała mnie na muszce. Trzymała pistolet tak, jakby broń nie robiła na niej najmniejszego wrażenia.

- Czego chcesz? - spytała gardłowym głosem.
- Praktycznie wszystkiego - oznajmiłem. - Czemu się zmywacie?
- To już zostało wyjaśnione - odparła spokojnie dziewczyna. - Z powodu wysokości.

Nie służy Gertrudzie.

- Obie pracujecie Pod Głową Indianina?
- To nie ma znaczenia - stwierdziła blondynka.
- Dość tego - wtrąciła się Gertruda. - Tak, obie pracowałyśmy do dzisiaj w hotelu.

Teraz wyjeżdżamy. Ma pan coś przeciw temu?

- Tracimy czas - powiedziała Anna. - Sprawdź, czy ma broń.

Gertruda odstawiła walizkę i szybko mnie przeszukała. Znalazła pistolet, który wielkodusznie pozwoliłem jej zabrać. Wpatrywała się w broń, z bladą, zatroskaną twarzą.

- Połóż pistolet gdzieś na zewnątrz i zanieś walizkę do samochodu. Zapal silnik i poczekaj na mnie. - Poleciała jej blondynka.

Gertruda schyliła się po walizkę i ruszyła ku drzwiom.

- W ten sposób daleko nie zajedziecie - zauważyłem. - Policja telefonicznie zarządzi blokadę dróg. Stąd odchodzą tylko dwie, obie łatwo zamknąć.

Blondynka lekko uniosła ładne, złociste brwi.

- Dlaczego ktoś miałby nas zatrzymywać?

- A dlaczego ściskasz w ręku pistolet?

- Nie wiedziałam, kim pan jest - odparła. - I nadal nie wiem. Chodź, Gertrudo.

Gertruda otworzyła drzwi, obejrzała się na mnie i przygryzła wargę.

- Posłuchaj dobrej rady, łapiduchu - powiedziała łagodnie. - Zmykaj stąd, jak tylko będziesz mógł.

- Która z was widziała nóż myśliwski?

Spojrzały szybko na siebie, potem na mnie. Gertruda przypatrywała mi się z napięciem, ale w jej wzroku nie było poczucia winy.

- Poddaję się - oznajmiła. - To dla mnie za trudne.

- No, dobrze - rzuciłem. - Wiem, że to nie wy go tam zostawiłyście. Jeszcze jedno pytanie: ile czasu zajęło ci przyniesienie kawy panu Weberowi tamtego ranka, kiedy szłaś z butami do szewca?

- Tracisz czas, Gertrudo - powiedziała blondynka niecierpliwie, w każdym razie jak na nią niecierpliwie. Nie należała do porywczych.

Gertruda zupełnie ją zignorowała. W jej oczach widać było głęboki namysł.

- Tyle, ile potrzeba na przygotowanie kawy.

- Przecież w restauracji kawa jest na zawołanie.

- Akurat wystygła. Poszłam po świeżą do kuchni. Przy okazji przyniosłam mu grzanekę.

- Pięć minut?

- Mniej więcej - przytaknęła.

- Kto jeszcze oprócz Webera był wówczas w restauracji?

Wpatrywała się we mnie uporczywie.

- Myślę, że nikogo nie było. Ale nie jestem pewna. Może ktoś jadł późne śniadanie.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziałem. - Połóż pistolet na ganku, ostrożnie, nie upuść go na ziemię. Jeśli chcesz, możesz opróżnić magazynek. Nie mam zamiaru do nikogo strzelać.

Uśmiechnęła się leciutko, otworzyła drzwi ręką, w której trzymała broń, i wyszła. Dobiegły mnie odgłosy jej kroków na schodkach, a po chwili trzaśnięcie zamykanego bagażnika. Usłyszałem rozrusznik, silnik zaskoczył i terkotał miarowo.

Blondynka podeszła do drzwi i przełożyła klucz na zewnątrz.

- Nie zależy mi specjalnie na tym, żeby kogoś zastrzelić - stwierdziła. - Ale w razie potrzeby potrafię to zrobić. Radzę mnie do tego nie zmuszać.

Trzasnęła drzwiami i przekręciła klucz w zamku. Pochwyciłem jej kroki na ganku. Potem zatrzasnęły się drzwi samochodu i silnik zmienił obroty. Opony zachrzęściły na drodze prowadzącej w kierunku chatki. W końcu wszystkie odgłosy roztopiły się w szumie przenośnych odbiorników radiowych.

Stałem, rozglądając się po chatce, potem zrobiłem parę kroków. Nie trafiłem na nic podejrzanego. W blaszanym pojemniku trochę śmieci, w zlewie nie pozmywane filiżanki i garnek pełen fusów. Nie znalazłem ani kawałka papieru, nikt też nie zostawił historii swego życia spisanej na pudełku od zapalek.

Zapasowe drzwi również były zamknięte. Wychodziły na majaczący w mroku las. Potrząsnąłem nimi i pochyliłem się, żeby z bliska obejrzeć zamek. Zwykła zasuwka. Otworzyłem okno. Osłaniała je przybita do zewnętrznej ściany siatka. Wróciłem do drzwi i naparłem na nie barkiem. Nie puszczały. Na domiar złego głowa znów dała o sobie znać. Obmacałem kieszenie, ale spotkał mnie zawód. Nie miałem nawet najprostszego wytrycha za pięć centów.

W szafce kuchennej znalazłem otwieracz do konserw. Podważyłem nim róg siatki i nieco odgiąłem, po czym stanąłem na zlewie i sięgnąłem do zewnętrznej klamki drzwi. W zamku namacałem klucz. Przekręciłem go, wciągnąłem rękę z powrotem i wyszedłem z chatki. Potem wróciłem, żeby pogasić światła. Moja broń leżała na ganku, koło otaczającej go niskiej barierki. Zatknąłem pistolet pod pachę i zszedłem do stóp wzgórza, gdzie zostawiłem samochód.

VI

Wewnątrz ujrzałem ladę, zaczynającą się tuż obok drzwi, pękaty piecyk, a na ścianie dużą niebieskawą mapę okolicy i kilka pomarszczonych kalendarzy. Na ladzie leżały sterty zakurzonych folderów, zardzewiałe pióro, butelka atramentu i pociemniały od potu stetson.

Za ladą, przy starym dębowym biurku z szufladami, obok wysokiej, pokrytej śniedzią mosiężnej spluwaczki, siedział dobrze zbudowany, jowialny mężczyzna. Odchylił się na krześle, skrzyżowawszy na brzuchu duże, nieowłosione ręce. Miał na sobie schodzone wojskowe półbuty koloru brązowego, białe skarpetki, sprane brązowe spodnie na spłowiałych szelkach i koszulę khaki, zapiętą pod szyją. Jego mysie włosy na skroniach przypominały brudny śnieg. Na lewej piersi połyskiwała gwiazda. Siedząc opierał się raczej na lewym niż na prawym biodrze, ponieważ z prawej tylnej kieszeni wystawała mu brązowa skórzana kabura, a z niej - przynajmniej na stopę - pistolet kalibru 45.

Mężczyzna miał duże uszy, przyjazne oczy i w ogóle sprawiał wrażenie groźnego jak wiewiórka, tyle że trochę mniej nerwowego. Oparłem się na ladzie i patrzyłem na niego. Skinął mi głową, po czym w spluwaczkę wylądowało chyba ze ćwierć litra brązowego soku. Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się, gdzie by tu wyrzucić zapałkę.

- Choćby na podłogę - powiedział. - Co mogę dla ciebie zrobić, synu?

Cisnąłem zapałkę na podłogę i brodą wskazałem wiszącą na ścianie mapę.

- Szukam mapy tych okolic. Dawniej rozdawano je za darmo w biurach informacji handlowej. Ale obawiam się, że to nie jest biuro informacji handlowej.

- Nie mamy żadnych map - odparł mężczyzna. - Były całe stosy, parę lat temu, ale się skończyły. Słyszałem, że Sid Young ma jeszcze jakieś mapy w swoim sklepie fotograficznym koło poczty. On jest sędzią pokoju, nie tylko właścicielem sklepu fotograficznego, i rozdaje je turystom, zaznaczając, gdzie wolno, a gdzie nie wolno palić ognisk. Mamy tu spore zagrożenie pożarowe. A dobra mapa okolic wisi tam, na ścianie. Z przyjemnością wskażę panu każde miejsce. Dokładamy starań, żeby nasi letnicy czuli się jak w domu.

Westchnął leniwie i strzyknął kolejną porcją śliny.

- Pańskie nazwisko? - spytał.

- Evans. A pan reprezentuje tu prawo?

- Tak. Jestem posterunkowym w Puma Point i zastępcą szeryfa w San Bernardino. Cały nasz wymiar sprawiedliwości to Sid Young i ja. Nazywam się Barron. Pochodzę z Los

Angeles. Osiemnaście lat służby w pożarnictwie. Trafiłem tutaj jakiś czas temu. Bardzo tu miło i spokojnie. A pan przyjechał służbowo?

Nie przypuszczałem, że tak szybko będzie mógł powtórzyć swój wyczyn, ale się myliłem. Spluwaczka otrzymała okazałą porcję.

- Służbowo? - zdziwiłem się.

Potężny mężczyzna zdjął jedną rękę z brzucha i wcisnął palec pod kołnierzyk, starając się go rozluźnić.

- Służbowo - powtórzył łagodnie. - Chodzi mi o to, że ma pan zapewne pozwolenie na pistolet?

- Naprawdę aż tak bardzo odstaje?

- Zależy, na co kto zwraca uwagę - stwierdził i postawił obie nogi na podłodze. - Może lepiej załatwimy tę kwestię od razu.

Wstał, podszedł do lady, a ja położyłem na niej otwarty portfel, tak żeby w celuloidowym okienku widać było prawo jazdy ze zdjęciem. Potem wyciągnąłem pozwolenie na broń, wydane przez szeryfa Los Angeles, i umieściłem je obok.

Barron obejrzał oba dokumenty.

- Wolałbym sprawdzić numer - powiedział.

Wyjąłem pistolet i położyłem na ladzie tuż koło jego dłoni. Wziął go i porównał numery.

- Widzę, że posiada pan trzy pistolety. Mam nadzieję, że nie nosi pan wszystkich trzech naraz. Ładna broń, synu. Ale strzela gorzej od mojej.

Wyciągnął swoją armatę z tylnej kieszeni i położył na ladzie. Był to frontier colt, musiał ważyć tyle co pełna walizka. Policjant podrzucił go w górę, aż zakręcił młynka, złapał zręcznie i schował. Następnie popchnął ku mnie mój kaliber 38.

- A zatem jest pan służbowo, panie Evans?

- Nie jestem całkiem pewien. Zostałem tu wezwany, ale nie udało mi się jeszcze nawiązać kontaktu. To sprawa poufna.

Skinął głową. Miał zamysłone oczy. Były teraz głębsze, chłodniejsze i ciemniejsze.

- Zatrzymałem się Pod Głową Indianina - poinformowałem.

- Nie chcę się wtrącać w pańskie sprawy, synu - oznajmił. - U nas nie ma zbrodni. Raz na jakiś czas bójka albo latem pijany kierowca. Czasem kilku łobuzów na motocyklu włamie się do jakiegoś domku, żeby się przespać, czy ukraść trochę żywności. Ale nie ma prawdziwych przestępstw. Skłonność do zbrodni jest na terenach górskich minimalna. Ludzie gór bardzo lubią spokój.

- Tak - powiedziałem - a zarazem nie.

Pochylił się nieco i spojrzał mi w oczy.

- Właśnie teraz - ciągnąłem - zdarzyło się u was morderstwo.

Jego twarz nawet nie drgnęła. Wpatrywał się we mnie badawczo. Potem sięgnął po kapelusz i włożył go na tył głowy.

- Co się stało, synu? - zapytał spokojnie.

- Zastrzelono mężczyznę na przylądku, na wschód od miasteczka, za pawilonem tanecznym, koło wielkiego, obalonego drzewa. Trafiony w samo serce. Byłem tam, przez pół godziny paliłem fajkę, zanim go spostrzegłem.

- Doprawdy? - wycedził. - Na Speaker Point? Za Speaker's Tavern? Tam?

- Zgadza się - odpowiedziałem.

- Potrzebował pan sporo czasu, by mi o tym powiedzieć!

Jego oczy nie były już przyjazne.

- Doznałem szoku - wyjaśniłem. - Trochę potrwało, zanim się pozbierałem.

- Skinął głową.

- Pojedziemy tam teraz obaj. Pańskim samochodem.

- To się na nic nie zda - odparłem. - Ciało zostało usunięte. Kiedy je znalazłem i szedłem do samochodu, wyskoczył zza krzaka jakiś japoński gangster i zwałił mnie z nóg. Paru ludzi zabrało ciało i odpłynęło łódką. W tej chwili nie ma tam najmniejszego śladu.

Szeryf odwrócił się ode mnie i splunął do swej flegmaczki. Potem strzyknął odrobiną śliny na piecyk i czekał, jakby się spodziewał, że wyparuje z sykiem, ale było lato i piecyk nie działał. Więc znów się odwrócił i odchrząknął przeciągle.

- Może by pan lepiej poszedł do siebie i trochę się położył. - Mówiąc to, klepnął się po biodrze. - Dokładamy starań, żeby letnicy dobrze się u nas czuli.

Klepnął się teraz obiema dłońmi, po czym wcisnął je w płytkie przednie kieszenie spodni.

- Dobrze - powiedziałem.

- Nie mamy tutaj gangsterów Japończyków - mruknął. - Nie mamy gangsterów Japończyków ani na lekarstwo.

- Widzę, że nie przypadła panu do gustu ta sprawa - stwierdziłem. - A co pan powie na to? Przed chwilą, Pod Głową Indianina zadźgano nożem człowieka nazwiskiem Weber. W moim pokoju. Ktoś, kogo nie widziałem, pozbawił mnie przytomności cegłą, a kiedy leżałem bez ducha, Weber dostał cios w plecy. Byliśmy w trakcie rozmowy. Weber pracował w hotelu. Jako kasjer.

- Powiada pan, że to się zdarzyło w pańskim pokoju?

- Tak.

- Wynika z tego, rzekł Barron z troską w głosie, że wywiera pan negatywny wpływ na miasteczko.

- Ta sprawa też się panu nie podoba?

Potrząsnął głową przecząco.

- O, nie. Ta też mi się nie podoba. Chyba że ma pan pasujące do niej ciało.

- Nie mam go ze sobą - odparłem - ale mogę pojechać do hotelu i przywieźć je panu.

Wyciągnął rękę i chwycił mnie za ramię; nigdy dotąd nie ścisnęły mnie równie twarde palce.

- Współczuję, jeśli jest pan przy zdrowych zmysłach, synu - powiedział. - Ale pojedę z panem. Mamy ładny wieczór.

- Istotnie - stwierdziłem, nie ruszając się z miejsca. - Człowiek, na którego prośbę tu przyjechałem nazywa się Fred Lacey. Kupił niedawno domek koło Ball Sage Point. Chatę Baldwina. Ten, którego ciało znalazłem na Speaker Point, nazywał się Frederick Lacey, jeśli wierzyć prawu jazdy w jego kieszeni. Można by do tego jeszcze dużo dodać, ale nie chcę panu zawracać głowy szczegółami.

- Pan i ja - oznajmił szeryf - udamy się teraz do hotelu. Ma pan samochód?

Powiedziałem, że mam.

- To świetnie - orzekł. - Nie skorzystamy z niego, ale proszę mi dać kluczyki.

VII

Mężczyzna z gęstymi, krzaczastymi brwiami i cygarem wbitym w usta opierał się o zamknięte drzwi pokoju i nic nie mówił; nie wyglądał zresztą na mającego coś do powiedzenia. Szeryf Barron siadł okrakiem na krześle i patrzył, jak doktor, nazwiskiem Menzies, bada zwłoki. Ja stałem w kącie - tam było moje miejsce. Doktor, człowiek nieco kanciasty, o wyłupiastych oczach, żółtej twarzy upstrzonej na policzkach pomarańczowymi plamami i palcach brązowych od nikotyny, nie wyglądał na czyścioszka.

Wdmuchiwał dym z papierosa we włosy Webera, obracał go na łóżku, dotykał tu i ówdzie. Starał się postępować tak, jakby wiedział, co robi. Wyjęty z pleców zmarłego nóż leżał teraz obok. Krótki, z szerokim ostrzem, w rodzaju tych, jakie się nosi w skórzanym pochwie przytroczonej do pasa. Szeroka garda, która po ciosie zatyka ranę, osłoniła rączką przed krwią. Natomiast ostrze było całe w niej unurzane.

- Specjalny nóż myśliwski firmy Sears Sawbuck, numer 2438 - stwierdził szeryf, patrząc na nóż. - Spotyka się je tysiącami nad jeziorem. Ani złe, ani dobre, nijakie. Co pan powie, doktorze?

Doktor wyprostował się i wyjął chusteczkę do nosa. Odkasłał w nią sucho, obejrzał płwocinę, pokiwał smutno głową i zapalił nowego papierosa.

- O czym? - spytał.

- O czasie i przyczynie zgonu.

- Zmarł całkiem niedawno - rzekł lekarz. - Najwyżej dwie godziny temu. Jeszcze nie zaczął sztywnieć.

- Sądzi pan, że zginął od tego noża?

- Niech pan się nie wygłupia, Jimie Barron.

- Zdarzały się wypadki - wyjaśnił szeryf - że człowieka otruto albo coś w tym stylu, a potem wbijano mu nóż, żeby zmylić trop.

- To by było bardzo sprytne - powiedział lekarz i dodał złośliwie. - Wiele pan tutaj spotkał takich wypadków?

- Jedyne morderstwo, z jakim tu miałem do czynienia - odparł spokojnie szeryf - to stary papa Meacham z tamtej strony jeziora. Miał domek w Sheedy Canyon. Nie pokazywał się przez dłuższy czas, ale było zimno i ludziska myśleli, że siedzi u siebie przy piecyku olejowym. Lecz kiedy ciągle się nie pokazywał, zastukali i okazało się, że domek jest zamknięty. Więc doszli do wniosku, że wyjechał na zimę. A potem spadło mnóstwo śniegu i dach się zapadł. Poszliśmy naprawić, żeby nie stracił swego dobytku, a tu - patrzymy - papa

leży na łóżku z głową rozłupaną od tyłu siekierą. Miał trochę złota, które wyplukał latem - myślę, że z powodu tego złota zginął. Dotąd nie wiemy, kto to zrobił.

- Mam go zabrać karetką? - spytał lekarz, wskazując papierosem na łóżko.

Szeryf potrząsnął głową.

- Nie. Żyjemy w ubogim okręgu, doktorze. Myślę, że znajdziemy dla niego tańszy środek lokomocji.

Doktor włożył kapelusz i podszedł do drzwi. Mężczyzna o krzaczastych brwiach usunął się z przejścia. Lekarz otworzył drzwi.

- Proszę mi dać znać, jeśli będzie pan chciał, żebym zapłacił za pogrzeb - powiedział i wyszedł.

- Po co się zaraz denerwować - mruknął szeryf.

- Skończcie już z tym i zabierzcie go stąd. Chciałbym wrócić do pracy. W poniedziałek zjeżdża ekipa filmowa i mam w związku z tym kupę roboty. Poza tym muszę znaleźć nowego kasjera, a to nie jest łatwe - odezwał się mężczyzna z krzaczastymi brwiami.

- A gdzie pan znalazł Webera? - spytał szeryf. - Czy on miał wrogów?

- Powiedziałbym, że jednego miał na pewno - stwierdził ten z brwiami. - Polecił mi go Frank Luders z Woodland Club. Wiem o nim tylko tyle, że znał swój fach, bez mrugnięcia okiem radził sobie z listami zastawnymi na dziesięć tysięcy dolarów. Więcej nie chciałem o nim wiedzieć.

- Frank Luders - powtórzył szeryf. - To ten człowiek, który kupił część Woodland Club. Chyba nie zetknąłem się z nim osobiście. Czym on się trudni?

- Cha, cha, cha - zaśmiał się właściciel krzaczastych brwi.

Szeryf spojrzał na niego łagodnie.

- Cóż, Woodland Club to nie jedyne miejsce, w którym można sobie pograć w pokera, panie Holmes.

Holmes zbladł.

- No, cóż, muszę wracać do pracy - powiedział. - Potrzebna panu będzie pomoc przy usuwaniu ciała?

- Nie. Teraz nie będę go ruszał. Zrobimy to jeszcze dzisiaj. Ale nie w tej chwili. Na razie dziękuję panu, panie Holmes.

Mężczyzna z krzaczastymi brwiami patrzył na niego przez dłuższą chwilę w zamyśleniu, po czym położył dłoń na klamce.

- Pracują tu u pana dwie młode Niemki, panie Holmes. Kto je zatrudnił? - zwróciłem się do niego.

Holmes wyciągnął z ust cygaro, obejrzał je dokładnie, znów wetknął między wargi i mocno zacisnął.

- A panu co do tego? - burknął.

- Nazywają się Anna Hoffman i Gertruda Smith albo może Schmidt - powiedziałem.
- Mieszkały razem w domku w Whitewater Cabins. Dziś wieczorem spakowały manatki i wyjechały. To Gertruda oddała buty pani Lacey do szewca.

Właściciel brwi przyjrzał mi się badawczo.

- Kiedy Gertruda wzięła te buty - ciągnąłem - postawiła je na jakiś czas na biurku Webera. W jednym było pięćset dolarów. Pan Lacey włożył je tam dla żartu, chciał zrobić żonie niespodziankę.

- Pierwsze słyszę - stwierdził Holmes.

Szeryf milczał.

- Pieniądzy nie skradziono - kontynuowałem. - Laceyowie znaleźli je w bucie kiedy udali się do szewca.

- Cieszy mnie, że ta sprawa się wyjaśniła - stwierdził mężczyzna z krzaczastymi brwiami.

Otworzył drzwi na oścież, wyszedł i trzasnął nimi. Szeryf nie usiłował go zatrzymać. Pomaszerował w kąt hotelowego pokoju i napluł do kosza. Potem wyjął chusteczkę koloru khaki, wytarł nią zakrwawiony nóż i zatknął go sobie za pas. Stał koło łóżka i przyglądał się nieboszczykowi. Następnie poprawił kapelusz i ruszył ku drzwiom. Otworzył je i obejrzał się na mnie.

- To zagadkowa sprawa - powiedział. - Ale nie tak zagadkowa, jak by pan chciał. Chodźmy, pojedziemy do Laceyów.

Wyszedłem, a on zamknął drzwi i włożył klucz do kieszeni. Zeszliśmy do hallu i opuściliśmy hotel. Po drugiej stronie ulicy, koło hydrantu, stał mały, zakurzony, brązowy sedan. Za kierownicą tkwił gładkoskóry młody człowiek. Sprawiał wrażenie niedożywionego i brudnawego, jak większość tubylców. Usadowiliśmy się z szeryfem na tylnym siedzeniu.

- Znasz domek Baldwina na skraju Ball Sage, Andy? - spytał szeryf.

- Aha.

- Pojedziemy tam. Zatrzymaj się jeszcze na chwilę na poboczu. - Spojrzał na niebo. - Mamy dziś pełnię - stwierdził. - Księżyc pierwsza klasa.

VIII

Domek na przylądku wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy go widziałem po raz pierwszy. W tych samych oknach paliło się światło, to samo auto stało w garażu, to samo dzikie, przenikliwe szczekanie rozdzierało powietrze.

- Co to za czarci pomiot? - spytał Barron, kiedy samochód hamował. - Wyje jak kojot.

- Bo to półkojot - odparłem.

- Mam zajechać od frontu? - rzucił przez ramię chłopak za kierownicą.

- Podjedź jeszcze kawałek. Do tamtych starych sosen.

Samochód zatrzymał się cicho na poboczu, w cieniu drzew. Szeryf i ja wysiedliśmy.

- Ty tu zostaniesz, Andy, i uważaj, żeby cię ktoś nie zobaczył - powiedział. - Mam swoje powody.

Cofnęliśmy się kawałek drogą i weszliśmy przez furtkę w stylu wiejskim. Znów usłyszeliśmy ujadanie. Drzwi domku otwały się. Barron wspiął się po schodkach i zdjął kapelusz.

- Pani Lacey? Jestem Jim Barron, posterunkowy w Puma Point. A to pan Evans z Los Angeles. Zdaje się, że już go pani poznała. Czy możemy na chwilkę?

Kobieta patrzyła na niego. Twarz miała tak całkowicie pograżoną w cieniu, że nie można było dostrzec jej wyrazu. Potem lekko obróciła głowę i spojrzała na mnie.

- Tak, proszę - powiedziała bezbarwnym głosem.

Weszliśmy. Kobieta zamknęła drzwi. Wielki szpakowaty mężczyzna postawił psa na podłogę i wstał z fotela. Pies rzucił się na oślep, wspiął na wysokość brzucha szeryfa, zrobił fikółka i wylądował na podłodze.

- Ależ to naprawdę uroczy piesek - stwierdził Barron, wciskając koszulę w spodnie.

Szpakowaty mężczyzna uśmiechał się miło. Powiedział "dobry wieczór", a jego białe, mocne zęby lśniły przyjaźnie.

Pani Lacey nadal miała na sobie dwurzędowy czerwony żakiet i szare spodnie. Ale jej twarz jakby się postarzała. Wzrok wbiła w ziemię.

- To pan Frank Luders z Woodland Club. Pan Bannon i - przerwała i wpatrzyła się w jakiś punkt nad moim lewym ramieniem - nie dosłyszałam nazwiska drugiego pana.

- Evans - podpowiedział szeryf, nie spojrzawszy na mnie. - A ja nazywam się Barron, nie Bannon.

Skinął głową Ludersowi. Ja też. Luders uśmiechnął się do nas. Był wysoki, dobrze zbudowany, zadbany i pogodny. Zdawał się nie mieć trosk. Wielki, serdeczny Frank Luders, równy chłop.

- Znam Freda Lacey'a od lat - zaczął. - Wpadłem go odwiedzić. Ale Freda nie ma w domu, więc czekam, aż przyjaciel przyjedzie po mnie samochodem.

- Miło mi pana poznać, panie Luders - powiedział szeryf. - Słyszałem, że kupił pan udział w klubie. Nie miałem dotąd przyjemności zetknąć się z panem.

Kobieta siadła ostrożnie na brzeżku krzesła. I ja usiadłem. Suczka, Jasna, wskoczyła mi na kolana, umyła dokładnie moje prawe ucho i zwinnie zsunęła się pod krzesło. Leżała tam, głośno dysząc i waląc o podłogę puszystym ogonem.

W pokoju przez chwilę panowała cisza. Zza okien od strony jeziora dobiegł stłumiony warkot. Pochwyciwszy go, szeryf nastawił uszu, ale ani na jotę nie zmienił wyrazu twarzy.

- Obecny tu pan Evans - oznajmił - zjawił się u mnie i opowiedział osobliwą historię. Mam nadzieję, że możemy o tym pomówić, widzę, że pan Luders jest przyjacielem domu.

Zerknął na panią Lacey i czekał. Z wolna podniosła wzrok, nie na tyle jednak, żeby mu spojrzeć w oczy. Przełknęła parę razy ślinę i skinęła głową. Dłonią wodziła po oparciu fotela, tam i sam, tam i sam. Luders wciąż się uśmiechał.

- Wolałbym, żeby pan Lacey był tu z nami - rzekł szeryf. - Myśli pani, że powinien wrócić lada chwila?

Kobieta znów skinęła głową.

- Mam nadzieję - powiedziała słabym głosem. - Wyszedł wczesnym popołudniem. Nie wiem, gdzie się podziewa. Nie przypuszczam, żeby pojechał gdzieś dalej, nie mówiąc mi o tym, ale upłynęło już tyle czasu... MOże coś mu wypadło.

- Na to wygląda - zgodził się szeryf. - Wygląda też na to, że pan Lacey napisał list do pana Evans'a, prosząc go o rychły przyjazd. Pan Evans jest detektywem z Los Angeles.

Kobieta poruszyła się, zaniepokojona.

- Detektywem? - szepnęła.

- Ale po co Fred miałby to robić? - rzucił Luders z promiennym uśmiechem.

- Z powodu jakichś pieniędzy schowanych w bucie - wyjaśnił szeryf.

Luders uniósł brwi i spojrzał na panią Lacey. Kobieta zacisnęła wargi.

- Ale myśmy je odzyskali, panie Bannon - powiedziała po chwili. - Fred sobie zażartował. Wygrał trochę na wyścigach i schował w moim bucie. Chciał mi zrobić

niespodziankę. Oddałam but do naprawy z tymi pieniędzmi, ale kiedy poszliśmy do szewca, były na miejscu.

- Nazywam się Barron, nie Bannon - przypomniał szeryf. - Więc odzyskała pani swoje pieniądze nietknięte, pani Lacey?

- Tak... oczywiście. Rzecz jasna, z początku myśleliśmy, że ponieważ to było w hotelu i pokojówka odnosiła buty... zaraz, o czym to myśmy myśleli, nie pamiętam, ale to był głupi pomysł chować pieniądze do buta, no, w każdym razie odzyskaliśmy forszę, co do centa.

- Czy to były te same pieniądze? - spytałem, bo wpadło mi do głowy coś, czym wcale nie byłem zachwycony.

Pani Lacey nie patrzyła w moją stronę.

- Tak, oczywiście. Dlaczego miałyby być inne?

- Pan Evans nieco inaczej przedstawiał mi tę sprawę - stwierdził spokojnie szeryf, splatając ręce na brzuchu. - Zdaje się, że gdy opowiadała pani o tym panu Evansowi, pewien drobny szczegół wyglądał inaczej.

Luders pochylił się nagle do przodu, ale uśmiech nie zgasł na jego wargach. Ja nawet nie drgnąłem. Kobieta uczyniła nieokreślony gest, jej dłoń nadal wędrowała po oparciu.

- Co ja... opowiadałam... co ja opowiadałam panu Evansowi?

Szeryf bardzo powoli skierował głowę w moją stronę i popatrzył mi surowo w oczy. Potem znów ją odwrócił. Jedna jego dłoń poklepywała drugą na brzuchu.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, pan Evans był tu już raz dziś wieczorem i pani mu o tym opowiadała, pani Lacey. O zamienionych pieniądzach.

- Zamienionych? - powtórzyła dziwnie głuchym głosem. - Pan Evans powiedział panu, że był tu już dziś wieczór? Ależ ja... widzę pana Evansa po raz pierwszy w życiu.

Nie zaszczyliłem jej spojrzeniem. Interesował mnie Luders. Wpatrywałem się w niego. Byłem jak automat do gry po wrzuceniu monety. Luders zachichotał i przytknął zapalniczkę do cygara.

Szeryf przymknął oczy. Miał zatroskany wyraz twarzy. Suczka wyszła spod mojego krzesła i stanęła pośrodku pokoju, spoglądając na Ludersa. Następnie przeniosła się w kąt i wślizgnęła pod frędzle kapy. Sapała przez chwilę, potem ucichła.

- Taś, taś, głupi Jasiu - powiedział szeryf do siebie. - Ja naprawdę nie mam kwalifikacji do prowadzenia tego rodzaju spraw. Brak mi doświadczenia. U nas nie trafia

się szybka robota, jak ta tutaj. W górach panuje spokój. Rzadko stykamy się z przestępstwem.

Zrobił żalostną minę, po czym otworzył oczy.

- Ile w tym bucie było pieniędzy, pani Lacey? - zapytał.

- Pięćset dolarów - odparła stłumionym głosem.

- I gdzie są te pieniądze?

- Przypuszczam, że ma je Fred.

- Myślałem, że miał zamiar dać je pani.

- Miał - powiedziała porywczo. - Ma zamiar. Ale ja ich w tej chwili nie potrzebuję.

Nie w tej dziurze. Myślę, że Fred kiedyś da mi czek.

- Sądzi pani, że mąż trzyma te pieniądze w kieszeni, czy może gdzieś w domu?

Potrząsnęła głową.

- Zapewne w kieszeni. Nie wiem. Czy chce pan przeszukać domek?

Szeryf wzruszył potężnymi ramionami.

- Zaraz przeszukać... Nie, nie sądzę. Nic by mi to nie dało. Zwłaszcza jeśli nie zostały zamienione.

- Co to znaczy "zamienione" panie Barron - wtrącił się Luders.

- Zamienione na fałszywe banknoty - wyjaśnił szeryf.

Luders zaśmiał się z cicha.

- To doprawdy zabawne, nie uważa pan? Fałszywe banknoty w Puma Point? Tu coś takiego chyba nie może się zdarzyć.

Szeryf przytaknął ze smutkiem na twarzy.

- To istotnie niezbyt sensowne, prawda?

- I jedynym źródłem informacji w tej sprawie jest dla pana obecny tu pan Evans, który mieni się detektywem? - spytał Luders. - W dodatku pewnie prywatnym detektywem?

- I mnie się to wydało zastanawiające - stwierdził szeryf.

Luders jakby skurczył się w sobie.

- Czy ma pan na ten temat jakieś inne informacje oprócz twierdzenia pana Evansa, że wezwał go Fred Lacey?

- Pan Evans musiał coś wiedzieć, skoro tu przyjechał - powiedział szeryf defensywnie. - Poza tym wiedział o pieniądzach w bucie pani Lacey.

- Ja tylko pytam - rzekł łagodnym głosem Luders.

Szeryf obrócił się ku mnie. Miałem na twarzy lodowaty uśmieszek. Od incydentu w hotelu nie szukałem listu Lacey. Teraz wiedziałem, że szukałbym nadaremnie.

- Czy ma pan list Lacey? - spytał surowo Barron.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni. Szeryf opuścił rękę i nagle ją podniósł. Trzymał w niej swego colta.

- Najpierw odbiorę panu pistolet - wycedził wstając.

Rozwarłem poły marynarki i czekałem. Pochylił się nade mną i wyszarpnął broń z pochwy. Rzucił na nią okiem z kwaśną miną i włożył do lewej tylnej kieszeni. Usiadł.

- Teraz niech pan szuka - rzucił.

Luders przyglądał mi się z grzecznym zainteresowaniem. Pani Lacey splotła dłonie, mocno je zacisnęła i utkwiała wzrok w podłodze między swoimi butami.

Wyjąłem wszystko, co miałem w wewnętrznej kieszeni. Parę listów, kilka zwykłych kartek na notatki, przyrząd do czyszczenia fajki, zapasową chusteczkę. Wśród listów nie było tego najważniejszego. Schowałem rzeczy z powrotem do kieszeni, wyciągnąłem papierosa i włożyłem do ust. Zapaliłem zapałkę i przytknąłem do czubka papierosa. Nonszalancko.

- Wygraliście - powiedziałem z uśmiechem. - Obaj wygraliście.

Twarz Barrona poczerwieniała, oczy mu zabłyśły. Z zacisniętymi wargami odwrócił ode mnie wzrok.

- A może - zaproponował przymilnie Luders - sprawdzi pan też, czy on rzeczywiście jest detektywem?

Barron ledwie go zaszczylił przelotnym spojrzeniem.

- Nie interesują mnie takie drobnostki - stwierdził. - W tej chwili prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

Wydawał się nie patrzeć ani na Ludersa, ani na panią Lacey, raczej w kąt sufitu. Pani Lacey wzdrygnęła się, jej oczy zmatowiały, zacisnęła dłonie tak mocno, że kłykcie połyskiwały bielą w świetle lampy. Bardzo powoli otworzyła usta. Suchy szloch uwiązał jej w krtani.

Luders wyjął z ust cygaro i położył je ostrożnie na mosiężnej popielniczce, stojącej obok jego fotela. Już się nie uśmiechał. Twarz miał ponurą. Milczał.

To było cudownie zsynchronizowane. Barron dał im tyle czasu, ile potrzeba na pierwszą reakcję, i ani sekundy więcej.

- W pokoju Evansa zakłuto nożem mężczyznę nazwiskiem Weber, kasjera w hotelu Pod Głową Indianina - powiedział tym samym, dość obojętnym tonem. - Evans był wtedy u

siebie, ale został ogłuszony przed morderstwem. Oto więc jeden z tych chłopców, o których wiele słyszymy, ale których rzadko oglądamy na własne oczy, jeden z tych, co są pierwsi na miejscu.

- Ja? Nie - zaprotestowałem. - Ci, o których pan mówi, przynoszą mi morderców i składają u stóp.

Pani Lacey poderwała głowę. Potem podniosła wzrok i po raz pierwszy popatrzyła mi w oczy. Jej spojrzenie miało dziwny blask, głęboki, daleki i żalony.

Barron powoli wstał.

- Nie rozumiem - mruknął. - Nic z tego nie rozumiem. Ale chyba nie popełnię błędu, jeśli zamknę tego gościa. Nie musisz biec bardzo szybko, synu - zwrócił się do mnie. - Przynajmniej z początku. Każdemu daję najpierw czterdzieści jardów.

Nic nie powiedziałem. Nikt nic nie powiedział.

- Panie Luders - cedząc słowa, odezwał się wreszcie szeryf - muszę pana prosić, żeby pan tu pozostał, dopóki nie wrócę. Gdyby przybył pański przyjaciel, może go pan odprawić. Z przyjemnością odwiozę pana później do klubu.

Luders skinął potakująco. Barron spojrział na zegar stojący na półeczce nad kominkiem. Za piętnaście dwunasta.

- Dość późno jak na człowieka starej daty. Proszę pani, czy sądzi pani, że pan Lacey powinien niedługo zjawić się w domu?

- Mam... mam nadzieję - odparła, robiąc gest, który mógł oznaczać tylko bezsilność.

Barron podszedł do drzwi. Kiwnął na mnie brodą. Wyszedłem na ganek. Suczka wypełzła spod sofy i zaskomlała. Szeryf przyjrzał się jej.

- Ależ to naprawdę uroczy piesek - stwierdził. - Słyszałem, że to półkojot. A drugie pół?

- Nie wiemy - szepnęła pani Lacey.

- Zupełnie jak sprawa, nad którą pracuję - zauważył i wyszedł za mną na ganek.

Spokojne góry (c.d.)

Spokojne góry (c.d.)~

Przeł. Andrzej Zerwałd

IX

Bez słowa doszliśmy do drogi, potem do samochodu. Andy siedział z dogasającym papierosem między wargami. Wsiedliśmy.

- Podjedź jakieś dwieście jardów - powiedział Barron. - Narób dużo hałasu.

Andy włączył stacyjkę, nacisnął kilkakrotnie pedał gazu, wrzucił bieg i samochód ruszył w świetle księżyca, minął zakręt i toczył się w kierunku wierzchołka wzgórza, gdzie cienie pni drzew zakłócały księżycową sielankę.

- Zawróć na szczycie, wyłącz silnik i zjedź, ale nie za blisko domu - polecił Barron. - Stań tak, żeby nas nie widzieli. I zanim zakręcisz, wyłącz światła.

- Aha - mruknął Andy.

Zawrócił tuż przed szczytem, okrążając duże drzewo. Wyłączył światła, a po chwili także silnik. Niemal u stóp wzgórza rosła gęsta kępa manzanity, prawie tak wysokiej jak akacja. Tam samochód się zatrzymał. Andy zaciągnął ręczny hamulec, wolniutko, żeby nie było słychać zgrzytu koła zapadkowego.

Barron nachylił się ku przedniemu siedzeniu.

- Przejdziemy na drugą stronę drogi, a potem nad samą wodę - oznajmił. - Nie chcę żadnych hałasów ani włączenia się w świetle księżyca.

- Aha - powiedział Andy.

Wysiedliśmy. Szliśmy ostrożnie poboczem, później po igliwiu. Przeciskaliśmy się między drzewami i zwalonymi pniami, aż ujrzelśmy wodę. Barron usiadł na ziemi, potem się położył, a gdy Andy zrobił to samo, zbliżył wargi do jego ucha.

- Słyszysz coś?

- Osiem cylindrów, nierówno pracują - stwierdził Andy.

Nadśluchiwałem. Mógłbym sobie wmówić, że coś słyszę, ale bez większego przekonania. Barron kiwnął głową w mroku.

- Obserwujcie światła domku - powiedział.

Obserwowaliśmy. Upłynęło pięć minut, a w każdym razie dość czasu, by mogło się wydawać, że to pięć minut. Żadnych zmian. W domku nadal się świeciło. Potem pochwyciliśmy daleki, niemal nierzeczywisty odgłos zamykanych drzwi. I butów na drewnianych schodkach.

- Sprytnie - szepnął Barron do ucha Andy'emu. - Światła zostawili.

Czekaliśmy jeszcze chwilę. Przeskakując z wolnych obrotów na wysokie, silnik zaryczał nagle nierówno, chaotycznie. Po chwili ryk przeszedł w głuchy warkot i szybko

cichł w oddali. Ciemny kształt prześlizgnął się po księżycowej tafli wody, skręcił, zostawiając piękną smugę piany, i za przyłądkiem zginął z pola widzenia.

Barron wyjął prymkę i odgryzł kawałek. Żuł z przyjemnością, po czym splunął na odległość czterech stóp. Podniósł się i otrzepał z igieł. Andy i ja również wstaliśmy.

- Człowiek nie może sobie spokojnie pozuć tytoniu - powiedział. - Nie ma warunków. W tamtym domku myślałem, że zasnę.

Uniósł wyżej colta, przełożył go z lewej ręki do prawej i schował na biodrze.

- No i co? - spytał Andy'ego.

- Łódź Teda Rooneya - stwierdził Andy. - Ma dwa kiepskie zawory i rysę w tłumiku. Słysząc to najlepiej, kiedy się zdławi motor, jak im przed startem.

Jak na Andy'ego była to długa wypowiedź, ale szeryfowi przypadła do gustu.

- Nie mylisz się, Andy? Dużo motorówek ma kiepskie zawory.

- To po diabła mnie pan pyta? - obruszył się Andy.

- Dobrze, już dobrze, po co się denerwować.

Andy coś mrucał. Przeszliśmy przez drogę i wsiedliśmy do samochodu. Andy zapalił silnik i zawrócił.

- Światła? - zapytał.

Barron skinął głową. Andy włączył reflektory.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu Teda Rooneya - oznajmił spokojnie Barron. - I pośpiesz się. Mamy przed sobą dziesięć mil.

- Nie da się szybciej niż w dwadzieścia minut - powiedział kwaśno Andy. - Musimy jechać przez Puma Point.

Samochód ruszył szybko brukowaną drogą nad jeziorem, przemknął obok obozu chłopięcego i innych obozowisk, po czym skręcił w lewo, na szosę. Barron nie odzywał się, póki nie minęliśmy miasteczka i drogi do Speaker Point. Zespół wciąż łomotał w pawilonie.

- Dał się pan nabrać? - spytał mnie wówczas.

- Jak ta lala.

- Nie popełniłem jakiegoś błędu?

- Świetna robota - stwierdziłem - ale mam wrażenie, że Luders nie dał się zwieść.

- Ta dama była wyraźnie zażenowana. Luders to dobry chłop. Twardy, opanowany, czujny. Ale trochę go jednak nabrałem. Popełniał błędy.

- Parę sam dostrzegam - stwierdziłem. - Po pierwsze, że w ogóle tam był. Po drugie, gdy chcąc nam wyjaśnić, dlaczego nie jest samochodem, powiedział, że przyjaciel ma po

niego przyjechać. To nie wymagało wyjaśnienia. W garażu stał samochód, a pan wcale nie wiedział, czyj. Po trzecie, że trzymał motorówkę na wolnych obrotach.

- To nie był błąd - odezwał się z przodu Andy. - Nie mówilby pan tego, gdyby pan kiedyś spróbował zapalić zimny silnik.

- Nie zostawia się samochodu w garażu, przyjeżdżając z krótką wizytą - dodał Barron. - U nas nie ma wilgoci. A motorówka mogła należeć do kogoś innego. Mogły ją wypróbować jakieś dzieciaki. Poza tym nie mam na niego haczyka, tak przynajmniej miał prawo sądzić. Tylko zanadto starał się mnie osaczyć.

Splunął przez okno. Plasnęło o tylny błotnik jak mokra szmata. Samochód mknął przez księżycową noc, biorąc zakręty, zdobywając wzniesienia, mijając gęste laski sosnowe i otwarte równiny, na których spało bydło.

- On wiedział, że nie mam listu Lacey'a - powiedziałem. - Sam mi go wyjął, w pokoju hotelowym. Bo to Luders mnie ogłuszył, a Webera zadźgał nożem. Luders wiedział, że Lacey nie żyje, nawet jeśli to nie on go zabił. Dlatego przyjechał do pani Lacey. Ona myśli, że jej mąż jest w ręku Ludersa.

- Robi pan z tego Ludersa prawdziwy czarny charakter - stwierdził spokojnie Barron. - Dlaczego Luders miałby zabić Webera.

- Bo to Weber spowodował całe zamieszanie. To jest organizacja. Założona, żeby wprowadzić do obiegu bardzo dobrze podrobione banknoty dziesięciodolarowe. A z podrzucenia pięćdziesięciu nowiutkich dziesięciodolarówek - w okolicznościach nie tylko dla tak sprytnego człowieka jak Fred Lacey dość podejrzanych - nie może wyniknąć nic dobrego.

- To bardzo ładna hipoteza, synu - przyznał Barron, chwytając za klamkę, gdy braliśmy ostry zakręt. - Ale nie ma się przed kim popisywać. Ja muszę być ostrożniejszy. Jestem na swoich śmieciach. Puma Point nie wygląda mi na najlepsze miejsce do puszczania w obieg podrobionych pieniędzy.

- Zgoda.

- Z drugiej strony, jeśli Luders jest tym, którego szukam, złapanie go może być trudne. Z doliny wychodzą trzy drogi, a na wschód od pól golfowych w Woodland Club stoi kilka samolotów. Przynajmniej latem.

- Nie wydaje mi się, żeby to pana specjalnie martwiło - stwierdziłem.

- Szeryf w górskim kurorcie nie musi się specjalnie martwić - powiedział spokojnie Barron. - Nikt nie oczekuje od niego za wiele rozumu. Zwłaszcza ludzie pokroju Ludersa.

Łódź kołysała się przy krótkim pomoście, jak kołyszą się łódki nawet na najspokojniejszej wodzie. Okrywający ją brezent był przywiązany w paru miejscach, ale nie wszędzie, gdzie powinien. Za rozchwierutanim mołem droga wiała się wśród jałowców ku szosie. Po prawej jej stronie znajdował się obóz z charakterystyczną miniaturową latarnią morską. Tylko z jednej chatki dobiegały dźwięki muzyki tanecznej, reszta już spała.

Przyszliśmy tu spacerem. Samochód zostawiliśmy na poboczu szosy. Barron raz po raz pstrykał olbrzymią latarką, tu i ówdzie rzucając snop światła. Kiedyśmy dotarli nad jezioro, do miejsca, w którym droga przechodziła w molo, skierował latarkę na nawierzchnię i badał ją starannie. Były tam świeże ślady opon.

- Co pan o tym sądzi? - spytał.

- Wygląda na ślady opon - odparłem.

- A co ty myślisz, Andy? - zagadnął. - Ten człowiek jest niegłupi, ale nie umie mi pomóc.

Andy pochylił się i przyglądał śladom.

- Nowe opony, szerokie - powiedział i przeszedł na molo.

Tam znów się zatrzymał i wskazał palcem. Szeryf skierował światło w to miejsce.

- Aha, tutaj zawrócił - ciągnął Andy. - Ale co z tego? Teraz pełno tu obcych samochodów. W październiku to by coś mogło znaczyć. Tutejsi ludzie kupują po jednej oponie, gdy muszą, i to najtańsze. A to są specjalne bieżniki terenowe.

- Mógłbyś sprawdzić łódkę - rzekł szeryf.

- Co miałbym sprawdzić?

- Mógłbyś sprawdzić, czy była ostatnio używana.

- Do licha, przecież wiemy, że była.

- Zawsze ci się wydaje, że dobrze zgadujesz - powiedział łagodnym głosem Barron.

Andy przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Potem splunął na ziemię i ruszył do samochodu.

- Nie zgadywałem - rzucił przez ramię.

Po czym wyprostował się i oddalił, klucząc wśród drzew.

- Trochę przewrażliwiony - stwierdził Barron. - Ale dobry.

Podszedł do przystani i sięgnął ręką, macając przednią część łodzi pod brezentem. Wrócił wolnym krokiem i skinął głową.

- Andy ma rację. Jak zwykle, cholera. A co pan sądzi? Jakie opony zostawiły ten ślad? Coś to panu mówi?

- Cadillac V_12 - odparłem. - Coup~e z siedzeniami obitymi czerwoną skórą i dwiema walizkami z tyłu. Zegar na tablicy rozdzielczej późni się o dwanaście minut i trzydzieści sekund.

Szeryf głęboko się zamyślił. Potem pokiwał swą wielką głową. Westchnął.

- Mam nadzieję, że chociaż przynosi to panu pieniądze - powiedział i zawrócił.

Wróciliśmy do samochodu. Andy siedział za kierownicą. Palił papierosa. Patrzył prosto przed siebie przez brudną przednią szybę.

- Gdzie teraz mieszka Rooney? - spytał Barron.

- Tam, gdzie zawsze - burknął Andy.

- Czyli niedaleko stąd, przy drodze do Bascomb.

- Nie inaczej.

- A więc jedziemy - oznajmił szeryf, wsiadając.

Usiadłem obok niego. Andy zawrócił, przejechał pół mili i chciał zakręcić, ale szeryf powstrzymał go.

- Czeka! - polecił krótko.

Wysiadł, skierował latarkę na nawierzchnię drogi, a potem wrócił na swoje miejsce.

- Myślę, że coś mamy. Tamtym śladom na przystani nie da się przypisać większego znaczenia. Ale te same ślady tutaj mogą znaczyć dużo więcej. A jeśli wiodą do Bascomb, to będą znaczyły bardzo wiele. Stare obozowiska poszukiwaczy złota są wprost wymarzone dla lewych interesów.

Samochód zjechał na polną drogę i powoli piał się w górę przez wyboje. Całe wzgórze usiane było głazami, które w świetle księżyca połyskiwały białą. Przedzieraliśmy się tak z pół mili, wreszcie Andy stanął.

- Jesteśmy na miejscu, panie Sherlock Holmes - oznajmił.

Barron znów wysiadł z latarką i sprawdzał teren. W domku nie paliło się światło. Po chwili wrócił.

- Byli tutaj - powiedział. - Odwieźli Teda do domu. Potem pojechali w stronę Bascomb. Czy podejrzewałbyś, Andy, że Ted Rooney wplącze się w jakiś szwindel?

- Nie, chyba żeby mu zapłacili - odparł Andy.

Wysiadłem i razem z Barronem podeszliśmy do domku. Niewielki, toporny, z zewnątrz wyłożony sośniną, miał drewniany ganek i blaszany komin umocowany drutem. Za domkiem, pod lasem, stała koślawa wygodka. Wszędzie było ciemno. Wspięliśmy się na

ganek i Barron zastukał do drzwi. Nic. Poruszył klamką. Zamknięte. Okrążyliśmy domek, oglądając okna. Wszystkie zamknięte. Barron próbował otworzyć tylne drzwi na poziomie ziemi. Ale i one były zamknięte. Załomotał. Echo uderzeń poszło między drzewa i wróciło, odbite od głazów na wzgórzu.

- Pojechał z nimi - powiedział szeryf. - Myślę, że nie odważyliby się go zostawić po tym wszystkim. Pewnie zatrzymali się tu tylko po to, żeby zabrał trochę swoich rzeczy. Tak.

- Nie sądzę - odparłem. - Nie Rooney był im potrzebny, tylko jego motorówka. Pozwoliła im dziś wczesnym wieczorem usunąć ciało Freda Lacey'a ze Speaker Point. Zapewne przywiązali mu jakiś ciężar do nóg i wrzucili do jeziora. Żeby to zrobić, musieli poczekać do zmroku. Wynajęli do tej roboty Rooney'a i zapłacili mu za pomoc. Później jeszcze raz potrzebowali łodzi. Ale pomyśleli, że tym razem nie muszą go brać. I jeśli teraz przycupnęli w jakiejś kryjówce w Bascomb Valley, gdzie drukują albo magazynują podrabiane pieniądze, to na pewno bez Rooney'a.

- Znów zgadujesz, synu - stwierdził uprzejmie szeryf. - Zresztą nie mam nakazu rewizji. Ale chętnie obejrzałbym sobie tamten domek dla lalek. Zaraz wracam.

Co powiedziawszy, udał się w kierunku wygódki. Wziąłem rozbieg i rąbnąłem w drzwi domku. Zadygotały i górna ich część pękła na ukos. Za moimi plecami szeryf zawołał "hola!", ale bez większego przekonania.

Jeszcze raz wziąłem rozbieg i rąbnąłem w drzwi. Wraz z nimi wleciałem do środka i wyładowałem na czworakach na zalatującym starą rybą linoleum. Podniosłem się i sięgnąłem do wyłącznika zwisającej z sufitu żarówki. Barron stał tuż za mną, cmokając z dezaprobatą.

Była to kuchnia z piecem, obok niego piętrzyły się drewniane szczapy. Na piecu, jeszcze ciepłym, stały brudne, cuchnące garnki. Zapaliłem drugą żarówkę, w pokoju, która wydobyła z ciemności wąskie łóżko, byle jak zaścielone, przykryte chudą kołdrą, a także drewniany stół, drewniane krzesła, stare meblowe radio, parę haków na ścianach, popielniczkę z czterema kupkami popiołu i stertę pornograficznych pism w kącie na podłodze.

Sufit był niski, żeby nie uciekało ciepło. W narożniku znajdowała się uchylona kłapa, a pod nią drabina. Prowadziła na stryszek. Na drewnianej skrzynce leżała otwarta walizka z poplamionego płótna, do której beładnie powrzucono jakieś ubrania.

Barron podszedł i obejrzał walizkę.

- Wygląda na to, że Rooney wybierał się na wycieczkę albo chciał się przeprowadzić. Potem przyjechali ci chłopcy i zabrali go ze sobą. Nie skończył się pakować, ale garnitur

wziął. Człowiek pokroju Rooneya ma tylko jeden i wkłada go jedynie wtedy, gdy wybiera się do miasta.

- Nie ma go - stwierdziłem. - Ale jadł w domu obiad. Piec jest jeszcze ciepły.

Szeryf spojrział w zamyśleniu na drabinę. Zbliżył się do niej, wspiał i głową pchnął klapę. Potem poświecił sobie latarką. Wreszcie zamknął klapę i zszedł z drabiny.

- Przypuszczalnie trzymał tam walizkę - powiedział. - Jest jeszcze stary kufer marynarski. Możemy jechać?

- Nie widzę żadnego samochodu - zauważyłem. - Musiał przecież mieć jakiś samochód.

- Aha. Starego plymoutha. Pogaśmy światła.

Wrócił do kuchni, rozejrzał się jeszcze raz, potem zgasiliśmy obie żarówki i wyszliśmy z domku. Zamknąłem pozostałości kuchennych drzwi. Barron badał ślady opon w drobno pokruszonym granicie, idąc ich tropem aż pod wielki dąb, gdzie kilka ciemnych plam wskazywało miejsce parkowania samochodu, z którego wyciekał olej.

Wrócił, machając latarką, po czym spojrział w stronę wygodki.

- Może pan iść do Andy'ego. Ja jeszcze muszę obejrzeć ten domek dla lalek.

Nie odezwałem się. Patrzyłem, jak maszeruje ścieżką do ustępu, naciska klamkę i otwiera drzwi. Widziałem, jak kieruje latarkę do środka, jak światło przenika przez szpary w ścianach i przez zdezelowany dach. Przeszedłem wzdłuż domku i skierowałem się do samochodu. Szeryfa nie było dość długo. Wracając, szedł wolno, a potem stanął za samochodem i uszczknął kolejny kawałek prymki. Obrócił go językiem w ustach i zaczął nad nim pracować.

- Rooney - powiedział - jest w wygodce. Dwa strzały w głowę.

Wsiadł.

- Zastrzelony z broni dużego kalibru, na amen. Sądząc po okolicznościach, przypuszczam, że komuś się diabelnie spieszyło.

XI

Droga wspinała się ostro pod górę, wzdłuż meandrów łożyska zawałonego otoczakami, wyschniętego potoku. Potem, na wysokości tysiąca, tysiąca pięciuset stóp nad poziomem jeziora, wyrównała się. Pokonaliśmy zaporę dla bydła z ciasno poustawianych wąskich słupków, które trzeszczały pod kołami samochodu. Trakt począł opadać. Przed sobą mieliśmy falistą polanę, na której skubało trawę kilka krów. Ciemna farma rysowała się na tle rozjaśnionego księżycem nieba. Wjechaliśmy na szerszą drogę, która kilka razy zakręcała pod kątem prostym. Andy zatrzymał auto, Barron znów wysiadł z latarką i powoli omiatał światłem nawierzchnię.

- Skręcili w lewo - powiedział, prostując się. - Na szczęście nie przejeżdżał tu po nich żaden samochód.

Wrócił do auta.

- Droga w lewo nie prowadzi do starych kopalni złota - rzucił Andy - tylko do Wordena i dalej w dół, nad jezioro, do tamy.

Barron przez chwilę milczał, potem wysiadł i raz jeszcze zrobił użytek z latarki. Przy prawym ramieniu skrzyżowania w kształcie litery T mruknął coś ze zdziwieniem. Wrócił do nas, gasząc po drodze latarkę.

- W prawo też idą ślady - oznajmił. - Ale najpierw w lewo. Skręcili w końcu w prawo, przedtem jednak udali się dokądś na zachód od tego miejsca. Pojedziemy ich śladem.

- Jest pan pewien, że najpierw w lewo, a potem w prawo? - spytał Andy. - Jadąc w lewo, mogliby wrócić na szosę.

- Nie ma wątpliwości. Ślady w prawo nakładają się na ślady w lewo - odpowiedział Barron.

Skręciliśmy w lewo. Na pagórkach, które urozmaicały dolinę, rosły akacje, niekiedy na wpół uschnięte. Akacja rozwija się do wysokości osiemnastu, dwudziestu stóp, wyżej obumiera. Umierając, gałęzie tracą korę, robią się szarobiałe i błyszczą w świetle księżyca.

Po przejechaniu jakiejś mili dostrzegliśmy wąską drogę, właściwie ścieżkę, która odbijała na północ. Andy stanął. Barron znowu wysiadł i poświecił latarką. Potem wskazał kciukiem kierunek, a Andy skręcił kierownicą. Szeryf wsiadł.

- Chłopcy nie byli przesadnie ostrożni - oznajmił. - Powiedziałbym nawet, że zupełnie o nią nie dbali. Ale nie przyszło im do głowy, że Andy ze słuchu rozpozna, co to za łądz.

Droga wiodła teraz przez góry i była tak wąska, że krzaki szorowały o boki samochodu. Potem zawracała pod kątem ostrym, znów pięła się w górę i okrążała jakieś wzniesienie. Wreszcie ujrzeliśmy niewielki domek. Był przyciśnięty do skarpy i otoczony ze wszystkich stron drzewami.

Nagle z domku lub gdzieś z pobliza dobiegło długie, piskliwe wycie, zakończone wściekłym ujadaniem, i równie nagle ustało.

- Zgaś... - zaczął Barron, ale nim skończył, Andy wyłączył światła i zjechał z drogi.

- Za późno - powiedział. - Musieli nas zobaczyć, jeśli tylko ktoś pilnował.

Barron wysiadł.

- To przypominało wycie kojota, Andy.

- Aha.

- Strasznie blisko domu, jak na kojota, nie sądzisz?

- Nie - odparł Andy. Światło się nie pali, szukając zakopanych resztek, kojot może podejść pod sam dom.

- Ale możliwe też, że to tamten piesek - stwierdził Barron.

- Albo kura, niosąca kwadratowe jaja - dodałem. - Na co czekamy? I może oddałby mi pan pistolet? A w ogóle to czy my kogoś ścigamy, czy tylko jeździmy sobie tu i ówdzie, odtwarzając rozwój wypadków?

Szeryf wyciągnął z lewej kieszeni mój pistolet i wręczył mi go.

- Ja tam się nie śpieszę - powiedział. - Bo i Luders się nie śpieszy. Gdyby się śpieszył, już dawno by go tutaj nie było. Śpieszyli się, żeby dorwać Rooneya, gdyż Rooney coś o nich wiedział. Ale teraz Rooney nic już o nich nie wie, bo nie żyje. Jego dom jest zamknięty, a samochodu nie ma. Gdyby nie wyważył pan tych kuchennych drzwi, mógłby siedzieć w wygodce przez parę tygodni, zanim ktoś zainteresowałby się jego losem. Te ślady opon wyglądają dość jednoznacznie, ale tylko dlatego, że wiemy, skąd wyruszyli. Nie mają najmniejszego powodu podejrzewać, że to odkryliśmy. A bez tego od czego mielibyśmy zacząć? Nie, ja tam się nie śpieszę.

Andy schylił się i spod siedzenia wyciągnął strzelbę myśliwską. Potem otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

- Jest tu ten piesek - powiedział spokojnie Barron. - A to znaczy, że jest tu także pani Lacey. Musi być też ktoś, kto jej pilnuje. Tak, myślę, że trzeba się temu przyjrzeć z bliska.

- Mam nadzieję, że pan się boi - rzekł Andy. - Bo ja niewąsko.

Ruszyliśmy przez las. Od domku dzieliło nas dwieście jardów. Noc była bardzo spokojna. Pomimo odległości usłyszałem, że ktoś otwiera okno. Szliśmy oddaleni od siebie

o jakieś pięćdziesiąt stóp. Andy, który na chwilę został przy samochodzie, żeby pozamykać drzwi, zataczał szerokie koło z prawej strony.

Kiedy się zbliżaliśmy, w domku nic nawet nie drgnęło, nie zauważyliśmy też żadnego światła. Kojot czy piesek, cokolwiek to było, więcej nie zaszczekał.

Podeszliśmy bardzo blisko, mieliśmy najwyżej dwadzieścia jardów do domu. Barron i ja zachowaliśmy ten sam dystans między sobą. Domek był mały i toporny, zbudowany podobnie jak ten Rooneya, ale nieco szerszy. Z tyłu znajdował się otwarty i pusty garaż. Z przodu ganek z polnych kamieni.

Wtem z wnętrza dobiegły odgłosy krótkiej, gwałtownej szamotaniny i szczekanie, nagle stłumione. Szeryf legł plackiem na ziemi. Poszedłem w jego ślady. Nie zdarzyło się nic więcej.

Barron wstał powoli i zaczął posuwać się naprzód krok po kroku, robiąc za każdym przerwę. Ja zostałem na miejscu. Wszedł na otwartą przestrzeń przed domem, a potem na schodki, które prowadziły na ganek. Stanął, zwalisty, dobrze widoczny w świetle księżyca, z coltem zwisającym u pasa. Osobliwy sposób popełnienia samobójstwa.

Nic się nie stało. Barron dotarł do szczytu schodków i przylgnął do ściany. Po lewej miał okno, po prawej drzwi. Chwycił pistolet tak, jakby chciał załomotać kolbą w drzwi, ale zaraz ponownie go obrócił i rozpląszczył się na ścianie.

W domu zapiszczał pies. Nad parapetem otwartego okna pojawiła się uzbrojona dłoń.

Z tej odległości był to trudny strzał. Ale nie miałem wyboru. Strzeliłem.

Grzmot strzelby zagłuszył trzask mojego pistoletu. Broń spadła na ganek, dłoń zwisała, a potem obsunęła się niżej, palce zadrgały i zaczęły drapać parapet. Potem dłoń zniknęła we wnętrzu, a pies zawył. Barron szarpnął za klamkę. Andy i ja pędziliśmy do domku, każdy z innej strony.

Szeryf otworzył drzwi i nagle stanął w pełnym świetle. Ktoś w środku zapalił lampę i skierował ją w jego stronę.

Dobiegłem do ganku w chwili, gdy Barron wchodził do wnętrza. Andy był tuż za moimi plecami. Wpadliśmy do dużego pokoju.

Na środku, obok stołu z zapaloną lampą, stała pani Lacey, trzymając na ręku psa. Pod oknem leżał na boku, ciężko dysząc, krępy blondyn i macał ręką na chybił trafił w poszukiwaniu pistoletu, który wypadł za okno.

Pani Lacey rozwarła ramiona i wypuściła pieska. Ten jednym skokiem rzucił się na szeryfa, dziabnął go w brzuch spiczastym noskiem i zaczął myszkować pod marynarką.

Potem znów znalazł się na podłodze i biegał w kółko, nie szczekając, tylko machając z radości ogonem.

Pani Lacey tkwiła bez ruchu, z twarzą pustą jak śmierć. Mężczyzna na podłodze jęknął, nie przestając ciężko dyszeć. Otworzył oczy, potem raptownie je zamknął. Spomiędzy jego warg wydobyła się różowa piana.

- Ależ to naprawdę uroczy piesek, pani Lacey - powiedział Barron, wciskając koszulę do spodni. - Zdaje się jednak, że jego obecność nie przynosi szczęścia... przynajmniej niektórym.

Spojrzał na blondyna. Ten rozwarł szeroko oczy i patrzył w nicłość.

- Okłamałam pana - rzekła pośpiesznie pani Lacey. - Musiałam. Od tego zależało życie mojego męża. Luders ma go w rękę i trzyma gdzieś w okolicy. Nie wiem, gdzie, ale niedaleko stąd, tak mi powiedział. Poszedł go przyprowadzić, ale zostawił tego człowieka na straży. Nic nie mogłam poradzić, szeryfie. Prze... przepraszam.

- Wiedziałem, że pani kłamie - odparł łagodnie Barron. Spojrzał na swego colta i schował go. - Wiedziałem też, dlaczego. Tyle że pani mąż nie żyje. Nie żyje już od dłuższego czasu. Widział go pan Evans. Wiem, że to przykre, ale lepiej, żeby pani o tym wiedziała, pani Lacey.

Nie poruszyła się, nie widać było nawet, by oddychała. Potem niezmiernie powoli podeszła do krzesła, opadła na nie i ukryła twarz w dłoniach. Siedziała tak bez ruchu, nie wydając żadnego dźwięku. Piesek zaskomlał i wpełzł pod krzesło.

Mężczyzna na podłodze próbował się unieść. Robił to bardzo powoli, z wysiłkiem. Oczy miał nadal bez wyrazu. Barron podszedł i pochylił się nad nim.

- Mocno dostałeś, synu?

Mężczyzna przytknął lewą dłoń do piersi. Między palcami sączyła się krew. Powoli wznosił prawą rękę, aż się wyprostowała, wskazując róg sufitu. Jego wargi zadrżały, zacisnęły się i przemówiły.

- "Heil Hitler! - zawołał ochryple.

Opadł na podłogę i leżał bez ruchu. W gardle coś mu zabulgotało, ale potem także to ucichło i wszystko w pokoju znieruchomiało, nawet pies.

- To musi być jeden z tych hitlerowców - stwierdził szeryf. - Słyszeliście, co powiedział?

- Tak - potwierdziłem.

Obróciłem się na pięcie i wyszedłem na dwór, schodkami w dół, potem przez las w kierunku auta. Usiadłem na stopniu, zapaliłem papierosa i siedziałem tak, paląc i intensywnie rozmyślając.

Po chwili wszyscy zeszli do samochodu. Barron niósł pieska. Andy niósł swoją strzelbę. Wyraz jego młodej, gładkiej twarzy świadczył o przeżytym szoku.

Pani Lacey wsiadła, a Barron wręczył jej pieska, po czym spojrzał na mnie.

- Prawo zabrania tutaj palić, synu, odległość od domku przekracza pięćdziesiąt stóp - powiedział.

Rzuciłem papierosa i wdeptałem go obcasem w szarą, sypką ziemię. Usiadłem obok Andy'ego. Ruszyliśmy.

Wydostaliśmy się na coś, co w tej okolicy nazywają bodaj drogą główną. Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał.

- Luders wymienił nazwisko, Sloat czy coś takiego. Zrobił to w rozmowie z tym zastrzelonym. Tamten nazywa się Kurt - powiedziała w pewnej chwili cicho pani Lacey. - Rozmawiali po niemiecku. Znam trochę ten język, ale mówili za szybko. Sloat nie jest chyba niemieckim nazwiskiem. Czy coś to panu mówi?

- To nazwa starej kopalni złota niedaleko stąd - oświadczył Barron. - Kopalnia Sloata. Wiesz, Andy, gdzie to jest?

- Aha. Zdaje się, że go zabiłem.

- Zdaje się, że tak.

- Pierwszy raz kogoś zabiłem - powiedział Andy.

- A może to ja - wtrąciłem. - Też do niego strzelałem.

- Nie - zaprzeczył. - Pan był za nisko, żeby go trafić w klatkę piersiową. Ja go zabiłem.

- Ilu przywiozło panią do tego domku? - spytał szeryf. - Niezmiernie mi przykro zadawać pani w takiej chwili pytania, ale po prostu muszę.

- Dwoch - odparła martwym głosem. - Luders i ten, któregoście zastrzelili. On prowadził motorówkę.

- Czy zatrzymali się gdzieś... Po tej stronie jeziora?

- Tak. Koło małego domku, stoi niedaleko brzegu. Luders prowadził samochód. Ten drugi, Kurt, wysiadł. Po pewnym czasie Luders zatrzymał się, a Kurt dogonił nas jakimś starym samochodem. Wjechał do rowu za kępą wierzb, przesiadł się do nas i dalej ruszyliśmy razem.

- To nam wystarczy - stwierdził Barron. - Jak złapiemy Ludersa, sprawa będzie załatwiona. Nie rozumiem tylko, co się za tym wszystkim kryje.

Nie powiedziałem ani słowa. Dotarliśmy do skrzyżowania w kształcie litery T. Drogą skracającą w stronę jeziora przejechaliśmy jeszcze jakieś cztery mile.

- Zatrzymaj raczej tutaj, Andy. Dalej pójdziemy pieszo. Ty zostajesz.

- Nie. Ja też chcę iść - zaprotestował Andy.

- Ty zostajesz - powiedział Barron nieoczekiwanie ostro. - Musisz zaopiekować się damą, a poza tym dzisiaj już się nazabijałeś. Masz tylko uważać, żeby piesek nie szczekał.

Auto stanęło. Wsiadłem z Barronem. Piesek zaskomlał i ucichł. Zboczyliśmy z drogi i poszliśmy na przełaj przez las, w którym rosły młode sosny, manzanity i akacje. Szliśmy w milczeniu, bez słowa. Chyba tylko Indianin mógłby usłyszeć nasze kroki z odległości większej niż trzydzieści stóp.

XII

W parę minut przemierzyliśmy zagajnik. Dalej teren był płaski i odkryty. Na tle nieba rysowało się coś pająkowatego, widać było jakieś kupy rupieci i kilka płuczek ustawionych jedna nad drugą, tak iż tworzyły jakby wieżę chłodniczą w miniaturze, oraz pas transmisyjny, ciągnący się w nieskończoność z wykopu. Barron nachylił się do mojego ucha.

- Od paru lat już tu nie pracują - szepnął. - Nie opłaca się. Dzień harówki dwóch chłopów może przynieść tylko tyle złota, ile waży jeden cent. Tę ziemię wyeksploatowano do cna sześćdziesiąt lat temu. Ten niski barak, tam w oddali, to stary samochód chłodnia. Ciężki i niemal kuloodporny. Nie widzę auta, ale może stoi za chłodnią. Albo je ukryto. Tak, zapewne je ukryto. Jest pan gotów?

Potaknałem. Wyszliśmy na otwartą przestrzeń. W świetle księżyca było jasno jak w dzień. Czulem się nieswojo, niczym gliniana fajka na strzelnicy. Barron wydawał się całkiem swobodny. Trzymał swego wielkiego colta, kciukiem dotykając kurka.

Nagle od strony chłodni pojawiło się światło, a my przywarliśmy do ziemi. Padało z lekko uchylonych drzwi, malując na ziemi żółty prostokąt i żółty grot. W blasku księżyca coś się poruszyło, po czym dobiegł nas plusk wylewanej wody. Oczekaliśmy chwilę, wstaliśmy i ruszyliśmy przed siebie.

Nie było sensu bawić się w podchody. Albo wyjdą, albo nie. Jeśli wyjdą, zobaczą nas, czy będziemy szli, czołgali się, czy leżeli. Teren zbyt odkryty, a księżyc zbyt jasny. Nie stąpaliśmy bezszelestnie, ale grunt był twardy, wydeptany i ubity. Przystanęliśmy za kupą piasku. Wsłuchiwałem się w swój oddech. Ani ja, ani Barron nie mieliśmy zadyszki. Ale słuchałem swojego oddechu z wielkim zajęciem. Przez wiele lat uważałem go za zjawisko naturalne, a teraz nagle się nim zainteresowałem. Miałem nadzieję, że jeszcze długo będę się nim cieszył, brakło mi jednak pewności.

Nie odczuwałem strachu. Byłem mężczyzną z krwi i kości, w ręce trzymałem broń. Ale ten blondyn, zostawiony tam w domku, też był mężczyzną z krwi i kości. W dodatku miał ścianę, za którą mógł się ukryć. Mimo to nie odczuwałem strachu. Rozmyślałem tylko nad niektórymi drobiazgami. Nad tym, że Barron za głośno oddycha, ale też nad tym, że zwracając mu uwagę, iż za głośno oddycha, narobię więcej hałasu niż całe jego oddychanie. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie rozmyślać nad drobiazgami.

Nagle drzwi ponownie się otwarły. Tym razem nie wydobywało się przez nie światło. Wszedł mały, maleńki mężczyzna, niosąc coś, co przypominało ciężką walizę. Taszczył ją

wzdłuż bocznej ściany chłodni, ciężko sapiąc. Barron żelaznym uchwytem ścisnął mnie za ramię. Oddech miał lekko świszczący.

Małeńki mężczyzna z ciężką walizą, czy co to tam było, dotarł do końca ściany i znikł za rogiem. Pomyślałem wtedy, że choć kupa piachu nie sprawia wrażenia zbyt dużej, musi być na tyle wysoka, że nas zasłania. Tamten mógł nas wcale nie zauważyć, zwłaszcza jeśli nie spodziewał się gości. Czekaliśmy na jego powrót. Zbyt długo.

- Mam w ręku pistolet maszynowy, panie Barron. Ręce do góry, panowie. Jeśli spróbujecie zrobić coś innego, strzelam - zabrzmiał dobitny głos za naszymi plecami.

Szybko podniosłem ręce do góry. Barron wahał się przez chwilę. Potem i on uniósł ręce. Obróciliśmy się z wolna.

Frank Luders stał jakieś cztery stopy od nas, trzymając na wysokości piersi broń maszynową. Lufa wyglądała z tej odległości jak tunel Second Avenue w Los Angeles.

- Wolałbym, żebyście się odwrócili w tamtą stronę - powiedział łagodnie Luders. - Kiedy Charlie wróci z auta, zapali w chłodni światło. Wtedy wejdziemy do środka.

Stanęliśmy znów twarzą do długiego, niskiego pojazdu. Luders cicho zagwizdał. Małeńki mężczyzna wynurzył się zza rogu, przystanął na chwilę, po czym ruszył do drzwi.

- Zapal światła, Charlie - zawołał Luders. - Mamy gości.

Małeńki mężczyzna wszedł do chłodni, usłyszeliśmy trzask zapalniczki i wewnątrz rozbłysło światło.

- Teraz możecie wejść, panowie - stwierdził Luders. - Pamiętajcie, rzecz prosta, że śmierć depcze wam po piętach, i zachowujecie się stosownie.

Weszliśmy.

XIII

- Odbierz im pistolety, Charlie, i sprawdź, czy nie mają jeszcze jakiejś broni.

Staliśmy pod ścianą, za długim drewnianym stołem z drewnianymi ławami po obu stronach. Na stole znajdowały się taca z butelką whisky i kilkoma szklankami, latarnia sztormowa i staromodna lampa naftowa z grubego szkła, obie zapalone, spodeczek z zapalkami i drugi, pełen popiołu i niedopałków. W przeciwległej części pomieszczenia ujrzelśmy niewielki piecyk i dwie koje, jedną skotłowaną, drugą starannie zaścieloną.

Japończyk podszedł do nas, w jego okularach odbijało się światło lamp.

- Oj, pistolety - mruknął. - Oj, niedobrze.

Zabrał nam pistolety i pchnął je po stole w kierunku Ludersa. Potem drobnymi palcami zręcznie nas obszukał. Barron skrzywił się i zaczerwienił, ale nic nie powiedział.

- Już nie ma broni - stwierdził Charlie. - Proszę, siadamy, panowie. Bardzo ładna noc. Poszliśmy na piknik w świetle księżyca?

Barron zabalgotał.

- Proszę siadać, panowie, chciałbym wiedzieć, czym mogę służyć - wtrącił się Luders.

Usiedliśmy. Luders zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Przed sobą miał nasze pistolety, na nich położył swój maszynowy, przytrzymując go lewą ręką, i patrzył na nas spokojnie, ale surowo. Wyraz jego twarzy nie był już przyjemny, ale nadal inteligentny. Oni zawsze mają inteligentny wyraz twarzy.

- Czuję, że muszę pozuć - powiedział Barron. - Lepiej się po tym myśli.

Wyciągnął prymkę, odgryzł kawałek i schował tytoń. Żuł w milczeniu, spluwając na podłogę.

- Czuję, że wam pobrudzę podłogę - zauważył. - Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Japończyk siedział na skraju porządnie zaścielonego łóżka, nie dotykając nogami podłogi.

- Nie lubimy - zasyczał. - Bardzo brzydko pachnie.

Barron nawet na niego nie spojrzał.

- Zamierza pan zastrzelić nas i uciec, panie Luders? - zapytał spokojnie.

Luders wzruszył ramionami, zdjął dłoń z pistoletu maszynowego i oparł się o ścianę.

- Zostawiliście za sobą całkiem wyraźny ślad - powiedział Barron. - Nie przypuszczaliście tylko, że znajdziemy jego początek. Gdybyście się tego spodziewali, nigdy

nie postąpilibyście w ten sposób. A jednak byliście przygotowani na naszą wizytę. Tego nie rozumiem.

- Bo my, Niemcy, jesteśmy fatalistami - wyjaśnił Luders. - Kiedy rzeczy idą dobrze, jak dzisiejszej nocy, nie licząc tego głupca, Webera, stajemy się podejrzliwi. Myślałem sobie: "Nie zostawiłem żadnego śladu, nie ma sposobu, żeby mogli trafić za mną na drugi brzeg jeziora. Nie mają motorówki, zresztą żadna za mną nie płynęła. Niemożliwe, żeby mogli mnie znaleźć. Absolutnie niemożliwe". Więc powiedziałem: "Znajdą mnie właśnie dlatego, że mi się to zdaje niemożliwe. Powiniennem zatem na nich czekać".

- Podczas gdy Charlie wynosił walizkę pełną pieniędzy.

- Jakich pieniędzy? - spytał Luders, nie patrząc na nas. Sprawiał wrażenie, jakby zagłębił się w siebie, szukając odpowiedzi.

- Tych świetnych dziesięciodolarówek - odrzekłem - które sprowadzał pan samolotami z Meksyku.

Luders tym razem spojrzął na mnie, ale wzrok nadal miał obojętny.

- Drogi mój przyjacielu, pan chyba nie mówi poważnie?

- Właśnie, że tak. To najprostsze pod słońcem. Straż graniczna nie dysponuje obecnie samolotami. Mieli jakiś czas temu kilka maszyn do ochrony wybrzeża, ale nikt nie przekraczał tą drogą granicy, więc im je odebrano. Samolot z Meksyku, lecący wysoko nad granicą, ląduje na polu golfowym Woodland Club. Należy do pana Ludersa, pan Luders ma też udziały w klubie i obecnie tam mieszka. Czemu ktoś miałby się temu dziwić. Ale pan Luders nie chce trzymać w swoim domku na terenach klubowych lewych pieniędzy na sumę pięciuset tysięcy dolarów, więc znajduje sobie tę starą kopalnię i przechowuje je w samochodzie chłodni, która jest solidna jak sejf, a wcale na sejf nie wygląda.

- To interesujące - powiedział spokojnie Luders. - Niech pan mówi dalej.

- Te pieniądze są świetnie podrobione - ciągnąłem. - Mamy w tej kwestii ekspertyzę. To oznacza organizację: dobór odpowiednich farb, papieru, płyt. To oznacza organizację, na jaką nie mogłaby się zdobyć banda fałszerzy. Organizację rządową. Organizację rządu Rzeszy.

Japończyk zeskoczył z koi i zasyczał, ale Luders nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nadal mnie to ciekawi - stwierdził lakonicznie.

- Mnie nie - wtrącił Barron. - Wygląda na to, że swoim gadaniem chce się pan doigrać kamizelki pełnej ołowiu.

- Parę lat temu - kontynuowałem - Rosjanie próbowali podobnej sztuczki. Chcieli u nas upłynnić olbrzymie ilości fałszywych banknotów i z tego finansować robotę

szpiegowską, a przy okazji zachwiać pozycję dolara. Hitlerowcy są za sprytni na takie ryzyko. Zależy im na dobrych dolarach amerykańskich, którymi będą się posługiwać w Ameryce Południowej i Środkowej. Na używanych banknotach różnych nominałów. Trudno iść do banku i zdeponować, powiedzmy, sto tysięcy w nowiutkich dziesięciodolarówkach. Szeryfa niepokoi tylko, dlaczego wybraliście sobie akurat to miejsce, górski ośrodek turystyczny, którego mieszkańcy nie są specjalnie bogaci.

- A pana to wcale nie niepokoi, panie mądry? - ironizował Luders.

- Mnie to też nie niepokoi - wyjaśnił Barron. - Niepokoi mnie natomiast, że na moim terenie morduje się ludzi. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

- Wybraliście Puma Point - ciągnąłem - przede wszystkim dlatego, że to wymarzone miejsce na wwiezienie pieniędzy. W całych Stanach jest może ze sto takich miejsc, gdzie nie trzeba się obawiać nielicznych przedstawicieli prawa i gdzie latem kręci się mnóstwo przybyszów. Miejsc, gdzie są lądowiska dla samolotów, a nikt nie kontroluje ruchu powietrznego. Był jeszcze jeden powód. To także wymarzone miejsce do upłynnienia lewych pieniędzy, przy odrobinie szczęścia nawet w dużych ilościach. Ale wy nie mieliście szczęścia. Ten Weber zrobił głupstwo i przyniósł wam pecha. Czy mam panu tłumaczyć dlaczego Puma Point jest dobrym miejscem na rozprowadzanie lewych pieniędzy, jeśli ma się do dyspozycji odpowiednią liczbę ludzi?

- Proszę bardzo - powiedział Luders, gładząc kolbę pistoletu maszynowego.

- Ponieważ przez trzy miesiące w roku w okolicy przebywa co najmniej dwadzieścia, a w czasie świąt i weekendów nawet do pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Oznacza to, że przywozi się tu mnóstwo pieniędzy, które bez przerwy kursują. W dodatku w miasteczku nie ma banku. Wskutek tego hotele, bary i sklepy najczęściej muszą przyjmować czeki. Tak więc w sezonie utarg odsyłany do banku składa się niemal wyłącznie z czeków, a gotówka pozostaje w obiegu. Oczywiście tylko do końca sezonu.

- Myślę, że to ciekawa koncepcja - oznajmił Luders. - Gdybym wszakże ja nadzorował taką operację, nie puszczałbym zbyt wielkiej sumy w jednym miejscu. Rzuciłbym trochę tu, trochę tam, ale niewiele. Sprawdziłbym banknoty, zobaczył, jak zostaną przyjęte. Z powodu, o którym sam pan pomyślał. Ponieważ większość pieniędzy często przechodziłaby z rąk do rąk i gdyby stwierdzono, że są "lewe", jak pan to określił, byłoby bardzo trudno wyśledzić ich źródło.

- Tak - przyznałem. - To byłoby mądre. Miło z pana strony, że tak szczerze pan o tym mówi.

- Dla pana - odparł Luders - nie ma oczywiście najmniejszego znaczenia, czy jestem szczery.

Barron nagle się poruszył.

- Niech pan posłucha, panie Luders. Nic panu nie przyjdzie z tego, że nas pan zabije. Prawdę mówiąc, nie mamy na pana haczyka. Przypuszczalnie zabił pan tego Webera, ale rzeczy tak się mają, że byłoby cholernie trudno to panu udowodnić. Jeśli rozprowadzał pan fałszywe pieniądze, capną pana za to, ale to nie grozi stryczkiem. Tak się składa, że mam u pasa dwie pary kajdanków, więc proponuję, że wyjdziecie stąd w kajdankach, pan i pański kolega Japończyk.

- Cha, cha, cha. Bardzo śmieszny człowiek. Chyba jakiś wariat, nie? - powiedział Japończyk Charlie. Luders uśmiechnął się bez przekonania.

- Schowałeś wszystko do auta, Charlie? - spytał.

- Została jeszcze jedna walizka - odparł Charlie.

- Najlepiej wynieś ją i zapal silnik.

- Niech pan posłucha, Luders, to wam się nie uda - przerwał mu Barron. - Mój człowiek został w lesie ze strzelbą myśliwską. Jest pełnia księżyca. Ma pan tutaj niezłą maszynkę, ale wobec strzelby myśliwskiej będzie pan równie bezbronny, jak teraz Evans i ja. Bez nas nigdy się pan stąd nie wydostanie. Mój człowiek widział, dokąd idziemy i którędy. Miał nam dać dwadzieścia minut. Potem pośle po ludzi, którzy was wykurzą dynamitem. Taki wydałem rozkaz.

- To bardzo trudna robota - stwierdził rzeczowo Luders. - Nawet dla nas, Niemców, trudna. Jestem zmęczony. Popełniłem duży błąd. Posłużyłem się człowiekiem, który okazał się głupcem, który zrobił głupstwo, a potem zabił człowieka, dlatego że zrobił to głupstwo, a tamten o tym wiedział. Ale to był także mój błąd. To nie do wybaczenia. Moje dalsze życie nie ma już większego znaczenia. Zanieś tę walizkę do samochodu, Charlie.

Charlie zbliżył się do niego kocim ruchem.

- To mi się Nie podoba - powiedział ostro. - Cholernie ciężka waliza. Człowiek ze strzelbą strzela. Do diabła.

Luders uśmiechnął się leniwie.

- Bzdury opowiadasz, Charlie. Gdyby mieli jakichś ludzi, ci już dawno by tu byli. Dlatego pozwoliłem temu facetowi gadać. Żeby sprawdzić, czy są sami. Oni są sami. Idź, Charlie.

- Idziemy, ale nam się to wcale nie podoba - syknął Charlie.

Poszedł w kąt i dźwignął stojącą tam walizkę. Ledwie mógł ją unieść. Powoli zbliżył się do drzwi, odstawił ciężar i westchnął. Uchylił je i wyjrzał.

- Nikogo nie widzimy - oznajmił. - Może to wszystko kłamstwo.

- Trzeba było zabić psa i tę kobietę - powiedział w zamyśleniu Luders. - Chwila słabości. A ten Kurt, co się z nim stało?

- Pierwsze słyszę o jakimś Kurcie - stwierdziłem. - Kto to taki?

Luders popatrzył na mnie.

- Wstawajcie. Obaj.

Wstałem. Zimny dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Barron też wstał, szary na twarzy. Na jego szpakowatych włosach połyskiwały kropelki potu. Całą twarz miał spoconą i nieruchomą, tylko szczęki nie przestawały żuć.

- Ile dostałeś za tę robotę, synu? - spytał mnie cicho.

- Sto dolarów, ale trochę już wydałem - odparłem zduszonym głosem.

- Jestem żonaty od czterdziestu lat. Płacą mi osiemdziesiąt dolarów na miesiąc, plus mieszkanie i opał. To diabelnie mało. Mój Boże, powinienem zarabiać setkę - tym samym tonem powiedział Barron.

Z grymasem na twarzy splunął i spojrzał na Ludersa.

- Niech cię wszyscy diabli, ty cholerny nazisto! - zawołał.

Luders powoli uniósł swój pistolet i wyszczerzył zęby. Oddychał ze świstem. Potem bardzo powoli odłożył pistolet maszynowy i sięgnął za pazuchę. Wyciągnął lugera i odbezpieczył go kciukiem. Przełożył do lewej ręki i patrzył na nas spokojnie. Jego twarz powoli traciła wszelki wyraz, upodabiając się do szarej maski pośmiertnej. Uniósł broń i w tej samej chwili wyprężył prawą rękę nieco powyżej wysokości barku. Była prosta jak trzcina.

- "Heil Hitler!" - powiedział chrapliwie.

Następnie szybko nakierował broń, wsadził sobie lufę do ust i wystrzelił.

XIV

Japończyk wrzasnął i wybiegł na zewnątrz. Barron i ja rzuciliśmy się na stół. Każdy schwycił swoją broń. Krew kapnęła mi na grzbiet dłoni, kiedy Luders osuwał się pod ścianą na podłogę.

Barron był już w drzwiach. Kiedy znalazłem się obok niego, zobaczyłem, że Japończyk ucieka z boczem wzgórza w kierunku zagajnika.

Barron zatrzymał się, podniósł swojego colta, ale zaraz go opuścił.

- Nie jest jeszcze dość daleko - wyjaśnił. - Każdemu daję czterdzieści jardów.

Po chwili znów uniósł colta, obrócił się trochę w prawo, a kiedy broń osiągnęła odpowiednią pozycję, przesunął ją powoli, potem trochę pochylił głowę, aż dłoń, ramię i prawe oko znalazły się na jednej linii.

Pozostał dłuższą chwilę w tej pozycji, idealnie nieruchomy, po czym pistolet zagrział i odskoczył w dłoń, a smużka dymu rozwiała się w świetle księżyca.

Japończyk nadal biegł. Barron opuścił colta i patrzył, jak uciekający znika w zaroślach.

- Do diabła - powiedział. - Chybiłem.

Zerknął na mnie i znów popatrzył w stronę zagajnika.

- Daleko nie ucieknie - stwierdził. - Nie ma samochodu ani łodzi. A na tych swoich krótkich nóżkach nie przeskoczy nawet przez szyszkę.

- Ma pistolet - wtrąciłem. - Pod lewą pachą.

Barron potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Zauważyłem, że kabura jest pusta. Przypuszczam, że Luders odebrał mu broń. Przypuszczam też, że Luders zamierzał się go pozbyć przed wyjazdem.

W oddali, od strony drogi, pojawiły się niewyraźne światła samochodu.

- A dlaczego Luders pękł?

- Sądzę, że to urażona duma - stwierdził w zamyśleniu Barron. - Taki wielki organizator jak on dał się wyprowadzić w pole takim dwóm pionkom jak my.

Obeszliśmy samochód chłodnię. Z tyłu stało nowe coup~e. Barron podszedł i otworzył drzwi. Nadjeżdżający pojazd był coraz bliżej. Gdy znalazł się na zakręcie, jego światła omiotły auto, które mieliśmy przed sobą. Barron przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym trzasnął ze złością drzwiami i splunął na ziemię.

- Cadillac V_12 - powiedział. - Czerwone skórzane obicia, walizki na tylnym siedzeniu.

Pochylił się jeszcze i oświetlił tablicę rozdzielczą.

- Która godzina?

- Za dwanaście druga - powiedziałem.

- Zegar nie późni się o dwanaście minut i trzydzieści sekund - stwierdził gniewnie

Barron. - Tu się pan pomylił.

Potem odwrócił się do mnie, zsuwając kapelusz na tył głowy.

- Do diabła, widział go pan na parkingu przed hotelem Pod Głową Indianina.

- Widziałem.

- A już myślałem, że jest pan taki mądry.

- Jestem.

- Synu, kiedy następny raz będę się ocierał o śmierć, postaraj się być w pobliżu.

Nadjeżdżający samochód zatrzymał się kilka jardów od nas. Zaskomlał pies.

- Nikt nie jest ranny? - zawołał Andy.

Podeszliśmy. Otworzyły się drzwi, mały, gładki piesek wyskoczył i pobiegł do Barrona. Z odległości blisko czterech stóp odbił się, poszybował w powietrzu i przednimi łapami rąbnął szeryfa w brzuch, a potem zeskoczył na ziemię i biegał w kółko.

- Luders zastrzelił się w chłodni - powiedział Barron. - W zagajniku kryje się mały Japoniec, musimy go otoczyć. A tu są trzy, nie, cztery walizki sfalszowanych pieniędzy, którymi też się trzeba zająć.

Popatrzył w przestrzeń, potężny i nieruchomy jak skała.

- Taka noc jak dziś - westchnął - i nagle tyle trupów.

*Przełożył
Andrzej Zerwałd*

Kobieta w jeziorze

I. Nie powiadamiając władz

Rozsiadłem się właśnie złożywszy nowiutkie buty na blacie biurka, kiedy wpadł Violets M'Gee. Sierpniowy ranek był ospały, upalny i parny, nawet prześcieradło kąpielowe nie wystarczało do ocierania potu z karku.

- Jak leci, chłopcze? - spytał, jak zwykle, Violets. - Od tygodnia nic się nie dzieje, co? Pewien facet, nazywa się Howard Melton i pracuje w Avenant Building, zgubił żonę. Jest dyrektorem filii Doreme Cosmetic Company. Ma swoje powody, żeby oficjalnie nie zgłaszać zaginięcia małżonki. Szef go trochę zna. Przejdź się tam, tylko przedtem zdejmij te buty. Wyglądasz w nich, jakbyś się wybierał na paradę.

Violets M'Gee pracuje jako śledź w wydziale zabójstw w Biurze Szeryfa i gdyby nie drobne zlecenia, które mi czasem daje z dobroci serca, z trudem wiązałbym koniec z końcem. Ta sprawa zapowiadała się trochę inaczej, zdjąłem więc nogi z biurka, i jeszcze raz wytarłem kark i wyszedłem.

Avenant Building stoi na rogu OLive i Sixth, prowadzi do niego chodnik w czarno_białą szachownicę. Windy obsługują tu dziewczyny w szarych jedwabnych rubaszkach i bufiastych beretach, jakich używają artyści malarze, żeby farba nie chlapała im na włosy. Doreme Cosmetic Company zajmowała ładny lokal na szóstym piętrze. Recepcję z lustrzanymi ścianami i perskimi dywanami zdobiły wazony z kwiatami i dziwaczne połyskujące rzeźby. Miła blondyneczka siedziała przy centralce telefonicznej, wbudowanej w duże biurko, na którym stały kwiaty i umieszczona pod kątem tabliczka z napisem: "Panna Van de Graaf". Panna miała okulary ~a la Harold Lloyd, włosy ściągnięte do tyłu i związane wysoko, w strefie wiecznego śniegu.

Powiedziała, że pan Howard Melton jest akurat na konferencji, ale ona może przy sposobności podać mu moją wizytówkę, i spytała, w jakiej przyszedłem sprawie. Odparłem, że nie mam wizytówki, a nazywam się John Dalmas, od pana Westa.

- Kto to taki, pan West? - zapytała oziębłe - czy pan Melton go zna?
- Nie mam pojęcia, siostró. Nie znając pana Meltona, nie znam jego przyjaciół.
- Jakiego rodzaju sprawa pana sprowadza?
- Osobista.
- Aha.

Szybko położyła parafę na trzech papierkach leżących na biurku, żeby nie cisnąć we mnie kałamarzem. Wyszedłem na korytarz i usiadłem w niebieskim skórzanym fotelu z chromowanymi poręczami. Wyglądem, zapachem i w dotyku niezwykle wprost przypominał fotel fryzjerski.

Mniej więcej po pół godzinie otwarły się drzwi za metalową balustradą i tyłem wyszło dwóch zaśmiewających się mężczyzn. Trzeci przytrzymał drzwi i wtórował im. Uścisnęli sobie ręce, tamci dwaj opuścili lokal, a trzeci w mgnieniu oka zmasał uśmiech z twarzy i spojrzął na pannę Van de Graaf.

- Są jakieś sprawy? - spytał władcym głosem?

Sekretarka zaszeleściła papierami.

- Nie, proszę pana. Jakiś pan... Dalmas chciałby się z panem widzieć. Od pana Westa. W sprawie osobistej.

- Nie znam takiego - warknął szef. - Mam już tyle polis ubezpieczeniowych, że nie nadążam z płaceniem stawek.

Popatrzył na mnie krótko i nieprzyjaźnie, po czym zniknął w swoim pokoju, trzaskając drzwiami. Panna Van de Graaf uśmiechnęła się do mnie z lekkim żalem. Zapaliłem papierosa i dla odmiany założyłem lewą nogę na prawą. Po pięciu minutach drzwi za balustradą znów się otwały, mężczyzna wyszedł w kapeluszu na głowie i obrażonym tonem oznajmił, że wróci za pół godziny.

Minął bramkę w balustradzie i ruszył w stronę wyjścia, wtem jednak, zrobiwszy zgrabny zwrot, podszedł do mnie wielkimi krokami. Patrzył z góry - potężny mężczyzna, sześć stóp i dwa cale, odpowiedniej do wzrostu budowy. Gładko wymasowana twarz nosiła ślady hulaszczego życia. Oczy miał czarne, surowe i zdradliwe.

- Pan chciał się ze mną widzieć?

Wstałem, wyciągnąłem portfel i podałem mu wizytówkę. Obejrzał ją i obrócił w palcach. Jego wzrok wyrażał zamyślenie.

- Kto to jest pan West?

- Nie mam pojęcia.

Spojrzał mi prosto w oczy, surowo, ale z zainteresowaniem.

- To dobry pomysł - powiedział. - Chodźmy do gabinetu.

Sekretarka tak się zdenerwowała, że kiedy przechodziliśmy obok niej przez bramkę w balustradzie, próbowała parafować trzy papierki naraz.

Gabinet był długi, mroczny i cichy, ale bynajmniej nie chłodny. Na ścianie wisiała duża fotografia, przedstawiająca ponurego typa, który w swoim czasie z niejednego pieca

chleb jadł. Potężny mężczyzna przeszedł za biurko, warte przynajmniej osiemset dolarów, i usadowił się w wyściełanym fotelu dyrektorskim z wysokim oparciem. Popchnął ku mnie skrzyneczkę z cygarami. Zapaliłem, a on przyglądał mi się przez chwilę zimnym, nieruchomym wzrokiem.

- To sprawa bardzo poufna - zaczął.

- Aha.

Jeszcze raz obejrzał moją wizytówkę i wsunął ją do portfela ze złoceniami.

- Kto pana przysłał?

- Przyjaciel z Biura Szeryfa.

- Musiałbym wiedzieć o panu troszkę więcej.

Podaliśmy mu dwa nazwiska i telefony. Sięgnął po aparat, poprosił o miasto i sam wykręcił numery. Został oba moje kontakty. Po czterech minutach odłożył słuchawkę i znów wyciągnął się w fotelu. Obaj otarliśmy sobie kark z potu.

- Na razie wszystko się zgadza - powiedział. - Teraz niech mi pan udowodni, że jest pan tym, za kogo się podaje.

Wyjąłem portfel i pokazałem mały fotostat licencji. To mu wystarczyło.

- Jaka jest pańska stawka?

- Dwadzieścia pięć dolców dziennie i zwrot kosztów.

- To za dużo. Jakiego rodzaju koszty wchodzi w grę?

- Benzyna i olej, od czasu do czasu łapówka, posiłki i whisky. Głównie whisky.

- Czy pan nie je, kiedy pan nie pracuje?

- Jem, ale nie tak dobrze.

Uśmiechnął się. W jego uśmiechu, tak jak we wzroku, było coś lodowatego.

- Chyba się jakoś dogadamy - stwierdził.

Otworzył szufladę i wyjął butelkę szkockiej. Napiliśmy się. Postawił butelkę na podłodze, otarł usta, zapalił papierosa ozdobionego monogramem i zaciągnął się z lubością.

- Niech pan spuści do piętnastu - zaproponował. - W dzisiejszych czasach... I proszę nie przesadzać z piciem.

- Chciałem pana nabrać - stwierdziłem. - Człowiekowi, którego nie da się nabrać, nie można ufać.

Znów się uśmiechnął.

- Umowa stoi. Ale pierwszy warunek to obietnica, że w żadnym wypadku nie będzie się pan kontaktował ze swoimi przyjaciółmi gliniarzami.

- Zgoda, jeśli pan nikogo nie zamordował.

Wybuchnął śmiechem.

- Na razie nikogo. Ale uprzedzam, że twarde ze mnie gość. Chcę, żeby pan trafił na ślad mojej żony, ustalił, gdzie obecnie przebywa i co robi, w dodatku tak, by ona o tym nie wiedziała. Znikła jedenaście dni temu - dwunastego sierpnia - z naszego domku letniego nad jeziorem Little Fawn. To jezioro, które należy do mnie i dwóch innych facetów. Trzy mile od Puma Point. Oczywiście wie pan, gdzie to jest.

- W górach San Bernardino, jakieś czterdzieści mil od miasteczka San Bernardino.

- Tak.

Strzepnął popiół na blat biurka i pochylił się, żeby go zdmuchnąć na podłogę.

- Little Fawn ma zaledwie nieco ponad ćwierć mili długości. Zbudowaliśmy nad nim tamę, licząc na wzrost cen gruntu - ale się przeliczyliśmy. Są tam cztery domki. Mój, dwa, które należą do moich przyjaciół, oba tego lata nie zamieszkane, i czwarty, nad tym brzegiem bliżej szosy. Mieszka w nim niejaki William Haines z żoną. Inwalida wojenny na rencie. Nie płaci czynszu, za to pilnuje domków. Moja żona spędzała tam lato i miała wrócić do miasta dwunastego z powodu obowiązków towarzyskich, jakie ją czekały w sobotę. Nie wróciła.

Kiwnąłem głową. Mężczyzna otworzył zamykaną na klucz szufladę i wyjął kopertę, a z niej zdjęcie i telegram, który pchnął w moją stronę. Wysłany 15 sierpnia o #/9#18, był zaadresowany do Howarda Meltona, 715 Avenant Building Los Angeles, i brzmiał: "Jadę po meksykański rozwód stop wychodzę za Lance'a stop żegnaj i powodzenia stop Julia".

Odłożyłem żółty blankiet na biurko.

- Julia to imię mojej żony - wyjaśnił Melton.

- A kto to jest Lance?

- Lancelot Goodwin. Jeszcze rok temu był moim osobistym sekretarzem. Potem dostał trochę forsy i odszedł. Od dawna wiem, że Julia i on czuli do siebie miętę, o ile można to tak nazwać.

- Ależ proszę, jeśli o mnie chodzi.

Popchnął zdjęcie przez szerokość biurka. Amatorska fotografia na błyszczącym papierze przedstawiała szczupłą, drobną blondynkę i wysokiego, smukłego, przystojnego, może odrobinę za bardzo przystojnego, bruneta w wieku lat trzydziestu pięciu. Blondynka mogła mieć od osiemnastu do czterdziestu lat. Taki typ urody. Z tych, co zachowują linię, nie odmawiając sobie jedzenia. Miała na sobie kostium kąpielowy, który nie zmuszał do

natężania wyobraźni, Mężczyzna był w kąpielówkach. Siedzieli na piasku, pod pasiastym plażowym parasolem. Położyłem zdjęcie na telegramie.

- Oto wszystkie dowody rzeczowe - powiedział Melton - ale nie wszystkie fakty. Napije się pan?

Nalał, wypiliśmy. Znow odstawił butelkę na podłogę. Wtem zadzwonił telefon. Rozmawiał krótko, potem zastukał w widełki i poprosił sekretarkę, żeby go z nikim nie łączyła.

- Z początku nic więcej się nie działo - podjął. - Ale w zeszły piątek spotkałem na ulicy Lance'a Goodwina. Twierdzi, że od paru miesięcy nie widział się z Julią. Wierzę mu, bo Lance to facet bez kompleksów, który niczego się nie boi. Stać by go było na to, żeby w razie czego powiedzieć mi prawdę prosto w oczy. Przy tym myślę, że on sam będzie trzymał język za zębami.

- Czy mogli tu wchodzić w grę jacyś inni mężczyźni?

- Nie. Jeśli jacyś byli, ja nic o tym nie wiem. Podejrzewam, że Julia trafiła gdzieś do pudła i udało się jej, za pomocą łapówki, albo w inny sposób, ukryć swoją tożsamość.

- Do pudła? Za co?

Zawahał się.

- Julia jest kleptomanką. - Powiedział spokojnie po chwili. - Nieszkodliwą i tylko od czasu do czasu. Przeważnie wtedy, gdy za dużo pije. Miewa takie okresy. Dotąd próbowała swoich sztuczek tu, w Los Angeles, w dużych domach towarowych, gdzie mamy otwarte konto. Złapali ją parę razy, ale zawsze się wyłgała i sprzedawcy wystawiali rachunek. Nie było dotychczas większego skandalu, którego bym nie umiał zatuszować. Ale w obcym mieście...

Przerwał i zmarszczył brwi.

- Muszę uważać, żeby nie stracić posady w Doreme - stwierdził.

- Czy kiedyś jej zdejmowano?

- Co proszę?

- Czy zdejmowano jej odciski palców?

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedział, wyraźnie zaniepokojony.

- A ten Goodwin wie o jej ubocznym hobby?

- Trudno powiedzieć. Mam nadzieję, że nie. Sam, rzecz prosta, nigdy o niczym takim ze mną nie rozmawiał.

- Chciałbym dostać jego adres.

- Jest w książce telefonicznej. Goodwin ma domek w rejonie Chevy Chase, koło Glendale. Na zupełnym odludziu. Mam podejrzenie, że Lance to samotny myśliwy.

Wszystko ładnie się układało, ale nie powiedziałem tego na głos. Nie wiedziałem, skąd w najbliższym czasie mógłbym się spodziewać jakichś innych uczciwie zarobionych pieniędzy.

- Był pan oczywiście nad Little Fawn po zaginięciu żony?

Zaskoczyłem go tym pytaniem.

- Prawdę mówiąc - nie. Nie widziałem powodu. Dopóki nie spotkałem Lance'a przed wejściem do Klubu Sportowego, przypuszczałem, że on i Julia są gdzieś razem, może nawet już po ślubie. Rozwody meksykańskie załatwia się szybko.

- A co z pieniędzmi? Miała przy sobie dużo forsy?

- Nie wiem. Julia odziedziczyła sporo pieniędzy po ojcu. Sądzę, że w razie potrzeby mogłaby dysponować grubszą forszą.

- Rozumiem. A jak była ubrana - nie, tego nie może pan wiedzieć.

Potrząsnął głową.

- Nie widziałem jej od dwóch tygodni. Zwykle nosiła ciemne rzeczy. Może Haines panu powie. Przypuszczam, że on wie o jej zaginięciu. Mam nadzieję, że będzie umiał trzymać gębę na kłódkę.

Uśmiechnął się krzywo.

- Miała - kontynuował po chwili - ośmiokątny platynowy zegarek na bransoletce z dużych płytek. Prezent urodzinowy. W środku było wyryte jej imię. Miała też pierścionek z diamentem i szmaragdami oraz platynową ślubną obrączkę z wygrawerowanym napisem: "Howard i Julia Meltonowie, 27 lipca 1926".

- Ale nie podejrzewa pan jakiejś nieczystej sprawy?

- Nie - zaprzeczył i odrobinę się zaczerwienił. - Już mówiłem, co podejrzewam.

- Co mam robić, jeśli siedzi gdzieś w pudle? Zawiadomić pana i czekać?

- Oczywiście. A jeśli jest na wolności, niech pan jej nie spuszcza z oka, dopóki nie przyjadę. Myślę, że dam sobie radę w każdej sytuacji.

- Taak. W końcu kawał z pana chłopca. Mówi pan zatem, że żona wyjechała z jeziora dwunastego sierpnia. Ale sam pan tam nie był. Więc wyjechała - czy tylko miała wyjechać - czy też wnioskował pan z daty telegramu?

- Brawo. Zapomniałem o jednym. Julia faktycznie wyjechała dwunastego. Nie lubiła jeździć nocą, więc wyruszyła po południu i zatrzymała się w hotelu Olimpia, gdzie poczekała na pociąg. Wiem o tym, ponieważ po tygodniu zadzwonił do mnie hotelarz,

poinformował, że auto stoi u nich w garażu i spytał, kiedy je odbiorę. Powiedziałem, że wpadnę, jak będę miał czas.

- No cóż, panie Melton. Myślę, że rozejrzę się po okolicy, a najpierw sprawdzę tego Lancelota Goodwina. Być może nie powiedział panu całej prawdy.

Melton wręczył mi książkę telefoniczną okolic Los Angeles. Znalazłem. Lancelot Goodwin mieszkał przy Chester Lane 3416. Nie znałem tej ulicy, ale w samochodzie miałem mapę.

- Pojadę tam i trochę powęszę. Przydałoby mi się nieco forsy na koncie. Powiedzmy stówę.

- Na początek wystarczy pięćdziesiąt.

Wyjął portfel ze złoceniami i wręczył mi dwie dwudziestki oraz dziesięciodolarówkę.

- Wezmę od pana pokwitowanie, tak dla porządku.

Miał w biurku kwitariusz, napisał, co tam chciał, a ja podpisałem. Schowałem oba dowody rzeczowe do kieszeni i wstałem. Wymieniliśmy uścisk dłoni.

Zostawiłem go, czując, że jest to facet, który myli się rzadko, zwłaszcza w sprawach pieniężnych. Kiedy wychodziłem, sekretarka spojrzała na mnie koso. Myślałem o tym z niepokojem prawie do samej windy.

II. Wymarły dom

Samochód stał na parkingu po drugiej stronie ulicy, pojechałem więc Fifth w kierunku północnym, skręciłem na lewo od Flower, potem zjechałem w Glendale Boulevard i wreszcie znalazłem się w samym Glendale. Była pora lunchu, więc zatrzymałem się i zjadłem kanapkę.

Chevy Chase to głęboki kanion przerywający podgórze, na pograniczu Glendale i Pasadena. Teren jest gęsto zalesiony, a boczne drogi bywają ciemne i zarośnięte. Chester Lane okazała się tak ciemna, jakby biegła przez sekwojową puszcę. Na samym jej końcu mieścił się domek Goodwina - mały bungalow w stylu angielskim, ze stromym dachem i oprawionymi w ołów szybami, które nie przepuszczałyby wiele światła, nawet gdyby było co przepuszczać. Domek przycupnął między dwoma wzgórzami, od frontu, prawie na samej werandzie, rósł olbrzymi dąb. Istne gniazdko rozkoszy.

Stojący obok domku garaż był zamknięty. Poszedłem zygzakowatą ścieżką, wyłożoną kamieniami, i nacisnąłem dzwonek. Słyszałem, jak dzwoni gdzieś w głębi, tym głuchym dźwiękiem, charakterystycznym dla dzwonek w opustoszałych domach. Spróbowałem jeszcze dwa razy. Nikt nie otworzył. Przedrzeźniacz usiadł na ładnie utrzymanym trawniku przed domkiem, wygrzebał sobie robaka i odfrunął. Ktoś zapalił silnik samochodu, gdzieś za zakretem, poza zasięgiem mego wzroku. Po drugiej stronie ulicy stał nowiutki dom, z tabliczką "Na sprzedaż" wbitą w kupę nawozu przemieszanego z nasionami trawy. W pobliżu nie było innych domów.

Jeszcze raz nacisnąłem dzwonek i krótko załomotałem kołatką w kształcie wystającego z lwiej paszczy pierścienia. Potem zszedłem z werandy i przez szparę w drzwiach zajrzałem do garażu. Stał tam jakiś lśniący w przyćmionym świetle samochód. Węszyłem dalej; za domkiem zobaczyłem jeszcze dwa dęby, palenisko na śmieci, a pod jednym z dębów zielony stół ogrodowy i trzy krzesła. Ten zacieniony zakątek był tak cichy i spokojny, że wzięła mnie ochota odpocząć. Podeszedłem jednak do tylnych drzwi domku, oszklonych w górnej części i zamykanych na sprężynowy zatrzask, by spróbować przekręcić gałkę. To nie był mądry pomysł. Drzwi ustąpiły, więc zaczerpnąłem głęboko powietrza i wszedłem.

Ten Lancelot Goodwin będzie musiał wysłuchać moich argumentów, jeśli to pułapka. A jeśli nie, chciałem się trochę rozejrzeć po jego włościach. Coś mnie w tym człowieku niepokoiło, może jego imię?

Drzwi prowadziły do sieni, przedzielonej kilkoma wąskimi i wysokimi przepierzeniami. Z sieni inne drzwi, też na zatrask, i też nie zamknięte, wiodły do kuchni z jaskrawymi kafelkami i obudowaną drewnem kuchenką gazową. Obok zlewu stało mnóstwo pustych butelek. Były tu ponadto dwie pary wahadłowych drzwi. Pchnąłem te, które wiodły ku frontowi domku. Ujrzałem jadalnię z barkiem, na którym stało jeszcze więcej butelek, tym razem wcale nie pustych.

Salonik znajdował się po mojej prawej, za łukowatym wejściem. Nawet w środku dnia było w nim ciemno. Ładnie umeblowany, miał wbudowane w ścianę półki, pełne książek, których nie kupowano całymi seriami. W kącie stało meblowe radio, a na nim szklanka do połowy wypełniona bursztynowym płynem. W środku pływał jeszcze lód. Radio buczało z cicha, za skalą jarzyło się światło. Odbiornik był włączony, ale zupełnie ściszony.

Wszystko to wyglądało zabawnie. Obróciłem się i w lewym rogu pokoju zobaczyłem coś jeszcze zabawniejszego.

W głębokim fotelu obitym brokatem, opierając stopy w kapciach na podobnie obitym stołeczku, siedział jakiś mężczyzna. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulkę polo i kremowe spodnie z białym paskiem. Lewa ręka spoczywała na szerokiej poręczy fotela, podczas gdy prawa zwisała ociężale z drugiej poręczy na jednobarwny, matoworóżowy dywan. Był to szczupły brunet, przystojny i dobrze zbudowany. Jeden z tych facetów, co szybko się poruszają i są silniejsi, niż na to wyglądają. Lekko rozwarte wargi odsłaniały krawędzie zębów. Głowę przechylił nieco, jakby się zdrzemnął po paru szklaneczkach przy dźwiękach muzyki.

Był jeszcze rewolwer, na podłodze, obok prawej ręki mężczyzny, no i była też czerwona dziura z osmalonymi brzegami, w samym środku jego czoła.

Z brody spokojnie kapiała krew, padając na białą koszulkę polo.

Przez całą minutę - która w takich okolicznościach może być długa jak kciuk kręgarza - nie drgnął mi żaden mięsień. Jeśli w ogóle oddychałem, to tylko ukradkiem. Tkwiłem w miejscu, sflaczały niczym pęknięty wrzód, i przyglądałem się, jak krew pana Lancelota Goodwina zbiera się na jego brodzie w małe krople, przypominające perełki, a potem powoli, raz po raz, spada, powiększając sporą czerwoną plamę, zakłócającą biel koszulki polo. Miałem wrażenie, że w ciągu tej minuty krew skapywała coraz wolniej. W końcu podniosłem jedną nogę, wydobywając ją z cementu, w którym ugrzęzła, zrobiłem krok, potem dociągnąłem z trudem drugą jak kulę u łańcucha. Wlokłem się przez mroczny, pograżony w ciszy pokój.

Kiedy podszedłem bliżej, coś zamigotało mu w oczach. Pochyliłem się nad nim, chcąc napotkać jego wzrok. Daremnie. Nigdy się to nie udaje, jeśli oczy są martwe. Zawsze patrzą trochę w bok albo w górę, albo w dół. Dotknąłem jego twarzy. Była ciepła i nieco wilgotna. Pewnie od alkoholu. Nie żył najwyżej od dwudziestu minut.

Zrobiłem szybki unik, ogarnięty wrażeniem, że ktoś czai się za mną z maczugą, ale nikogo nie było. Panowała cisza. Wypełniała cały pokój, wprost się z niego wylewała. Za oknem na drzewie zaćwierkał ptak, ale to tylko pogłębiło tę ciszę. Można ją było krajać jak chleb i smarować jak masło.

Zacząłem rozglądać się po pokoju. Na podłodze, przed gipsowym kominkiem, leżała odwrócona fotografia w srebrnej ramce. Podniosłem ją przez chusteczkę i obejrzałem. Szło pękło na ukos przez całą długość. Zdjęcie przedstawiało szczupłą blondynkę o niebezpiecznym uśmiechu. Wyciągnąłem fotkę, którą dał mi Howard Melton, i porównałem. Nie miałem wątpliwości, że to ta sama twarz, ale wyraz miała inny, zresztą był to dość pospolity typ urody.

Ostrożnie zaniósłem zdjęcie do ładnie umeblowanej sypialni i otwarłem szufladę komody na wysokich nóżkach. Wyjąłem je z ramki, a samą ramkę starannie wytarłem chusteczką i wetknąłem pod stertę koszul. Może niezbyt mądrze, ale wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

Nie było chyba powodu do pośpiechu. Gdyby ktoś usłyszał i rozpoznał strzał, patrol policyjny już dawno by się zjawiał. Wziąłem fotografię do łazienki, zmniejszyłem ją, posłużęwszy się scyzorykiem, skrawki papieru wrzuciłem do ubikacji i spuściłem wodę. To, co zostało ze zdjęcia, wsunąłem do kieszeni koszuli i wróciłem do saloniku.

Na niskim stolczku koło lewej ręki nieboszczyka stała pusta szklanka. Powinny na niej pozostać jego odciski palców. Zarazem jednak ktoś inny mógł z niej pić i zostawić swoje. Oczywiście - kobieta. Siedziała na poręczy fotela, uśmiechając się słodko i przymilnie, a rewolwer kryła za plecami. To musiała być kobieta. Mężczyzna nie zastrzeliłby go w tak zupełnie rozluźnionej pozycji. Domyślałem się, co to za kobieta, i nie spodobało mi się, że zostawiła na podłodze swoje zdjęcie. To reklama w kiepskim stylu.

Nie mogłem ryzykować ze szklanką. Wytarłem ją starannie i zrobiłem coś, co mi wcale się nie uśmiechało. Włożyłem mu szklankę w dłoń, po czym odstawilem ją na stolik. Powtórzyłem tę operację z rewolwerem. Kiedy puściłem dłoń nieboszczyka, która przez chwilę była dłonią strzelca, zakołysała się jak wahadło w zegarze pradziadka. Podszedłem do radia i przetarłem je z wierzchu. Pomyślałem, że była wyjątkowo przebiegła, że to jakaś kobieta całkiem innego pokroju, jeśli w ogóle bywają kobiety innego pokroju. Wybrałem

cztery niedopalki ze śladami szminki w odcieniu zwanym Carmen - szminki dla blondynek. Wyniosłem je do łazienki i powierzyłem miastu. Powycierałem ręcznikiem niektóre błyszczące urządzenia łazienkowe, zrobiłem to samo z klamką przy drzwiach wejściowych i uznałem, że mieszkanie jest czyste. Nie mogłem przecież powycierać dokładnie całego cholernego domku.

Zatrzymałem się jeszcze, żeby popatrzeć na Lancelota Goodwina. Krew przestała płynąć. Ostatnia kropla na brodzie nie miała już nigdy opaść. Będzie tak wisiała, coraz ciemniejsza, połyskliwa, wieczna jak brodawka.

Wyszedłem przez kuchnię i sień, wycierając po drodze jeszcze parę klamek, szybko minąłem boczną ścianę domku i rozejrzałem się na prawo i na lewo. Ponieważ w polu widzenia nie było nikogo, zwięździłem swe dzieło, dzwoniąc jeszcze parę razy do drzwi frontowych, a przy okazji wycierając starannie guzik dzwonka i klamkę. Wróciłem do swego samochodu i odjechałem. Mój pobyt w domku nie trwał dłużej niż pół godziny. A czułem się, jakbym walczył w wojnie domowej - od jej pierwszego do ostatniego dnia.

Przebywszy dwie trzecie drogi powrotnej, stanąłem na rogu Alesandro Street i skryłem się w budce telefonicznej. Wykręciłem numer biura Howarda Meltona.

- Doreme Cosmetic Company - oznajmił szczebiotliwy głosik. - Dobry wietrzczóóór.

- Z panem Meltonem.

- Połączę pana z jego sekretarką - zaśpiewał głosik blondyneczki, którą postawiono w kącie, żeby nie mogła więcej psocić.

- Mówi Van de Graaf - odezwał się przyjemny głos, który pół tonu wyżej lub pół tonu niżej mógłby być albo uroczy, albo wyniosły. - Kogo mam zameldować panu Meltonowi?

- Johna Dalmasa.

- A czy... czy pan Melton zna pana, panie... Dalmas?

- Nie zaczynaj od nowa - odparłem. - Spytaj go, córko. Gdy mam ochotę na ceregiele idę na pocztę do okienka ze znaczkami.

Wciągnęła powietrze tak głośno, że mało mi nie pękły bębenki.

Potem była pauza, coś zaklekotało i odezwał się dźwięczny, oficjalny głos Meltona.

- Tak? Mówi Melton. Słucham.

- Muszę się z panem szybko zobaczyć.

- O co chodzi? - burknął.

- Powiedziałem to, co pan słyszał. Zaszły pewne nowe, jak to mówią chłopcy, okoliczności. Wie pan chyba, z kim pan rozmawia?

- Ależ tak, wiem. Chwileczkę. Muszę zajrzeć do terminarza.

- Do diabła z terminarzem - powiedziałem. - Sprawa jest poważna. Mam dość oleju w głowie. Nie wywracałbym panu porządku dnia, gdyby chodziło o głupstwo.

- Klub Sportowy - za dziesięć minut - oznajmił lakonicznie. - Niech mnie wywołają z czytelnicy.

- Droga zajmie mi trochę więcej.

Odłożyłem słuchawkę, zanim zdążył zaprotestować. W samej rzeczy dojechałem po dwudziestu minutach.

Posłaniec w hallu Klubu Sportowego wskoczył do staromodnej windy, przypominającej otwartą klatkę i po chwili był już z powrotem. Zawiózł mnie na trzecie piętro i pokazał drogę do czytelnicy.

- Po lewej stronie sali, proszę pana.

Czytelnia nie była przeznaczona tylko do lektury, choć na długim mahoniowym stole leżały gazety i czasopisma, w oszklonych gablotach stały oprawne w skórę roczniki, a na ścianie wisiał olejny portret założyciela klubu, oświetlony z góry małą lampką z abażurem. Większą część sali zajmowały przytulne zakątki, w których stały olbrzymie miękkie fotele skórzane z wysokimi oparciami, a w nich w spokoju ducha drzemali weterani sportu z twarzami fioletowymi ze starości i wskutek nadciśnienia.

Po cichu przemknąłem się przez czytelnicy. Melton siedział w lewym krańcu, w odosobnionym zakątku między regałami, plecami do sali, a fotel, mimo że wysoki, nie całkiem zasłaniał jego dużą głowę bruneta. Obok dostawiono drugi fotel. Wślizgnąłem się na siedzenie i mrugnąłem do Meltona.

- Rozmawiajmy szeptem - polecił. - To miejsce popołudniowych drzemek. No więc, co się stało? Wynająłem pana po to, żeby sobie oszczędzić kłopotów, a nie przysporzyć nowych.

- Zgadza się - stwierdziłem i pochyliłem się ku jego twarzy. Pachniał whisky, ale przyjemnie. - Ona go zastrzeliła.

Lekko uniósł nieruchome brwi. Patrzył przed siebie twardym wzrokiem. Zęby miał mocno zaciśnięte. Westchnął, położył rękę na kolanie i uporczywie się w nią wpatrywał.

- Niech pan mówi - powiedział głosem twardym jak marmur.

Obejrzałem się. Najbliższy staruszek drzemał nadal, a włoski w jego nosie drgały poświsując przy każdym wdechu i wydechu.

- Pojechałem do domku Goodwina. Nikt nie otwierał. Spróbowałem od tyłu. Było otwarte. Wszedłem. Radio włączone, ale ściszone. Dwie szklanki z alkoholem. Rozbita fotografia na podłodze przy kominku. Goodwin w fotelu, zastrzelony z bliska.

Charakterystyczna rana. KOło jego prawej ręki na podłodze rewolwer. Automat kaliber dwadzieścia pięć - kobieca broń. Siedział tak, jakby nie wiedział, co mu się przydarzyło. Powycierałem szklanki, rewolwer, klamki, porobiłem odciski jego palców tam, gdzie powinny być, i uciekłem.

Melton otwarł i zamknął usta. Zazgrzytał zębami. Zacisnął dłonie w pięści. Potem popatrzył na mnie surowo swymi czarnymi oczyma.

- Zdjęcie - powiedział ochryple.

Sięgnąłem do kieszeni i pokazałem mu z daleka fotografię.

- Julia - stwierdził.

Wydał z siebie dziwny, przejmujący świst, a jego ręce pokryły się kroplami potu. Schowałem zdjęcie do kieszeni.

- I co teraz? - wyszeptał.

- Wszystko możliwe. Ktoś mógł mnie widzieć, ale nie jak wchodziłem, ani jak wychodziłem. Z tyłu rosną drzewa. Miejsce jest osłonięte. Czy żona miała taki rewolwer?

Melton opuścił głowę i złożył ją w dłoniach. Trwał w bezruchu, po czym uniósł twarz, zakrył rozpostartymi palcami i przez nie mówił do ściany, w którąśmy się obaj wpatrywali.

- Tak. Ale nigdy go nie nosiła. Podejrzewam, że on ją sprowokował, ten śmierdzący szczur.

Powiedział to bardzo spokojnie, bez emocji.

- Niezły z pana zawodnik - dodał. - Teraz to wygląda na samobójstwo, prawda?

- Trudno przesądzić. Nie mając podejrzanego, mogą to tak potraktować. Zrobią mu na ręce test parafinowy, żeby się przekonać, czy strzelał. Taka jest obecnie procedura. Ale test nie zawsze bywa skuteczny, zresztą bez podejrzanego mogą zlekceważyć wynik. Nie rozumiem tylko tej historii ze zdjęciem.

- Ja także - wyszeptał, wciąż przez palce. - Chyba nagle wpadła w panikę.

- Aha. Zdaje pan sobie sprawę, że nadstawiam karku? Jeśli sprawa się wyda, odbiorą mi licencję. Oczywiście jest jeszcze nikła szansa, że to naprawdę było samobójstwo. Ale on nie wygląda na takiego. Będzie pan musiał wyciągnąć wniosek, panie Melton.

Zaśmiał się ponuro. Potem odwrócił głowę, żeby na mnie popatrzeć, ale wciąż trzymał ręce przy twarzy. Zmierzył mnie wzrokiem przez palce.

- Dlaczego pan zrobił tam porządek? - spytał spokojnie.

- Sam nie mam pojęcia. Myślę, że nabrałem antypatii do tamtego - z fotografii. Pomyślałem, że nie jest wart tego, co grozi pańskiej żonie - i panu.

- Pięć stów jako premia - powiedział.

Odchyliłem się w fotelu i spojrzałem na niego zimno.

- Nie chciałbym nalegać. - bywam czasem twardy, ale nie w takich sprawach. Czy jednak nic więcej pan dla mnie nie ma?

Przez całą długą minutę milczał. Wstał, rozejrzał się po sali, włożył ręce do kieszeni, czymś zabrzączał, w końcu znów usiadł.

- Myli się pan, i to podwójnie - odezwał się wreszcie. - Nie myślałem o szantażu i to nie miała być dola - za mała kwota. Czasy teraz ciężkie. Pan podjął dodatkowe ryzyko, a ja zaproponowałem dodatkowe wynagrodzenie. Niewykluczone, że Julia nie ma z tym nic wspólnego. To by tłumaczyło pozostawienie fotografii. W życiu Goodwina było wiele innych kobiet. Ale jeśli ta historia wyjdzie na jaw, i ja będę w nią wplątany, władze się do mnie dobiorą. Prowadzę delikatny interes, który ostatnio nie idzie najlepiej. Chętnie skorzystają z pretekstu.

- Nie o to chodzi - odparłem. - Pytałem, czy nic więcej pan dla mnie nie ma.

Wpatrywał się w podłogę.

- Tak. Jedną rzecz przemilczałem. Zdawało mi się, że nieważną. A teraz to mocno komplikuje sprawę. Parę dni temu, zaraz po tym, jak spotkałem Goodwina w mieście, zadzwoniono do mnie z banku i poinformowano, że pan Lancelot Goodwin pragnie zrealizować czek na tysiąc dolarów, płatne gotówką, wystawiony przez Julię Melton. Powiedziałem, że pani Melton wyjechała z Los Angeles, ale znam dobrze pana Goodwina i nie mam nic przeciwko realizacji czeku, jeśli tylko został poprawnie wypisany, a odbiorca ma dokumenty w porządku. W tych okolicznościach po prostu nie mogłem nic innego powiedzieć. Przypuszczam, że pieniądze wypłacono. Ale nie mam pewności.

- Myślałem, że Goodwin ma szmal.

Melton wzruszył ramionami.

- Szantażysta kobiet, co? W dodatku złotodziób, skoro bierze czeki. Myślę, że uda mi się rozegrać tę partię, panie Melton. Nie cierpię, kiedy te sępy z prasy żerują na takich historiach. Ale gdy dotrą do pana, ja się wycofuję, jeśli tylko będę się mógł wycofać.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Dam panu od razu te pięćset dolarów. - stwierdził.

- Nie ma mowy. Zostałem wynajęty, żeby odszukać pańską żonę. Kiedy ją znajdę, wezmę na rękę pięćset dolarów, a o reszcie możemy zapomnieć.

- Przekona się pan, że można mi zaufać.

- Potrzebuję kartki polecającej do tego Hainesa, pańskiego sąsiada znad jeziora Little Fawn. Muszę udawać, że nigdy nie byłem w Chevy Chase.

Przytaknął gestem i wstał. Podszedł do stołu i wrócił z kartką opatrzoną nadrukiem klubu.

"Sz. Pan William Haines,

Little Fawn

Drogi Billu,

Wpuść, proszę, oddawcę tej kartki, pana Johna Dalmasa, do naszego domku i oprowadź go po okolicy.

Pozdrowienia

Howard Melton"

Złożyłem kartkę na czworo i dołączyłem do zbiorów zgromadzonych tego dnia.

- Nigdy panu tego nie zapomnę - oznajmił Melton, kładąc mi rękę na ramieniu. -

Wybiera się pan tam od razu?

- Chyba tak.

- Co pan spodziewa się znaleźć?

- Nic. Ale byłbym kpem, gdybym nie zaczął tam, gdzie zaczyna się trop.

- Oczywiście. Haines to swój chłop, choć trochę gburowaty. Za bardzo pozwala sobą rządzić ładnej blondynce, która jest jego żoną. Powodzenia.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Dłoń miał oślizłą jak ryba w oleju.

III. Mężczyzna z drewnianą nogą

W niecałe dwie godziny dojechałem do San Bernardino, gdzie po raz pierwszy w dziejach było prawie tak chłodno jak w Los Angeles i trochę mniej parno. Napilem się kawy, kupiłem butelkę whisky, nabrałem benzyny i ruszyłem w góry. Aż do Bubling Springs niebo spowijały chmury. Potem nagle się przejaśniło, z gór wiał chłodny wiaterek, kiedy wreszcie dojechałem do potężnej tamy i mogłem rzucić okiem na niebieską powierzchnię jeziora Puma. Pływały po niej kajaki, a łódki z zewnętrznymi silnikami i motorówki wyścigowe burzyły wodę, robiąc wiele hałasu o nic. Wzbudzone przez nie fale przeszkadzały ludziom, którzy zapłaciwszy dwa dolary za kartę wędkarską, marnowali czas, próbując złowić rybę wartą dziesięć centów.

Za tamą droga się rozdwajała. Moja wiodła wzdłuż południowego brzegu jeziora. Kluczyła wśród spiętrzonych zwałów granitu. Wysokie na sto stóp żółtawe sosny sondowały jasnoniebieskie niebo. Na otwartej przestrzeni rosły jasnozielone manzanity oraz niedobitki dzikich kosaćców, białe i różowe łubiny, a także pustynny jastrzębiec. Droga opadała następnie ku powierzchni jeziora, mijałem grupki namiotów i grupki dziewcząt w szortach, które jechały na rowerach i na skuterach, wędrowały pieszo poboczem drogi albo po prostu siedziały pod drzewami, pokazując nogi. Widziałem też tyle krów, że dałoby się zapełnić dużą fermę.

Howard Melton kazał mi odbić od jeziora starą drogą do Redlands, milę przed Puma Point. Postrzępiona wstażka asfaltu wspinała się zakosami w górę. Tu i ówdzie na zboczach wzgórz przycupnęły małe domki. Skończył się asfalt, po chwili z prawej strony ujrzałem polną drogę, wąską i piaszczystą. Tabliczka głosiła: "Prywatny dojazd do jeziora Fawn Lake. Wstęp wzbroniony". Skręciłem w prawo, jechałem powoli, omijając duże nagie głązy. Znalazłem tam też niewielki wodospad, kilka pożółkłych sosen i czarnych dębów - i ciszę. Na gałęzi siedziała wiewiórka, szarpiąc świeżą szyszkę i rzucając kawałki w dół, jak confetti. Zbeształa mnie za zakłócanie spokoju i zacisnęła łapkę na szyszce.

Wąska droga skręcała za wielkim pnem i dochodziła do bramy z pięciu belek. Kolejna tabliczka tym razem głosiła: "Teren prywatny - przejścia nie ma".

Wysiadłem, otworzyłem bramę, przejechałem i zamknąłem ją za sobą. Droga wiała się wśród drzew przez jakieś dwieście jardów. Nagle w dole ujrzałem małe owalne jezioro, błyszczące wśród drzew, skał i zarośli jak kropla rosy na zwiniętym liściu. Bliższy kraniec jeziora przegradzała zabezpieczona u góry sznurową barierką tama z żółtawego betonu, do

której przytykało stare koło młyńskie. Obok stał domek z nie okorowanych bali tutejszego drewna. Miał dwa blaszane kominy, z jednego unosił się dym. Słysząc było łomot siekiery.

Po drugiej stronie jeziora oddalone o całą długość drogi i krótki odcinek za tamą, stały trzy domki, jeden większy, tuż nad wodą, i dwa mniejsze, położone w pewnej odległości jeden od drugiego. Vis ~a vis tamy znajdowało się coś, co wyglądało na małe molo z muszlą koncertową. Napis na spaczonyj desce brzmiał: "Obozowisko Kilkare". Nic z tego nie rozumiałem, podszedłem więc do nie okorowanego domku i zapukałem.

Rąbanie ucichło. Męski głos zawołał coś zza węgła. Siadłem na wielkim kamieniu i obracałem w palcach nie zapalonyj papierosa. Właściciel wyszedł zza domku, trzymając w ręce siekiere. Kościsty, niezbyt wysoki, miał ogorzałą, pryszczatą, niedogoloną twarz, łagodne brązowe oczy i szpakowate kręcone włosy. Był w niebieskich drelichowych spodniach i niebieskiej koszuli, która odsłaniała ogorzałą, muskularną szyję. Idąc, za każdym razem wyrzucał prawą nogę trochę na zewnątrz, tak że zataczała niewielki łuk. Podszedł do mnie powoli, z papierosem zwisającym z grubych warg. Głos miał cywilizowany.

- Tak?

- Pan Haines?

- Zgadza się.

- Mam do pana liścik.

Wręczyłem mu kartkę od Meltona. Odrzucił siekiere na bok, zerknął spod oka na papier, potem zawrócił na pięcie i zniknął w domku. Wyszedł w okularach, czytając wiadomość.

- A, tak - powiedział - to od szefa.

Jeszcze raz przestudiował kartkę.

- Pan Dalmas? Jestem Bill Haines. Miło mi pana poznać.

Wymieniliśmy uścisk dłoni. Miał rękę twardą jak stalowe wnyki.

- Ma pan rzucić okiem na okolicę i obejrzeć domek Meltona? Co się stało? Mam nadzieję, że szef nie zamierza sprzedać domu?

Zapaliłem papierosa, a zapalke pstryknąłem do jeziora.

- Melton ma tu wszystko - czego dusza zapagnie - powiedziałem.

- Co racja, to racja. Ale pisze o domku...

- Chciał mi go pokazać. Mówi, że to cudo, nie domek.

Haines wskazał palcem.

- To tamten, ten duży. Ściany wykładane spilśnioną sekwoją i sękatą sośniną. Dach z gontów, kamienne fundamenty i ganki, łazienka, prysznic i ubikacja. Wyżej, na wzgórzu, ma zbiornik na wodę źródlaną. To naprawdę cudo, nie domek.

Popatrzyłem na to cudo, a potem znów na Hainesa. Oczy mu błyszczały, ale miał pod nimi worki i w ogóle wyglądał nieszczęśliwie.

- Chce pan tam pójść od razu? Przyniosę klucze.

- Jestem trochę zmęczony po długiej jeździe. Chętnie bym się czegoś napił, panie Haines.

Sprawiał wrażenie zainteresowanego, potrząsnął jednak tylko głową.

- Przykro mi, panie Dalmas, ale właśnie skończyła mi się butelka.

Oblizwał grube wargi i uśmiechnął się do mnie.

- Do czego służy koło młyńskie?

- Rekwizyt filmowy. Od czasu do czasu kręcą tu jakiś film. Te rzeczy na drugim końcu jeziora też zostały po filmie. Kręcili tam "Miłość wśród sosen". Resztę dekoracji rozebrano. Słyszałem, że film zrobił klapę.

- Naprawdę? Napije się pan ze mną?

Wyciągnąłem butelkę whisky.

- Z zasady nie odmawiam. Przyniosę szklanki.

- Pani Haines nie ma w domu?

Popatrzył na mnie chłodno.

- Nie ma - odparł bardzo powoli. - A czemu?

- Pytam z powodu alkoholu.

Rozluźnił się, ale jeszcze dłuższą chwilę nie spuszczał ze mnie oczu. Potem odwrócił się i powłócząc nogą, wszedł do domku. Wrócił zaraz, niosąc dwie szklaneczki, w jakich sprzedają wyszukane sery. Otworzyłem butelkę i nalałem po jednym. Usiedliśmy, Haines wyciągnął przed siebie prawą nogę, ze stopą nieco odchyłoną na zewnątrz.

- Dorobiłem się tego we Francji - powiedział pijąc. - Stary kuternoga Haines. Ale mam za to rentę, no i kobiet to nie odstrasza. Na pohybel prawu - dodał, wychylając toast.

Odstawiliśmy szklanki i obserwowaliśmy sójkę, która wspinała się na wysoką sosnę, skacząc z gałęzi na gałąź bez chwili przerwy dla złapania równowagi, jak człowiek, uciekający w górę schodami.

- Miły tu chłodek, ale samotnie - powiedział Haines. - Cholernie samotnie.

Patrzył na mnie z ukosa. O coś mu chodziło.

- Niektórym to odpowiada.

Sięgnąłem po szklanki i nadrobiłem moje wobec nich zaniedbania.

- To mi dokucza. Za dużo piję, bo mi to dokucza. Dokucza mi nocami.

Nic nie powiedziałem. Opróżnił szklaneczkę jednym haustem. W milczeniu podałem mu butelkę. Wysączył trzecią szklaneczkę, podniósł zuchowato głowę i oblizał wargi.

- Zabawne to, co pan mówił... o tym, czy mojej żony nie ma w domu...

- Myślałem tylko, że może powinniśmy z tą butelką przenieść się gdzieś dalej od domu.

- Aha. Pan jest przyjacielem Meltona?

- Znam go. Ale nie za blisko.

- Ta cholerna suka! - zachnął się nagle, z grymasem na twarzy.

Popatrzyłem na niego zdziwiony.

- Przez tę dziwkę straciłem Beryl! - oznajmił z goryczą. - Zachciało się jej nawet takiego kuternogi jak ja. Przez nią się upiłem i zapomniałem, że mam fajną żonkę, jak mało kto.

Czekałem w napięciu.

- On też diabła wart! Zostawić tu tego wycirusa samego. Nie muszę mieszkać w jego cholernym domku. Mogę żyć, gdzie mi się podoba. Mam swoją rentę. Rentę inwalidy wojennego.

- To całkiem przyjemne miejsce - stwierdziłem. - Niech się pan napije.

Posłuchał mojej rady, patrząc na mnie ze złością w oczach.

- To po prostu wstrętne miejsce - burknął. - Jak żona opuszcza faceta, a on nawet nie wie, gdzie ona się podziewa... może z jakimś innym gościem.

Zacisnął stalową pięść. Po chwili rozluźnił uścisk i nalał sobie do połowy. Butelka się kończyła. Wychylił szklankę jednym łykiem.

- Mówię do pana jak dziad do obrazu - poskarżył się - ale już mi wszystko jedno. Mam dość samotności. Wyszedłem na frajera, ale ja też jestem człowiekiem. Wyglądała - jak Beryl. Ta sama figura, takie same włosy, ten sam sposób chodzenia. U diabła, mogły być siostrami. Z jedną drobną różnicą - jeśli pan chwytasz.

Łypnął na mnie spod oka, coraz bardziej pijany.

Zrobiłem budzącą zaufanie minę.

- Byłem tam na wzgórzu, paliłem śmieci - rzucił naburmuszony, pokazując kierunek ręką. - Wyszła na tylny ganek w pizamie, która była przezroczysta jak celofan. W ręku trzymała dwie szklanki. Uśmiechała się do mnie, mrużąc te swoje łożkowe oczy. "Napij się,

Bill". Jasne, że się napiłem. Wypiłem dziewiętnaście kolejek. Myślę, że wie pan, co się potem stało.

- To samo, co przytrafiło się już wielu porządnym facetom.

- Zostawił ją tu samą, ten skurwysyn! A sam zabawia się w Los Angeles. I Beryl mnie porzuciła - w piątek będzie dwa tygodnie.

Zesztywniałem. Zesztywniałem tak, że czułem, jak po kolei tężeją mi wszystkie mięśnie. W piątek będzie dwa tygodnie - to znaczy tydzień przed zeszłym piątkiem. A zatem dwunastego sierpnia, w dniu, w którym pani Julia Melton wyjechała ponoć do El Paso, w dniu, w którym zatrzymała się w hotelu Olimpia u podnóża gór.

Haines odstawił pustą szklankę i sięgnął do zapinanej na guzik kieszeni koszuli. Podał mi wystrzępioną kartkę papieru. Rozłożyłem ją ostrożnie. Pisana była ołówkiem.

"Prędzej padnę trupem, niż będę dalej żyła z tobą, ty podły oszuście. - Beryl". I nic więcej.

- To nie była pierwsza zdrada - powiedział Haines, chichocząc rubasznie. - Ale pierwszy raz mnie przyłapała.

Zarechotał. Zaraz jednak znów spochmurniał. Oddałem mu kartkę, schował ją i zapiął kieszeń.

- Po co ja to panu opowiadam? - burknął.

Sójka zrugła pstrego dziecięcia, a ten zaskrzeczał na nią zupełnie jak papuga.

- Jest pan samotny - stwierdziłem. - Powinien pan wreszcie zrzucić ten ciężar. Niech pan się jeszcze napije. Ja już mam dość. Był pan poza domem tego wieczoru, kiedy żona odeszła?

Pokiwał smętnie głową i siedział z butelką między nogami.

- Pokłóciliśmy się i pojechałem na północny brzeg do kumpla. Czułem się jak kozi bobek. Musiałem sobie poprawić humor i trochę się napić. Tak też zrobiłem. Wróciłem może o drugiej nad ranem - kompletnie ululany. Ale zaparkowałem zgrabnie, sprawowałem się cichutko jak mysz pod miotłą. Tymczasem jej już nie było. Zostawiła tylko tę kartkę.

- To było tydzień przed zeszłym piątkiem, tak? I od tego czasu nie dała znaku życia?

Byłem trochę za bardzo dociekliwy. Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale zaraz się rozchmurzył. Łyknął z butelki, a potem przyjrzał się jej pod słońce.

- Człowieku, koniec już blisko - powiedział. - A tamta też się zmyła.

Pokazał kciukiem na drugą stronę jeziora.

- Może się pobiły - dodał.

- A może pojechały razem.

Zaśmiał się ochryple.

- Nie zna pan mojej małej Beryl. Straszna z niej tygrysica, jak już się zdenerwuje.

- Zdaje się, że pod tym względem jedna warta drugiej. Czy pańska żona miała samochód? No bo przecież pan był wtedy samochodem.

- Mamy dwa fordys. Mój ma sprzęgło i hamulec po lewej stronie, pod dobrą nogą. Ona pojechała swoim.

Wstałem, podszedłem do brzegu jeziora i wrzuciłem niedopałek. Woda była granatowa, sprawiała wrażenie głębokiej. Najwyraźniej przybrała od wiosennych powodzi i w niektórych miejscach sięgała szczytu tamy.

Wróciłem do Hainesa. Dopijał ostatnich kropli whisky.

- Musimy zdobyć więcej gorzały - rzucił ochryple. - Ma pan u mnie flaszkę. Sam pan prawie nic nie wypił.

- Piłem tam, gdzie kupiłem butelkę - uspokoiłem go. - Jeśli pan pozwoli, chciałbym teraz obejrzeć domek.

- Jasne. Pójdziemy naokoło jeziora. Nie ma mi pan za złe tej gadaniny o Beryl?

- Czasem trzeba powiedzieć, co się ma na wątrobie - stwierdziłem. - Moglibyśmy pójść tamą. Oszczędziłby pan sobie chodzenia.

- Nie, do diabła. Dobry ze mnie piechur, choć na takiego nie wyglądam. A od miesiąca nie obchodziłem jeziora.

Wstał, wszedł do domku i wrócił po chwili z pękiem kluczy.

- Chodźmy.

Ruszyliśmy w stronę drewnianego mola i muszli koncertowej na odległym krańcu jeziora. Blżej wody wiła się wśród dużych granitowych głazów wąska ścieżka. Nieco wyżej i dalej była zwykła polna droga. Haines szedł powoli, zarzucając prawą nogą. Był przygnębiony, wypił dość, żeby się pogrążyć w swoim własnym świecie. Prawie wcale nie rozmawialiśmy. Dotarliśmy do mola i weszliśmy na nie. Haines człapał za mną, drewniana noga głucho dudniła. Doszliśmy do końca, omijając niewielką muszlę koncertową, i oparliśmy się o sfatygowaną ciemnozieloną poręcz.

- Nie ma tu ryb? - spytałem.

- Jasne, że są. Pstrągi, okonie. Nie przepadam za rybami. Myślę, że jest ich aż za dużo.

Wychyliłem się i popatrzyłem w nieruchomą, głęboką wodę. Jej powierzchnia zawirowała, zamajaczył jakiś zielonkawy kształt i znikł pod mołem. Haines także się

pochylił. Utkwił wzrok w głębinie. Molo było solidnie zbudowane, miało podwodny podest, szerszy od górnej części, tak jakby poziom wody przypadał kiedyś znacznie niżej i do tego podwodnego dziś podestu przybijały łodzie. Teraz jedna, z płaskim dnem, kołysała się na wystrzępionym sznurze.

Haines chwycił mnie za ramię. Mało nie krzyknąłem. Jego palce wczepiły mi się w ramię, jak żelazne szczęki. Spojrzałem na niego. Stał pochylony, gapił się z rozdziawioną gębą, bardzo blady i spocony. Poszedłem za jego wzrokiem.

Spod podwodnego podestu coś, co z grubsza przypominało ludzką rękę w ciemnym rękawie, pomachało nam ospale, potem zawahało się i znikło pod mokrymi deskami.

Haines wyprostował się powoli, oczy miał nagle trzeźwe i pełne lęku. Bez słowa odwrócił się do mnie plecami i ruszył ku brzegowi jeziora. Podszedł do kupy głazów, pochylił się i nateżył. Dobięło mnie jego ciężkie dyszenie. Obluzował jeden z głazów i prostował się z trudem. Dźwignął głaz do wysokości piersi. Musiał chyba ważyć ze sto funtów. Haines wkroczył z nim powoli na molo, pomimo kulawej nogi, doszedł do poręczy i uniósł nad głowę. Stał tak przez chwilę, mięśnie pod niebieską koszulą miał napięte jak postronki. Wydał jakiś rozpaczliwy dźwięk, potem zachwiał się całym ciałem, a wielki głaz runął do wody.

Bryznęło wyżej naszych głów. Głaz przeciął wodę i zdruzgotał krawędź podwodnej konstrukcji. Fale szybko się rozchodziły, woda bulgotała. Usłyszeliśmy głuchy odgłos pękających pod powierzchnią desek. Fale wędrowały coraz dalej, woda przed naszymi oczyma zaczęła się uspokajać. Jakaś zbutwiała deska wyskoczyła nieoczekiwanie z głębin, znów się zanurzyła z cichym kłasknięciem i odpłynęła.

Woda powoli odzyskiwała przezroczystość. Coś w niej pływało. To długie, ciemne, poskręcane coś wynurzało się powoli, obracając się wokół własnej osi. Wreszcie wychynęło na powierzchnię. Ujrzałem pociemniały od brudu materiał - sweter, spodnie. Ujrzałem buty oraz coś bezkształtnego, napuchłego, co sterczało z tych butów. Ujrzałem smugę jasnych włosów, unoszoną przez wodę i na mgnienie oka znieruchomiałą.

Rzecz się obróciła, ręka pacnęła o wodę - dłoń nie przypominała już ludzkiej dłoni. Pojawiła się twarz. Nabrzmiała, papkowata, białoszara masa wzdętego ciała, bez rysów, bez oczu, bez ust. Coś, co kiedyś było twarzą. Haines nie odrywał od niej wzroku. W okolicy szyi zobaczyliśmy zielone kamyki. Prawa dłoń Hainesa zacisnęła się na poręczy, mimo ogorzałej, twardej skóry knykcie miał białe jak śnieg.

- Beryl!

Jego głos dobiegł do mnie z bardzo daleka, jakby zza wzgórza, zza gęstego lasu.

IV. Kobieta w jeziorze

W oknie duża biała kartka oznajmiała drukowanymi literami: "Tinchfield nadal posterunkowym"

W głębi znajdowała się wąska lada, na której leżały sterty zakurzonych prospektów. Na oszklonych drzwiach napisano czarnymi literami: "Dowódca policji. Dowódca straży ogniowej. Urząd miejski. Izba handlowa. Proszę wejść".

Wszedłem do czegoś, co okazało się jednoizbową drewnianą chatą z pękatym piecem w kącie, zaśmieconym biurkiem z wysuwającym blatem, dwoma twardymi krzesłami i ladą. Na ścianie wisiały: duża urbanistyczna mapa terenu, kalendarz i termometr. Obok biurka ktoś pracowicie wyrył w drewnie dużymi cyframi kilka numerów telefonicznych.

Za biurkiem, rozparty w staromodnym obrotowym krześle, siedział mężczyzna w zsuniętym na tył głowy stetsonie z płaskim rondem. Koło prawej nogi ustawił sobie wielką spluwaczkę, Duże, nie owłosione ręce zaplótł wygodnie na brzuchu. Miał brązowe spodnie na szelkach, spłowiałą i mocno spraną brązową koszulę zapiętą tuż pod grubą szyją, był bez krawata. O ile mogłem dojrzeć jego włosy, były mysiobrazowe, tylko na skroniach białe jak śnieg. Na lewej piersi widniała gwiazda. Siedział raczej na lewym niż na prawym pośladku, z prawej strony nosił bowiem skórzaną kaburę z wetkniętym w nią dużym czarnym pistoletem.

Oparłem się na ladzie i obserwowałem mężczyznę. Miał duże uszy, przyjazne szare oczy i w ogóle sprawiał wrażenie, że byle dziecko może go okpić.

- Czy pan Tinchfield?

- Tak. Całe prawo w tym miasteczku to ja, przynajmniej do wyborów. Kilku fajnych chłopaków startuje przeciwko mnie i jak im się uda, to mnie wykurzą.

Westchnął.

- Czy jezioro Little Fawn podlega pańskiej jurysdykcji?

- Co to ma znaczyć, synu?

- Jezioro Little Fawn, daleko w górach. To też pana rejon?

- Aha. Myślę, że tak. Jestem zastępcą szeryfa. Ale nie było już miejsca na drzwiach.

Z żalem spojrział w ich stronę.

- To wszystko moje tereny. Coś się tam stało? U Meltonów?

- W jeziorze jest trup kobiety.

- O la, la.

Rozplótł dłonie, podrapał się w ucho i ociężale wstał. Był wielkim, potężnym mężczyzną. Okazało się, że jego tusza to tylko dobrotliwy charakter.

- A więc trup? Kto to taki?

- Żona Billa Hainesa, Beryl. Przypuszczalnie samobójstwo. Dość długo była w wodzie, szeryfie. Nieprzyjemny widok. On mówi, że go porzuciła dziesięć dni temu. Sądzę, że wtedy to zrobiła.

Tinchfield pochylił się nad spluwaczką i pozbył się sporej ilości gąbczastej, brązowej masy. Pacnęła cicho o dno naczynia. Szeryf oblizwał wargi i wytarł je wierzchem dłoni.

- A kim ty jesteś, synu?

- Nazywam się John Dalmas. Przyjechałem z Los Angeles z listem pana Meltona do Hainesa, żeby obejrzeć jego posiadłość. Obchodziliśmy razem jezioro, potem weszliśmy na małe molo, które tam kiedyś zbudowali filmowcy. Zobaczyliśmy coś w wodzie u naszych stóp. Haines wrzucił duży głaz i ciało wypłynęło. Nieprzyjemny widok, szeryfie.

- Haines tam został?

- Tak. Ja przyjechałem do miasteczka, bo on mocno się tym przejął.

- Nie dziwota, synu.

Tinchfield otworzył szufladę biurka i wyjął butelkę whisky. Wsunął ją za pazuchę i starannie zapiął koszulę.

- Pojedziemy po doktora Menziesa - powiedział. - I po Paula Loomisa.

Spokojnie okrążył ladę. Cała ta sytuacja nie zrobiła na nim wrażenia większego niż brzęcząca mucha.

Wyszliśmy. Szeryf najpierw nastawił tabliczkę zegarową, wiszącą na szybie, tak żeby wskazywała: "Wracam o szóstej". Potem zamknął drzwi i wsiadł do samochodu wyposażonego w syrenę, dwa czerwone reflektory, dwa żółte światła przeciwmgielne, białą_czerwoną plaketkę straży pożarnej i liczne napisy, których nie chciało mi się czytać.

- Poczekaj tu, synu. Migiem będę z powrotem.

Zawrócił w miejscu, pojechał drogą wiodącą w stronę jeziora i zatrzymał się przed drewnianym domkiem vis_~a_vis stacji. Po chwili wyszedł z niego z wysokim, chudym mężczyzną. Potem samochód wolno zbliżył się do mnie i zawrócił, a ja opadłem na tylne siedzenie. Jechaliśmy przez miasteczko, mijając dziewczęta w szortach i mężczyzn w kąpielówkach lub w szortach, gołych do pasa i opalonych. Tinchfield używał klaksonu, ale nie włączył syreny. Nie chciał, żeby ruszył za nim cały sznur samochodów. Wjechaliśmy na piaszczyste wzgórze i zatrzymaliśmy się przed niewielkim domkiem. Szeryf nacisnął klakson i zawołał. Drzwi otworzył mężczyzna w niebieskim dresie.

- Wsiadaj, Paul.

Ten w dresie kiwnął głową, znikł w domku i wynurzył się po chwili w brudnym kapeluszu myśliwego z tropików na głowie. Wróciliśmy do szosy, potem skręciliśmy w polną drogę i dojechaliśmy do bramy na początku prywatnej drogi dojazdowej. Mężczyzna w dresie wysiadł, otworzył bramę i zamknął ją, kiedy samochód przejechał.

Gdyśmy dotarli do jeziora, z komina domku Hainesa nie unosił się już dym. Wysiedliśmy.

Doktor Menzies miał kanciastą żółtawą twarz, małe oczka i palce poplamione nikotyną. Gość w dresie i tropikalnym kapeluszu, mniej więcej trzydziestoletni, był ogorzały, gibki, sprawiał wrażenie niedożywionego.

Podeszliśmy na skraj jeziora i spojrzeliśmy w stronę mola. Bill Haines siedział na deskach, golusienki, z twarzą ukrytą w dłoniach. Coś leżało obok niego.

- Możemy cały kawał podjechać - powiedział Tinchfield. Wróciliśmy do samochodu. Podjechaliśmy, a następnie gromadką zeszliliśmy do samego mola.

To, co kiedyś było kobietą, spoczywało twarzą do podłogi mola, ze sznurem pod pachami. Obok leżało ubranie Hainesa. Kawałek dalej połyskiwała skórzanymi i metalowymi częściami jego sztuczna noga. Nie mówiąc słowa, Tinchfield wyciągnął zza pazuchy butelkę whisky, otworzył i wręczył Hainesowi.

- Łyknij sobie, Bill - rzucił niedbale.

W powietrzu unosił się okropny, mdły zapach. Haines sprawiał wrażenie kogoś, kto nic nie czuje, podobnie zresztą Tinchfield i Menzies. Loomis przyniósł z samochodu koc, przykrył nim zwłoki, a potem wraz ze mną wycofał się z mola.

Haines łyknął z butelki, a następnie rozejrzał się martwym wzrokiem. Wetknął flaszkę między zdrową nogę a kikut i zaczął mówić, martwym gosem, nie patrząc na nikogo ani na nic. Powoli opowiedział wszystko, co już przedtem od niego usłyszałem. Dodał, że kiedy pojechałem do miasteczka, on wziął sznur, rozebrał się, wszedł do wody i wyciągnął ciało. Kiedy skończył relację, gapił się po prostu w drewniane belki, nieruchomy jak posąg.

Tinchfield włożył do ust prymkę i przez chwilę ją żuł. Potem mocno zacisnął zęby, pochylił się i obrócił zwłoki, ostrożnie, jakby z obawą, że mu się w rękę rozleczą. Późne słońce oświetliło naszyjnik z zielonych kamieni, który zauważyłem w wodzie. Lekko oszlifowane i bez połysku, wyglądały na steatyty. Spinał je złoty łańcuszek. Tinchfield wyprostował swe potężne plecy i z hałasem wydmuchał nos w brązową chusteczkę.

- Co ty na to, doktorze?

Menzies miał ostry, wysoki, nieprzyjemny głos.

- Co u diabła, chcesz, żebym ci powiedział?
- Przyczyna i czas zgonu.
- Nie strugaj wariata, Jim - zachnął się doktor.
- Nic się nie da powiedzieć?
- Patrząc na to? Dobry Boże!

Tinchfield westchnął i obrócił się do mnie.

- Gdzie było ciało, gdy je zobaczyliście po raz pierwszy?

Powiedziałem mu. Słuchał, przerwawszy żucie, z oczyma bez wyrazu. Kiedy skończyłem, znów zaczął żuć.

- Zabawne miejsce. Nie ma tu prądu. A gdyby był, to raczej w stronę tamy. Bill Haines wstał na jednej nodze, podskoczył do swojego ubrania i przypiął sobie drugą nogę. Ubierał się powoli, nieporadnie, naciągając koszulę na mokre ciało. Znów przemówił, na nikogo nie patrząc.

- Zrobiła to sama. Na pewno. Wpłynęła pod belki i opiła się wody. Albo się zaplątała. Musiała. Nie mogło być inaczej.

- A jednak mogło, Bill - powiedział cicho Tinchfield, patrząc w niebo.

Haines pogmerał przy koszuli i wyciągnął wystrzępioną kartkę. Wręczył ją szeryfowi. Wszyscy zgodnie odsunęliśmy się od ciała. Potem Tinchfield wrócił po swoją butelkę i schował ją za pazuchę. Podszedł do nas, kolejny raz czytając kartkę.

- Nie ma tu daty. Mówisz, że to było parę tygodni temu?

- W piątek będzie dwa tygodnie.

- Ona już raz kiedyś od ciebie odeszła?

- Tak - odparł Haines, nie patrząc na szeryfa. - Dwa lata temu. Upiłem się i miałem cholernego kaca.

Zaśmiał się dziko.

Tinchfield raz jeszcze spokojnie przeczytał kartkę.

- Zostawiła ją tym razem? - spytał.

- Kapuję - warknął Haines. - Nie musisz mówić dalej.

- Kartka jest dość stara - zauważył łagodnie szeryf.

- Noszę ją w kieszeni od dziesięciu dni - ryknął kuternoga i znów dziko się zaśmiał.

- Co cię tak cieszy, Bill?

- Czy próbowałeś kogoś wciągnąć pod wodę na głębokość sześciu stóp?

- Nigdy, Bill.

- Pływam dość dobrze, jak na faceta bez nogi. Ale nie tak dobrze.

Tinchfield westchnął.

- To nic nie znaczy, Bill. Może użyto sznura. Może obciążono ją kamieniem albo dwoma kamieniami, głowę i nogi. Jak już się znalazła pod podestem, sznur można było wyciągnąć. Technicznie to możliwe, synu.

- Jasne. Ja to zrobiłem - powiedział Haines i wybuchł śmiechem. - Ja zabiłem Beryl. Wsadźcie mnie do ciupy, skurwysyny!

- Mam taki zamiar - oznajmił łagodnie Tinchfield. - W celu przesłuchania. Na razie bez stawiania zarzutu. Mogłeś to zrobić, Bill. Nie mów mi, że nie. Nie twierdzą wcale, że to zrobiłeś. Twierdzą tylko, że mogłeś.

Haines otrzeźwiał równie szybko, jak się przedtem załamał.

- Była ubezpieczona? - spytał szeryf, patrząc w niebo.

- Pięć tysięcy - odparł Haines. - To wystarczy. Będę wisiał. A niech tam. Chodźmy.

Tinchfield odwrócił się z wolna do Loomisa.

- Pójdź do domku, Paul, i przynieś kilka koców. A potem musimy wszyscy wlać w siebie trochę whisky.

Loomis ruszył okrążając jezioro drogą w stronę domku Hainesa. My zaś po prostu staliśmy. Haines popatrzył na swoje brązowe ręce i mocno zacisnął pięści. Potem bez słowa wyprostował prawą ręką i zadał sobie potężny cios w twarz.

- Ty skurwysynu! - szepnął ochryple.

Z nosa puściła mu się krew. Stał bezradnie. Krew spływała do ust, wzdłuż warg i na podbródek. Stamtąd powoli kapała na ziemię.

To mi przypomniało coś, o czym byłbym zapomniał.

V. Złoty łańcuszek

Zadzwoiłem do Howarda Meltona, do jego domu w Beverly Hills, godzinę po zachodzie słońca. Dzwoniłem z małego urzędu telefonicznego na bocznej uliczce Puma Point. Ledwie co było słycać z powodu łoskotu kalibru 22 na strzelnicy, tumultu tańczących narciarzy, buczenia wymyślnych klaksonów oraz skalmrzenia muzyki country w sali restauracyjnej hotelu Pod Głową Indianina.

Kiedy telefonistka połączyła się z Meltonem, pozwoliła mi rozmawiać z biura naczelnika. Zamknąłem za sobą drzwi, zasiadłem przy niewielkim biurku i podniosłem słuchawkę.

- Coś pan znalazł? - usłyszałem jego głos, nieco zachrypnięty, jak po trzech szklaneczkach whisky?

- Nie to, czego szukałem. Zdarzyło się jednak coś, co pana nie uraduje. Przełknij pan to, czy mam podać w opłatku?

Usłyszałem, jak chrząknął. Poza tym z jego pokoju nie dobiegały żadne dźwięki.

- Przełknę - zapewnił solennie.

- Bill Haines utrzymuje, że pańska żona przystawiała się do niego - i że dopięła swego. Upili się obydwójce tego ranka, kiedy ona wyjeżdżała znad jeziora. Haines pokłócił się potem z tego powodu z żoną, a następnie pojechał na północny brzeg jeziora Puma, żeby się upić na dobre. Wrócił koło drugiej nad ranem. To znaczy - powtarzam panu to, co mi powiedział.

Czekałem.

- Słyszałem - zabrzmiał w słuchawce głos Meltona - niech pan kontynuuj, panie Dalmas.

Był to głos bezbarwny, płaski jak dachówka.

- Kiedy wrócił do domu, obu kobiet nie było. Jego Beryl zostawiła kartkę, w której napisała, że woli umrzeć niż żyć dalej z takim oszustem. Od tego czasu nie widział jej - aż do dziś.

Melton znów chrząknął. Zaskrzeczało mi to w uchu. Na linii były szумы i trzaski. Włączyła się telefonistka, a ja powiedziałem jej, żeby poszła do fryzjera. Po tym interludium odezwał się Melton.

- Haines opowiedział to wszystko panu, obcemu?

- Miałem ze sobą alkohol. A on lubi wypić, a poza tym już mu doskwierało milczenie. Alkohol usunął wszelkie przeszkody. Ale to nie koniec. Mówiłem, że nie widział

żony aż do dziś. Dziś właśnie wypłynęła z waszego jeziora. Niech pan zgadnie, czy ładnie wygląda.

- Dobry Boże! - zawołał Melton.

- Tkwiła pod drewnianym podestem mola, które zbudowali filmowcy. Tutejszemu posterunkowemu, Jimowi Tinchfieldowi, niezbyt się to podoba. Przymknął Hainesa. Zdaje się, że pojechali do prokuratora okręgowego w San Bernardino, no i zrobić sekcję i co tam trzeba.

- Tinchfield myśli, że Haines ją zabił?

- Przypuszcza, że mogło się tak zdarzyć. Ale on nie mówi wszystkiego, co myśli. Haines dał pokaz aktu skruchy, ale Tinchfield tego nie kupił. Zdaje się, że wie o nim trochę więcej niż ja.

- Czy zrobił rewizję w domku Hainesa?

- Za mojej tam bytności nie. Może później.

- Rozumiem.

Głos miał teraz zmęczony, zużyty.

- To niezły kąsek dla prokuratora tuż przed wyborami - stwierdziłem. - Ale nie dla nas. Jeśli zostanę wezwany na przesłuchanie, będę musiał ujawnić, pod przysięgą, swój zawód. A wtedy muszę powiedzieć, co mnie tam sprowadziło, choćby ogólnikowo. To zaś znaczy, że pan zostanie w tę sprawę wmieszany.

- Zdaje się - powiedział sucho Melton - że i tak już jestem. Jeśli moja żona...

Przerwał i zaklął. Potem milczał przez dłuższy czas. Słyszałem zakłócenia na linii i jakieś głośniejsze trzaski, jakby grzmoty w górach, przez które wiodła linia.

- Beryl Haines - powiedziałem w końcu - miała swojego forda. Bo ford Billa był przerobiony, żeby można było posługiwać się tylko lewą nogą. Tamten samochód znikł. A jej kartka wcale mi nie wygląda na pożegnanie przed samobójstwem.

- Co pan teraz zamierza?

- Mam wrażenie, że w tej robocie co chwila ktoś mnie kieruje na boczny tor. Może wrócę jeszcze dzisiejszej nocy do Los Angeles. Czy mogę do pana zajrzeć?

- O dowolnej porze - odparł. - Będę w domu przez cały wieczór i całą noc. Niech pan śmiało wpada. Nie przypuszczałem, że Haines to facet tego pokroju.

- Ale wiedział pan, że pańska żona ma okresy picia, a mimo to zostawił ją pan tam samą.

- Na miły Bóg - ciągnął, jakby mnie nie słyszał. - Mężczyzna z drewnianą nogą...

- Zostawmy ten wątek - zachnąłem się. - I tak sprawa jest dość zabagniona. Do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę, przeszedłem do okienka i zapłaciłem panience za rozmowę. Potem dotarłem do głównej ulicy i wsiadłem do swojego samochodu, który stał przed drugstore. Na ulicy panoszyły się jaskrawe neony, blichtr i hałas. W suchym górskim powietrzu każdy dźwięk niósł się milami. Słyszałem, co mówią ludzie na trzeciej przecznicy. Wysiadłem z samochodu, kupiłem kolejną butelkę i ruszyłem w drogę.

Kiedy znalazłem się w miejscu, w którym droga do jeziora Little Fawn odbijała od szosy, zjechałem na pobocze, by zebrać myśli. Później skręciłem w stronę gór, drogą, która wiedzie do domku Meltona.

Brama na prywatnej drodze była teraz zamknięta na kłódkę. UKryłem samochód w krzakach, przedostałem się przez bramę, a potem przemykałem się poboczem drogi, aż u moich stóp nagle zabłysły gwiazdy w jeziorze. Domek Hainesa był pogrążony w mroku, a te po drugiej stronie jeziora odcinały się od zbocza ciemniejszymi plamami. Śmieszne stare koło młyńskie tkwiło osamotnione przy tamie. Nadśluchiwałem - cisza absolutna. W górach nie ma nocnych ptaków.

Podszedłem na palcach do domku Hainesa i nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Obszedłem go i stwierdziłem, że tylne drzwi też są zamknięte. Skradałem się wokół domku jak kot po mokrej podłodze. Próbowałem pchnąć jedyne okno. Również zamknięte. Przez chwilę nadśluchiwałem bez najmniejszego ruchu. Okno nie było zbyt szczelne. W górskim powietrzu drewno szybko się rozsycha i paczy. Wetknąłem nóż między oba skrzydła, otwierające się, jak zwykle w domkach letniskowych, do wewnątrz. Nie było zabezpieczenia. Oparłem się o ścianę domku i patrząc na połyskujące jezioro, łyknąłem whisky. To mi dodało odwagi. Odstawiłem butelkę i znalazłem duży kamień, którym uderzyłem w ramę okienną, nie tłukąc szyby. Wspiąłem się na parapet i wskoczyłem do domku.

Latarka zaświeciła mi prosto w oczy.

- Na twoim miejscu oszczędziłbym sobie zbędnych ruchów, synu - powiedział spokojny głos. - Musisz być cholernie zmęczony.

Strumień światła przyspilił mnie na chwilę do ściany, potem pstryknął wyłącznik i w pokoju rozbłysło normalne światło. Latarka zgasła. Tinchfield siedział spokojnie w skórzanym klubowym fotelu, obok stołu, z którego bezsensownie zwisał szal z brązowymi frędzlami. Był ubrany tak samo jak po południu, tylko włożył jeszcze brązową wełnianą bluzę. Powoli poruszał szczękami.

- Ci filmowcy doprowadzili tu prąd z odległości ponad dwóch mil - powiedział w zamyśleniu. - Niezły prezent dla mieszkańców. No dobrze, o co ci chodzi, synu - jeśli pominąć najście z włamaniem?

Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem i rozejrzałem się po wnętrzu domku. Pokój był mały, kwadratowy, z małżeńskim łóżem, zszytym z kawałków dywanem i skromnym umeblowaniem. Przez otwarte drzwi w głębi widać było róg pieca kuchennego.

- Miałem pewien pomysł - stwierdziłem. - Ale teraz, gdy tu siedzę, wydaje mi się, że był kiepski.

Tinchfield przytaknął, a jego oczy patrzyły na mnie badawczo, bez urazy.

- Słyszałem twój samochód - powiedział. - Wiedziałem, że jesteś na prywatnej drodze i że się zbliżasz. Przyznaję, że umiesz cicho chodzić. Nie posłyszałem ani jednego kroku. Budzisz moje zainteresowanie, synu.

- Dlaczego?

- Czy nic ci nie ciąży pod lewą pachą?

Uśmiechnąłem się do niego.

- Spróbuję wyjaśnić - rzuciłem.

- No dobrze, możesz się specjalnie nie przejmować tym wyważonym okienkiem. Jestem człowiekiem tolerancyjnym. Spodziewam się, że masz pozwolenie na noszenie broni sześciopalcowej, co?

Sięgnąłem do kieszeni i położyłem mu na grubym kolanie rozłożony portfel. Wziął dokumenty, przysunął się do światła i uważnie obejrzał licencję w celuloidowym etui. Potem zwrócił mi portfel.

- Domyślam się, że interesuje cię Bill Haines. Jesteś prywatnym detektywem, co? No dobrze, jesteś odpowiednio solidnej budowy, a twoja twarz umie milczeć. Sam się trochę martwię o Billa. Chciałeś przeszukać domek?

- Miałem taki zamiar.

- Z mojej strony nie ma przeszkód, ale to chyba nie jest konieczne. Już się tutaj dokładnie rozejrzałem. Kto cię wynajął?

- Howard Melton.

Przez chwilę żuł w milczeniu.

- Mogę spytać w jakim celu?

- Żeby odszukać jego żonę. Zwiłała mu dwa tygodnie temu.

Tinchfield zdjął stetsona z płaskim dnem i zmierzwił włosy. Potem wstał, odsunął zasuwę i otworzył drzwi. Znowo usiadł i patrzył na mnie w milczeniu.

- Meltonowi zależy na uniknięciu rozgłosu - powiedziałem. - Z powodu pewnej przypadłości żony obawia się, że może stracić pracę.

Szeryf patrzył na mnie, nie mrugając powiekami. W żółtym świetle lampy jego twarz wyglądała jak spiżowy posąg.

- Nie mam na myśli alkoholu ani Billa Hainesa - dodałem.

- Wszystko to wcale nie wyjaśnia dlaczego chciałeś rewidować domek Billa - odparł łagodnie.

- Po prostu lubię sobie powęszyć.

Przez dłuższy czas ani drgnął, jakby się zastanawiał, czy sobie z niego kpię, czy nie, a jeśli tak, to czy ma się obrazić.

- Może to cię ździebko zainteresuje, synu? - powiedział w końcu.

Wyjął złożony kawałek gazety z ukośnej kieszeni bluzy i rozpostarł go na stole, pod lampą. Podszedłem i rzuciłem okiem. Na gazecie leżał cienki złoty łańcuszek z miniaturowym zameczkiem. Łańcuszek był przecięty szczypcami. Zameczek pozostał zamknięty. Łańcuszek miał może cztery, najwyżej pięć cali, a zapięcie nie było od niego dużo grubsze. Na łańcuszku i na gazecie zauważyłem ponadto niewielką ilość białego proszku.

- Czy zgadniesz, gdzie to znalazłem, synu? - spytał Tinchfield.

Polizałem palec, dotknąłem białego proszku i spróbowałem.

- W worku z mąką. Tutaj, w kuchni. To łańcuszek na nogę. Niektóre kobiety noszą coś takiego, nigdy nie zdejmując. Ten, kto to zrobił, nie miał kluczyka.

Tinchfield spojrzał na mnie łaskawym okiem. Rozpierał się w fotelu, gładząc potężną dłonią kolano, i uśmiechał się lekko w stronę sosnowego sufitu. Skręciłem w palcach papierosa i usiadłem.

Szeryf zawinął łańcuszek w gazetę i schował do kieszeni.

- No dobrze, myślę, że to by było na tyle - chyba, że chcesz przeprowadzić rewizję w mojej obecności.

- Nie - oznajmiłem.

- Zdaje się, że teraz każdy z nas będzie musiał przemyśleć tę sprawę od nowa.

- Pani Haines miała swoje auto, tak mówi Bill. Forda.

- Aha. Niebieskie coup~e. Stoi kawałek od drogi, ukryte pośród skał.

- To wszystko niezbyt mi wygląda na zaplanowane morderstwo.

- Nie przypuszczam, żeby coś tu było planowane, synu. Spadło to na niego nagle. Może ją udusił, a ręce to on ma mocne jak nie wiem co. No i został z ciałem, którego musiał

się pozbyć. Zrobił to w najlepszy sposób, na jaki tylko mógł wpaść, a jak na kuternogę - cholernie dobrze.

- Auto nasuwa raczej myśl o samobójstwie - powiedziałem. - Zaplanowanym samobójstwie. Zdarza się, że ludzie popełniają samobójstwo tak, żeby rzucić podejrzenie o morderstwo na kogoś, kto im dopiekl. W takim wypadku nie odjeżdżałaby daleko samochodem, bo musiała wrócić.

- Tak samo Bill. Zresztą byłoby mu diabelnie trudno prowadzić ten wóz, skoro normalnie prowadzi, posługując się lewą nogą.

- Pokazał mi tę kartkę od Beryl, zanim znaleźliśmy ciało - stwierdziłem. - A poza tym to ja chciałem wejść na molo.

- Moglibyśmy pracować wspólnie, synu. No dobrze, zobaczymy. Bill to w gruncie rzeczy dobry chłop - choć ci weterani na mój gust domagają się zbyt wielu przywilejów. Niektórzy posiedzieli trzy tygodnie w obozie szkoleniowym, a zachowują się, jakby odnieśli po dziewięć ran. Bill musiał mieć wielki sentyment do tego kawałka łańcuszka, który znalazłem w mące.

Wstał, podszedł do otwartych drzwi i splunął w mrok.

- Mam sześćdziesiąt dwa lata - rzucił przez ramię - widziałem facetów, którzy robili najrozmaitsze zabawne rzeczy. Powiem wprost, że skakanie w ubraniu do zimnej wody, nurkowanie pod deski mola, a potem umieranie z rozpacz - to dość zabawne. Z drugiej strony, skoro już wyjawiam ci swoje tajemnice, synu, mimo że ty mi nic nie mówisz, dodam, że musiałem parę razy przemawiać Billowi do rozsądku, kiedy po pijanemu tłukł żonę. Nie wypadnie to dobrze przed sądem przysięgłych. A jeśli w dodatku ten łańcuszek pochodzi z łydki Beryl Haines, to samo to wystarczy, żeby go zaprowadzić do tej uroczej nowiutkiej komory gazowej, którą zmajstrowali na północy. A wtedy ty i ja możemy się zbierać do domu, synu.

Wstałem.

- I nie pal papierosa na szosie - dodał. - To wbrew obowiązującym tutaj przepisom.

Schowałem nie zapalonego papierosa do kieszeni i wyszedłem w noc. Tinchfield zgasił lampę, zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni.

- Gdzieś się zatrzymał, synu?

- Pojadę do Olimpii w San Bernardino.

- To przyjemne miejsce, ale nie mają tam takiego mikroklimatu, jak my tutaj. Za gorąco.

- Lubię, jak jest gorąco.

Doszliśmy do drogi i Tinchfield skręcił w prawo.

- Mój wóz stoi bliżej brzegu jeziora. Życzę ci dobrej nocy, synu.

- Dobranoc, szeryfie. Nie przypuszczam, żeby on ją zamordował.

Szeryf już odchodził. Nawet się nie obejrzał.

- Cóż, zobaczymy - powiedział spokojnie.

Doszedłem do bramy, przedostałem się przez nią, znalazłem swój samochód i ruszyłem wąską drogą, mijając wodospad. Na szosie skręciłem na zachód, w stronę tamy i wjazdu do doliny.

Po drodze doszedłem do wniosku, że mieszkańcy okolic jeziora Puma popełnią poważny błąd, jeśli ponownie nie wybiorą Tinchfielda na posterunkowego.

VI. Melton zaciera ślady

Minęło w pół do jedenastej, kiedy dotarłem do wjazdu do doliny. Zaparkowałem samochód w jednej z poprzecznych zatoczek przed samym hotelem Olimpia w San Bernardino i wyciągnąłem z bagażnika torbę podróżną. Zdążyłem wejść za ledwie na trzeci lub czwarty schodek, gdy wyjął mi ją z ręki hotelowy boy w spodniach z galonami, białej koszuli i czarnym krawacie.

W recepcji dyżurował łysy mężczyzna, którego moja osoba zupełnie nie zainteresowała. Wpisałem się do księgi.

Razem z boyem wjechaliśmy malutką windą na pierwsze piętro i ruszyliśmy korytarzem, skręcając raz i drugi. W miarę jak szliśmy, robiło się coraz bardziej gorąco. Wreszcie boy otworzył drzwi do małego, jakby dziecinnego pokoju z jednym oknem, wychodzącym na szyb wentylacyjny.

Boy, wysoki, szczupły, żółty na twarzy i opanowany jak porcja kurczaka w galarecie, przesunął językiem gumę w ustach, umieścił moją torbę na krześle, otworzył okno i stał, patrząc na mnie. Oczy miał przejrzyste jak woda.

- Przynies nam teraz piwa imbirowego, szklanki i lód - poleciłem.

- Nam?

- Tak, jeśli nie jesteś abstynentem.

- Myślę, że po jedenastej mógłbym się napić.

- Jest teraz dziesiąta trzydzieści dziewięć. Czy jeśli dam ci dziesiątaka powiesz: "Bardzo panu dziękuję"?

Uśmiechnął się i kłasknął gumą.

Potem wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Zrzuciłem marynarkę i odpiąłem kaburę. Rzemyki odcisnęły mi ślady na skórze. Zdjąłem krawat, koszulę, podkoszulek i przechadzałem się po pokoju w przeciągu z otwartego okna. Pachniało rozżarzoną żelazem. Wszedłem do wąskiej łazienki, ochlapałem się zimną wodą i właśnie zaczynałem oddychać swobodniej, kiedy wysoki, ospały boy wrócił z tacą. Zamknął drzwi, a ja wyjąłem butelkę. Zrobił dwa koktajle, spróbowaliśmy. Pot spłynął mi po kręgosłupie, ale też lepiej się poczułem. Siadłem na łóżku ze szklanką w ręku i patrzyłem na boya.

- Ile czasu możesz mi poświęcić?

- A co mam robić?

- Powspominać.

- Do tego to się nie nadaje.

- Mam trochę forsy na zbyciu - oznajmiłem - i wiem, co bym za nią chciał.

Wyjąłem portfel z marynarki i rozłożyłem na łóżku harmonijkę banknotów.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział boy - czy pan jest gliną?

- Prywatnym detektywem.

- To mi się podoba. Napitek pobudził mi pamięć.

Dałem mu dolara.

- Spróbuj, jak to podziała. Czy pochodzisz z Teksasu?

- Zgadł pan - wycedził, wciskając starannie złożony banknot do kieszonki na zegarek.

- Gdzie byłeś w piątek dwunastego sierpnia, późnym popołudniem?

Pociągnął ze szklanki i zastanawiał się, bardzo ostrożnie grzechocząc lodem, a potem znów pił, nie wyjmując gumy z ust.

- Tutaj. Miałem zmianę od czwartej do dwudziestej czwartej - odparł w końcu.

- Pewna pani, żona niejakiego George'a Atkinsa, drobna, szczupła, ładna blondynka, zatrzymała się w tym hotelu do czasu odjazdu nocnego pociągu na wschód. Zostawiła swój samochód w hotelowym garażu, przypuszczam, że nadal tam stoi. Chcę faceta, który był wtedy w recepcji. Daję za to następnego dolara. Wyjąłem jeden banknot z puli i położyłem obok pozostałych na łóżku.

- Bardzo panu dziękuję - powiedział boy z uśmiechem na ustach.

Opróżnił szklankę i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Ja też opróżniłem swoją i nalałem sobie do pełna. Czas mijał. Wreszcie zadzwonił telefon, wiszący na ścianie. Wcisnąłem się w wąską przestrzeń między drzwiami od łazienki a łóżkiem i podniosłem słuchawkę.

- To był Sonny. Skończył dziś pracę o ósmej. Myślę, że można by go odszukać.

- Ile to potrwa?

- Ma tu przyjechać?

- Tak.

- Pół godziny, jeśli jest w domu. Inny chłopak był przy jej wyprowadzce. Ma na imię Les. On jest na miejscu.

- Świetnie. Niech skoczy na górę.

Wypiłem drugą szklankę i tak mi smakowało, że postanowiłem zrobić jeszcze jeden koktajl, zanim lód całkiem się rozpuści. Nie zdążyłem zamieszać, kiedy rozległo się pukanie. Otworzyłem małemu, sprężystemu, rudawemu szczurkowi o zielonych oczach i małej dziewczęcej buzi.

- Coś zimnego?

- Z chęcią - odparł.

Nalał sobie do pełna i lekko zakręcił pałeczką. Wypił koktajl jednym haustem, wetknął w usta papierosa i zapalił zapalną, zanim jeszcze na dobre wyciągnął pudełko z kieszeni. Wypuścił chmurę dymu, rozwinął ją ręką i popatrzył na mnie zimno. Zauważyłem, że nad kieszonką zamiast numeru miał wyszyte "szef boyów".

- Dziękuję - powiedziałem. - To wszystko.

- Co?

Usta wykrzywił mu nieprzyjemny grymas.

- Spadaj!

- Myślałem, że chciał się pan ze mną zobaczyć - burknął.

- To ty jesteś szefem od nocnego dzwonka?

- Zgadza się.

- Chciałem ci postawić kielicha. Chciałem ci dać dolara. Oto on. Wizyta skończona.

Wziął dolara, ale ciągle tkwił na miejscu. Dym smużył mu się z nosa, oczy miał paciorkowate i mętne. Nagle obrócił się na pięcie, wrzucił ramionami i bezszelestnie opuścił pokój.

Minęło dziesięć minut, znów ktoś zapukał, bardzo cicho. Kiedy otworzyłem, za drzwiami stał z uśmiechem na ustach tamten chudy chłopak. Odsunąłem się, żeby zrobić mu przejście, a on wszedł i stanął koło łóżka. Uśmiech nie schodził mu z warg.

- Les nie przypadł panu do gustu, prawda?

- Tak. A on - jest zadowolony?

- No chyba. Wie pan, jacy są ci nasi szefowie. Zawsze muszą wtrącić swoje trzy grosze. Ale to ja jestem Les, panie Dalmas.

- Więc to ty byłeś przy jej odjeździe?

- Jeśli nazywa się Atkins, to nie.

Wyjąłem z kieszeni i pokazałem mu fotografię Julii. Przypatrywał się jej długo i uważnie.

- Tamta wyglądała podobnie - powiedział. - Dała mi cztery dziesiątaki, a w takiej dziurze jak nasze miasteczko pamięta się duże napiwki. To była żona Howarda Meltona. Jest też sprawa jej samochodu. Myślę, że więcej nie ma tu o czym mówić.

- Aha. Dokąd pojechała?

- Wynajętą bryczką na dworzec. Dobry pan pija trunek, panie Dalmas.

- Przepraszam. Nalej sobie.

Nie kazał się prosić dwa razy.

- Czy pamiętasz coś jeszcze? - zapytałem. - Może miała jakichś gości?

- Nie. Ale coś sobie przypominam. W hallu zagadnął ją jakiś pan. Wysoki, przystojny goguś. Nie była zachwycona tym spotkaniem.

- Aha.

Wyjąłem z kieszeni i pokazałem mu drugą fotografię. Obejrzał ją równie dokładnie.

- Ta tutaj niezbyt ją przypomina. Ale jestem pewien, że to ten gość, o którym mówiłem.

- Aha.

Ponownie wziął fotografie i trzymał jedną obok drugiej. Był jakby zdetonowany.

- Tak, proszę pana. To na pewno on - oświadczył.

- Usłużny z siebie chłopak. Jesteś gotów zapamiętać wszystko, co trzeba.

- Nie rozumiem.

- Nalej sobie jeszcze jednego. Jestem ci dłużny cztery dolce. Razem z tamtym pięć.

Wszyscy boje na świecie próbują swoich sztuczek.

Nalał sobie odrobinę i obracał szklankę w dłoni, krzywiąc żółtawą twarz.

- Staram się, jak mogę - powiedział twardo.

Wypił, w milczeniu odstawił szklankę i ruszył do drzwi.

- Niech się pan udławi tymi pieniędzmi - burknął.

Wyjął dolara z kieszonki na zegarek i rzucił go na podłogę.

- Idź pan do wszystkich diabłów - dodał łagodniej.

I wyszedł.

Wziąłem obie fotografie, położyłem je obok siebie i popatrzyłem na nie ponuro. Po dłuższej chwili poczułem sopel lodu na kręgosłupie. Już raz przedtem doznałem tego przelotnie, ale wtedy zlekceważyłem to dotknięcie. Teraz wróciło na dobre.

Podszedłem do biureczka, wyjąłem kopertę, włożyłem do niej banknot pięciodolarowy, zakleiłem, na wierzchu napisałem: "Les". Ubrałem się, wetknąłem butelkę do kieszeni, zabrałem swoją torbę podrózną i wyszedłem z pokoju.

W hallu na mój widok poderwał się rudy boy. Les stał bez słowa pod filarem, ze skrzyżowanymi rękoma. Podszedłem do recepcji i poprosiłem o rachunek.

- Czy coś się stało? - spytał zaniepokojony recepcjonista.

Zapłaciłem i ruszyłem do samochodu, nagle jednak zawróciłem.

- Proszę to dać Lesowi, boyowi z Teksasu - powiedziałem wręczając recepcjoniście kopertę z piątałem. - On jest na mnie w tej chwili wściekły, ale mu przejdzie.

Przed drugą w nocy dojechałem do Glendale i począłem się rozglądać za miejscem, skąd mógłbym zatelefonować. Znalazłem stację benzynową czynną całą noc.

Wyciągnąłem drobne, zadzwoniłem do informacji i dowiedziałem się, jaki jest numer Meltona w Beverly Hills. Kiedy jego głos dotarł do mnie po drucie, nie sprawiał wcale wrażenia zaspanego.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno - powiedziałem - ale upoważnił mnie pan do tego. Pojechałem śladem pani Melton do San Bernardino i na tamtejszą stację.

- To już wiemy - stwierdził, niezadowolony.

- Zawsze warto sprawdzić. Domek Hainesa zrewidowany. Nic szczególnego. Jeśli myślał pan, że on wie, gdzie jest pani Melton...

- Nie wiem, co myślałem - przerwał mi surowym tonem. - Po tym, co mi pan powiedział, uważałem, że należy przeszukać jego dom. Czy tylko to ma mi pan do przekazania?

- Nie.

Zawahałem się.

- Miałem zły sen - ciągnąłem. - Przyśniło mi się, że dziś rano w domku przy Chester Lane na krześle widziałem damską torebkę. Było tam dość ciemno z powodu drzew i zapomniałem ją zabrać.

- Torebka? Jakiego koloru?

Głos miał twardy jak skorupa mięczaka.

- Ciemnogranatowa, może czarna. Słabo było widać.

- Wolałbym, żeby pan tam wrócił po nią - rzucił.

- Dlaczego?

- Za to panu płacę pięćset dolarów, między innymi za to.

- Są pewne granice tego, co mogę zrobić za pięćset dolarów, zwłaszcza że ich wcale nie dostałem.

Zaklął.

- Człowieku! Wiele panu zawdzięczam, ale teraz wszystko zależy od pana i po prostu nie może mnie pan zawieść.

- No dobrze, ale tam może kręci się po ganku stado glin. Albo przeciwnie, miejsce jest spokojne jak oswojona pchła. W obu wypadkach nie reflektuję. Mam po prostu dość tego domu.

Po drugiej stronie panowała głęboka cisza.

- Poza tym uważam - powiedziałem, nabrawszy tchu - że pan wie, gdzie jest pańska żona, panie Melton. Goodwin natknął się na nią w hotelu w San Bernardino. Parę dni temu miał jej czek. Pan spotkał Goodwina na ulicy. Pośrednio pomógł mu pan ten czek zrealizować. Myślę, że pan wie. Myślę, że wynajął mnie pan po to, żebym poszedł jej tropem i sprawdził, czy wszystkie ślady zostały zatarte.

Znów zapadło milczenie. A kiedy się odezwał, mówił cicho i pokornie.

- Wygrał pan, panie Dalmas. Tak, to był regularny szantaż, ta historia z czekiem. Ale ja nie wiem, gdzie ona się podziewa. Naprawdę. A tę torebkę trzeba odzyskać. Co pan powie na siedemset pięćdziesiąt?

- Lepiej. Kiedy dostanę forszę?

- Dziś w nocy, jeśli przyjmie pan czek. Gotówką mógłbym mieć do rana najwyżej osiemdziesiąt dolarów.

Zawahałem się. Dotknąwszy twarzy stwierdziłem, że się uśmiecham.

- Zgoda - oznajmiłem w końcu. - Umowa stoi. Wydobędę tę torebkę, chyba że gromada glin pilnuje domku.

- Gdzie pan teraz jest? - spytał z wyraźną ulgą w głosie.

- W Azusa - skłamałem. - Będę na miejscu mniej więcej za godzinę.

- Niech pan to załatwi - powiedział. - Przekona się pan, że znam reguły gry. Poza tym sam pan się już w to mocno zaangażował.

- Przywykłem do kłopotów - stwierdziłem i odłożyłem słuchawkę.

VII. Dwa kozły ofiarne

Pojechałem przez Chevy Chase Boulevard na Chester Lane, tam, gdzie się zaczyna. Wtedy zgasilem światła i skręciłem w główną aleję doliny. Szybko minąłem zakręt i dotarłem do nowego domu vis_~a_vis posesji Goodwina. Ani żywego ducha. Żadnego samochodu przed domem, żadnych śladów zasadzki. Musiałem zaryzykować, nieraz już - i to gorzej - ryzykowałem.

Wjechałem na podjazd, wysiadłem i podniosłem odsuwane drzwi garażu. Nie były zamknięte. Wprowadziłem samochód, opuściłem drzwi i przekradłem się na drugą stronę ulicy tak cicho, jakby mnie tropili Indianie. Pod osłoną drzew Goodwina dostałem się na tyły domku i skryłem się za najgrubszym z nich. Siadłem na ziemi, pozwoliłem sobie na łyk whisky.

Czas mijał wolno jak na cmentarzu. Oczekiwałem towarzystwa, ale nie wiedziałem, kiedy mam się go spodziewać. Przybyło szybciej, niż przypuszczałem.

Po mniej więcej piętnastu minutach jakiś samochód nadjechał od wylotu doliny, dostrzegłem nikły poblask pomiędzy drzewami opodal bocznej ściany domku. Jechał z wygaszonymi światłami. To mi się podobało. Stanął gdzieś niedaleko, cicho trzasnęły drzwiczki. Jakiś cień przemknął bezszelestnie koło narożnika domu. Bardzo mały, przynajmniej o głowę niższy od Meltona. Zresztą Melton nie zdążyłby tak szybko dojechać z Beverly Hills.

Po chwili cień znalazł się koło drzwi kuchennych, które otwarły się, a gdy cień znikł w głębokim mroku, zamknęły cicho. Wstałem i przeszedłem na palcach przez miękką, wilgotny trawnik. Wszedłem bezszelestnie do sieni pana Goodwina, a stamtąd do kuchni. Stałem, pilnie nad słuchując. Ani dźwięku, ani światła. Wyjąłem spod pachy rewolwer i zacisnąłem palce na kolbie. Oddychałem płytko, samymi szczytami płuc. Wtem zdarzyło się coś dziwnego. Pod wahadłowymi drzwiami do pokoju pojawiła się smuga światła. Cień zapalił lampę. Bez troski cień! Przeszedłem przez kuchnię, pchnąłem skrzydło drzwi i przytrzymałem. Światło sączyło się do jadalni z oddzielonego arkadą saloniku. Ruszyłem w tę stronę, nierozważnie, jakże nierozważnie. Zatrzymałem się w przejściu.

- Rzuć to i idź dalej - odezwał się jakiś głos na wysokości mojego łokcia.

Spojrzałem na nią. Była drobna, ładna jak z żurnala, a jej pistolet mierzył we mnie nieustępliwie.

- To nie było zbyt mądre - stwierdziła - prawda?

Rozwarłem dłoń i rewolwer upadł na podłogę. Postąpiłem jeszcze cztery kroki i zawróciłem.

- Nie - przyznałem.

Kobieta więcej się nie odezwała. Zrobiła kilka kroków, obchodząc rewolwer i stanęła do mnie twarzą. Spojrzałem ponad jej ramieniem na fotel ze stołeczkiem w rogu pokoju. Na stołeczku nadal spoczywał biały pantofel. Pan Lance Goodwin wciąż siedział niedbale w fotelu, z lewą ręką na szerokiej brokatowej poręczy i prawą zwisającą nad leżącym na podłodze damskim pistoletem. Ostatnia kropla krwi zastygła na brodzie. Była czarna, twarda i wieczna. Jego twarz nabrała woskowej barwy.

Przyjrzałem się teraz kobiecie. Miała na sobie starannie wyprasowane niebieskie spodnie, dwurzędowy żakiet i kapelusik, wciśnięty na bakier. Jej włosy były długie, na końcach podkręcone, ciemnorude z niebieskawym połyskiem - farbowane. Czerwone plamy pośpiesznie, nienaturalnie wysoko nałożonego różu barwiły jej policzki.

Trzymała mnie na muszce i wciąż się uśmiechała. Nie był to najmilszy uśmiech pod słońcem.

- Dobry wieczór, pani Melton - powiedziałem. - Musi pani mieć niezłą kolekcję broni.

- Niech pan siada na tamtym krześle, za panem, splecie ręce na karku i nie opuszcza ich pod żadnym pozorem. To bardzo ważne. Nie radzę tego zlekceważyć.

Odsłoniła zęby, aż po dziąsła. Posłuchałem jej rady. Uśmiech opuścił jej twarz - małą, zaciętą twarzyczkę, zresztą, w konwencjonalny sposób, nawet ładną.

- Proszę czekać, tylko czekać - dodała. - To też bardzo ważne. Może pan się domyśli, jak bardzo ważne.

- Ten pokój cuchnie śmiercią. Myślę, że to też bardzo ważne.

- Tylko czekaj, mądralo.

- Na terenie tego stanu obecnie nie wieszają już kobiet. Ale dwa trupy kosztują więcej niż jeden. Dużo więcej. Może z piętnaście lat więcej. Niech pani o tym pomyśli.

Nic nie powiedziała. Stała pewnie, trzymając pistolet. Był cięższy od tamtego, ale ona bodaj się tym nie przejmowała. Uszy nastawiła na daleki dystans. Mnie ledwie słyszała. A czas mijał, jak zwykle, bez względu na wszystko. Zaczynały mnie boleć ręce.

W końcu się pojawił. Kolejne auto podjechało powoli od strony ulicy, zatrzymało się i cicho zamknęło drzwiczki. Przez chwilę panowała cisza, potem otwarły się drzwi kuchenne. Ciężkie męskie kroki. Przybysz minął wahadłowe drzwi i wszedł do oświetlonego salonu. Stał w milczeniu, rozglądając się, szerokie czoło miał mocno

zmarszczone. Popatrzył na nieboszczyka w fotelu, potem na kobietę z pistoletem, wreszcie na mnie. Schylił się po mój rewolwer i włożył go do kieszeni marynarki. Zbliżył się spokojnie, jakby mnie nie poznawał, stanął z tyłu i obmacał mi kieszenie. Wyjął dwie fotografie i telegram. Potem ruszył w stronę kobiety i stanął w pobliżu. Opuściłem ręce i roztarłem palce. Oboje patrzyli na mnie bardzo spokojnie.

- Sztuczka się nie udała - odezwał się w końcu cicho. - Najpierw sprawdziłem u telefonistki, że dzwonił pan z Glendale, a nie z Azusa. Nie wiem czemu, ale sprawdziłem. Potem sam zadzwoniłem i dowiedziałem się, że w tym pokoju nie została damska torebka. No więc?

- Co mam wam powiedzieć?

- Po co te sztuczki? O co tu chodzi?

Głos miał twardy i zimny, ale raczej zciekawiony niż groźny. Kobieta stała obok niego, bez ruchu, trzymając wycelowany pistolet.

- Zaryzykowałem - stwierdziłem. - Pan też zaryzykował, przyjeżdżając tutaj. Nie miałem wielkiej nadziei, że się uda. Pomysł był taki: pan zadzwoni do niej w sprawie torebki. Ona będzie wiedziała, że torebki nie zostawiła. Oboje będziecie wiedzieli, że próbuję coś namotać. Oboje będziecie ciekawi, o co chodzi. Będziecie też prawie pewni, że nie współpracuję z policją, ponieważ wiedziałem, gdzie pana szukać, i można by tam pana przymknąć bez najmniejszego trudu. A ja chciałem, żeby pani wyszła z ukrycia - i tyle. Zaryzykowałem. Gdyby się nie udało, poszukałbym innego sposobu.

Kobieta prychnęła wzgardliwie.

- Chciałabym wiedzieć, po co w ogóle wynajmowałeś tego natręta, Howie - powiedziała.

Nie zwrócił na nią uwagi. Patrzył na mnie czarnymi, kamiennymi oczyma. Obróciłem nieco głowę i mrugnąłem do niego szybko, ale wyraźnie. Natychmiast zacisnął wargi. Kobieta tego nie widziała. Była zanadto z boku.

- Szuka pan kozła ofiarnego, panie Melton. Nieładnie.

Odwrócił się nieco, tak że stał prawie tyłem do niej. Wzrokiem pożerał moją twarz. Leciutko uniósł brew i niedostrzegalnie skinął głową. Nadal uważał, że jestem do kupienia.

Ładnie to zrobił. Przywołałszy uśmiech na twarz, odwrócił się do kobiety.

- Może zabierzemy się stąd i omówimy sprawę w bezpieczniejszym miejscu? - zaproponował.

A kiedy się zastaanawiała, wielkim łapskiem chwycił ją za nadgarstek. Krzyknęła, pistolet upadł na podłogę, a ona zatoczyła się, zacisnęła pięści i plunęła na mężczyznę.

- Fe, usiądź i opanuj się trochę - rzucił oschle Melton.

Sam pochylił się, podniósł jej pistolet i schował go do drugiej kieszeni. Uśmiechnął się szeroko, wielce z siebie zadowolony. O jednym kompletnie zapomniał. O mało nie wybuchł śmiechem - i to w takim miejscu. Kobieta opadła na stojący za Meltonem fotel i ukryła twarz w dłoniach.

- Teraz może mi pan powiedzieć - stwierdził pogodnie Melton. - Dlaczego uważa pan, że szukam kozła ofiarnego.

- Trochę panu nakłamałem wtedy przez telefon. O domku Hainesa. Był tam niegłupi miejscowy gliniarz, który przesiał domek przez sito. W worku na mąkę znalazł złoty łańcuszek na nogę, przecięty szczypcami.

Kobieta wydała dziwny skowyt. Melton nawet nie spojrzał w jej stronę. Ona natomiast wpatrywała się we mnie z natężeniem.

- Może się zorientował - powiedziałem - a może nie. On przede wszystkim nie wie, że pani Melton zatrzymała się w hotelu Olimpia i że spotkała tam Goodwina. Gdyby wiedział, nie musiałby się dwa razy zastanawiać. Zwłaszcza gdyby mógł pokazać boyom zdjęcia, tak jak ja to zrobiłem. Boy, który był przy odjeździe pani Melton i zapamiętał ją z powodu samochodu pozostawionego bez żadnych wskazówek, zapamiętał też Goodwina i to, że Goodwin coś do niej mówił. Powiedział, że była zaskoczona. Nie miał natomiast pewności co do pani Melton na zdjęciach. On znał panią Melton.

Melton otworzył usta w dziwnym grymasie i powoli zwarł zęby. Kobieta za jego plecami wstała bezszelestnie i zaczęła się wycofywać, krok za krokiem, do pograżonej w mroku części pokoju. Wcale na nią nie patrzyłem. Melton bodaj nic nie słyszał.

- Goodwin śledził ją do miasta - ciągnąłem. - Musiała przyjechać autobusem albo wynajętym samochodem, bo swój zostawiła w San Bernardino. Śledził ją aż do samej kryjówki, niczym się nie zdradziwszy, co musiało być nie lada sztuką, bo pani Melton na pewno się dobrze rozglądała, a potem wkroczył do akcji. Ona najpierw go zwodziła - nie mam pojęcia, jaką historyjką - ale on najwyraźniej nie spuszczał jej z oka, ponieważ nie udało się jej wymknąć. Kiedy już dłużej nie mogła tego ciągnąć, dała mu czek. To była tylko zaliczka. Zażądał następnych, a wtedy ona zapłaciła mu za wszystko - tam w tym hotelu. Pan o tym nie wiedział, inaczej nie wysłałby mnie pan dziś rano do tego domu.

Melton uśmiechnął się ponuro.

- Tak - stwierdził - o tym nie wiedziałem. I to dlatego szukam kozła ofiarnego?

Potrząsnąłem głową.

- Mam wrażenie, że nie chce mnie pan zrozumieć. Powiedziałem, że Goodwin znał panią Melton. To nie nowina, prawda? Jaki haczyk mógłby mieć na panią Melton, żeby ją szantażować? Żaden. On nie szantażował pani Melton. Pani Melton nie żyje. Nie żyje od jedenastu dni. Wyłowiono ją dzisiaj z jeziora Little Fawn - w ubraniu Beryl Haines. Do tego właśnie potrzebny był kozioł ofiarny - i oto on, a nawet dwa.

Kobieta pochyliła się i coś podniosła w mrocznym kącie, a potem ruszyła naprzód. Głośno oddychała. Melton odwrócił się niezdarnie i wetknął ręce do kieszeni, ale wahał się o sekundę za długo, wpatrzony w pistolet, który ona podjęła z podłogi, gdzie leżał poniżej martwej dłoni Goodwina. Oto właśnie ta rzecz, o której zapomniał.

- Ty skurwielu! - powiedziała.

Melton specjalnie się nie przestraszył. Robił uspokajające gesty pustymi rękoma.

- Dobrze, kochanie, rozegramy to tak, jak ty chcesz - rzekł cicho.

Miał długie ręce. Mógł jej dosięgnąć. Już raz tak zrobił, kiedy trzymała broń. Spróbował i tym razem. Rzucił się w jej stronę, wyciągając rękę. Odbił się jedną nogą od podłogi i poleciałem, celując w jego nogi. To był długi lot - za długi.

- Byłabym niezłym kozłem ofiarnym, co? - rzuciła chrapliwym głosem i cofnęła się o krok.

Pistolet po trzykroć zadudnił. Naszpikowany kulami Melton runął na nią i przygniótł ją do podłogi. O tym też powinna była pomyśleć. Grzmotnęli oboje, jego potężne ciało przywalało ją. Kobieta jęknęła, a jej ręka trzymająca pistolet zadrgała. Wybiłem jej broń z dłoni. Sięgnąłem Meltonowi do kieszeni i wyciągnąłem swój rewolwer, potem odskoczyłem od nich i usiadłem. Poczulem sopel lodu na karku. Siedziałem z rewolwerem na kolanach i czekałem.

Potężna łapa Meltona wyciągnęła się, zacisnęła na nóżce sekretarzyka w kształcie szponów i zbielała. Ciało wygięło się w łuk i skuliło, a kobieta znów jęknęła. Po chwili przetoczyło się na plecy i oklapło, a ręka puściła szponiastą nóżkę. Palce rozprostowały się powoli i legły bezwładnie na puszystym dywanie. Słysząc było zdławiony charkot - w końcu zapadła cisza.

Kobieta wyczołgała się spod ciała i zerwała na równe nogi, ciężko dysząc, ze wzrokiem szczonego zwierzęcia. Potem bez słowa odwróciła się na pięcie i uciekła. Nie zrobiłem najmniejszego ruchu. Po prostu pozwoliłem jej uciec.

Podszedłem i nachyliłem się nad rozciągniętym cielskiem. Przycisnąłem palec do szyi. Stałem cicho, starając się namacać puls i nasłuchiwałem. Potem wyprostowałem się z wolna i dalej wyteżalałem słuch. Żadnego dźwięku, ani syren, ani samochodów, nic zgoła.

Tylko martwa cisza tego pokoju. Wcisnąłem rewolwer do kabury, zgasilem światło, otworzyłem drzwi frontowe i ścieżką doszedłem do chodnika. Na ulicy panował bezruch. W ślepym zaułku za domem Goodwina, przy krawężniku, koło hydrantu, stał duży samochód. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, wyprowadziłem swoje auto z garażu nowego domu, zasunąłem drzwi i pojechałem z powrotem nad jezioro PUma.

VIII Tinchfield nadal posterunkowym

Domek stał na polanie, za którą rosła kosodrzewina. Garaż wielki jak stodoła, wypełniony z prawej strony drzewem opałowym, był otwarty, a w jego wnętrzu błyszczał w porannym słońcu samochód Tinchfielda. Wytyczona drewnianymi palikami ścieżka wiodła do drzwi domku, z komina snuł się dym.

Otworzył mi Tinchfield we własnej osobie. Miał na sobie stary popielaty golf i spodnie khaki. Jego twarz była świeżo wygolona, gładka jak u dziecka.

- No cóż, wejź, synu - powiedział spokojnie. - Widzę, że wcześniej zaczynasz pracę. Tak więc wczoraj wieczorem nie pojechałeś do miasta?

Minąłem go w drzwiach, a po chwili zasiadłem w starym bostońskim fotelu na biegunach z szydełkowanym podglówkiem. Kołysząc się fotel skrzypiał swojsko.

- Kawa zaraz się zaparzy - oznajmił dobrotliwie Tinchfield. - Emma przyniesie dla ciebie talerz. Jesteś chyba kompletnie wykończony, synu.

- Wróciłem do doliny - powiedziałem. - Właśnie stamtąd jadę. Wczoraj w jeziorze to nie była Beryl Haines.

- O la, la - rzekł Tinchfield.

- Nie sprawia pan wrażenia zaskoczonego - mruknąłem.

- W ogóle dość trudno mnie zaskoczyć, synu. Zwłaszcza przed śniadaniem.

- To była Julia Melton - wyjaśniłem. - Zamordowali ją Howard Melton i Beryl Haines. Ubrali ciało w rzeczy Beryl i umieścili pod podestem mola, sześć stóp pod powierzchnią wody, po to, żeby przestała przypominać Julię Melton. Były dość podobne z wyglądu, obie blondynki, mniej więcej tego samego wzrostu. Bill twierdzi, że mogły uchodzić za siostry. No, może nie za bliźniaczki.

- Tak, były dość podobne - przyznał Tinchfield, patrząc na mnie z powagą. - Emmo!
- zawołał po chwili.

Tęga kobieta w perkalowej sukience otworzyła drzwi do kuchni. Miała na sobie olbrzymi biały fartuch, zawiązany wokół czegoś, co niegdyś było talią. Za nią wtargnął zapach kawy i smażonego boczk.

- Emmo, to jest detektyw Dalmas z Los Angeles. Przynies jeszcze jeden talerz, a ja odsunę stół od ściany. On jest diabelnie zmęczony i głodny.

Tęga kobieta skinęła głową, uśmiechnęła się i położyła na stole dodatkowe nakrycie.

Usiedliśmy do śniadania, pałaszowaliśmy jajka na boczku i gorące placki, dzbankami piliśmy kawę. Tinchfield wcinał za czterech, natomiast jego żona jadła jak ptaszek i skakała jak ptaszek, wciąż przynosząc nowe porcje.

Wreszcie skończyliśmy, pani Tinchfield zebrała talerze i zamknęła się w kuchni. Szeryf ukroił sobie grubą prymkę, wetknął ją ostrożnie do ust i rozparł się w bostońskim fotelu.

- No dobrze, synu - powiedział - myślę, że teraz mogę cię wysłuchać. Trochę mnie niepokoił ten łańcuszek w mące, podczas gdy pod bokiem jest przecież jezioro. Ale ja myślę powoli. Dlaczego sądzisz, że Melton zamordował żonę?

- Bo Beryl Haines nadal żyje, tylko włosy ufarbowała na rudo.

Opowiedziałem mu całą historię, punkt po punkcie, niczego nie ukrywając. Nie odezwał się, póki nie skończyłem.

- No dobrze, synu - rzekł wówczas - odwaliłeś tu jako detektyw kawał dobrej roboty, parę razy miałeś trochę szczęścia, ale bez tego nikt z nas daleko by nie zaszedł. Tylko jaki był w tym wszystkim twój interes.

- Żaden. Ale Melton najpierw mnie podpuścił, a potem chciał mnie zrobić. A ja jestem pamiętliwy.

- Jak sądzisz, po co Melton cię wynajął?

- Musiał. To była istotna część jego planu, żeby w końcu właściwie zidentyfikować ciało. Może nie od razu, dopiero po pogrzebie i zamknięciu sprawy. Ostatecznie jednak był zmuszony przeprowadzić identyfikację, żeby dostać się do pieniędzy żony. Inaczej musiałby latami czekać, aż sąd uzna ją za zmarłą. A jeśli chciał, żeby prawidłowo zidentyfikowano zwłoki, musiał wykazać, że czynił starania o odnalezienie Julii. Jeśli, jak twierdzi, jego żona była kleptomanką, miał dobry pretekst, żeby wynająć prywatnego detektywa, a nie chodzić na policję. Coś jednak musiał zrobić. Było też zagrożenie ze strony Goodwina. Może planował, że zabije Goodwina i że mnie w to wmiesza. Z pewnością nie wiedział, że Beryl już go w tym względzie uprzedziła, inaczej nie posyłałby mnie do jego domku. W końcu zaś - a ja byłem na tyle głupi, że przyjechałem tutaj, nie zawiadomiwszy policji w Glendale o śmierci Goodwina - myślał, że uda mu się mnie przekupić. Samo morderstwo było dość proste, dochodził też jeden jeszcze aspekt, o którym Beryl nie wiedziała albo nie myślała. Przypuszczam, że była w nim zakochana. Biedna kobieta, żona pijaczyny, mogła polecieć na takiego faceta jak on. Melton nie mógł wiedzieć, że ciało zostanie wyłowione akurat wczoraj, to był czysty przypadek, miał zamiar dalej mnie zatrudniać i podsuwać kolejne poszlaki, aż ciało zostanie znalezione. Wiedział, że

podjęcie o morderstwo padnie na Hainesa, a kartka, którą zostawiła Beryl, tak była sformułowana, żeby nie zupełnie wyglądała na list samobójczy. Melton wiedział też, że jego żona i Haines mają się ku sobie. On i Beryl wyczekiwali odpowiedniej pory. Kiedy Haines pojechał się upić na północny brzeg jeziora, Beryl musiała go o tym skądś powiadomić przez telefon. Myślę, że będzie pan to mógł sprawdzić. Mógł się tu zjawić w trzy godziny, jeśli szybko jechał. Julia była pewnie zalana. Melton ją rąbnął, przebrał w rzeczy Beryl i wrzucił do jeziora. To potężny facet, mógł to swobodnie zrobić bez niczyjej pomocy, sam jeden. Beryl zapewne stała na czatach przy jedynej drodze wiodącej do jeziora. Dzięki temu Melton mógł podrzucić łańcuszek w domku Hainesów. Potem wrócił do miasta, a Beryl ubrała się w rzeczy Julii, wzięła jej walizkę i jej samochód i pojechała do hotelu w San Bernardino. Tam miała pecha, bo spotkała Goodwina, który musiał się zorientować, że coś tu nie gra, albo po ubraniu, albo po walizce, albo też usłyszał, że służba nazywa ją panią Melton. Zaczął ją śledzić, a resztę już pan zna. Z faktu, że Melton namówił Beryl na ten fałszywy trop, wynikają moim zdaniem dwie rzeczy. Po pierwsze, że chciał odczekać jakiś czas, zanim ciało zostanie właściwie zidentyfikowane. Można się było z wielkim prawdopodobieństwem spodziewać, że policja uzna je za zwłoki Beryl Haines na podstawie słów Billa, zwłaszcza że stawiąły go one w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Po drugie, wynika z tego, że po właściwej identyfikacji zwłok fałszywy trop pozostawiony przez Beryl sprawi wrażenie, iż ona i Bill popełnili morderstwo, żeby zgarnąć premię ubezpieczeniową Beryl. Myślę, że Melton popełnił gruby błąd, ukrywając łańcuszek w worku z mąką. Powinien był wrzucić go do jeziora, czymś obciążony, a potem, niby przypadkiem - wyłowić. Przedobrzył sprawę, chowając łańcuszek w domku Hainesa i pytając mnie, czy domek przeszukano. Ale tak to bywa przy morderstwach z premedytacją.

Tinchfield przesunął językiem prymkę w drugi koniec jamy ustnej i podszedł do otwartych drzwi, żeby splunąć. Stał w nich z rękoma splecionymi z tyłu.

- Nie miał żadnego haczyka na Beryl - rzucił przez ramię. - Pod warunkiem, że ona trzymałaby język za zębami. Myślałeś o tym, synu?

- Jasne. Z chwilą gdy policja zaczęłaby jej szukać, a sprawa trafiłaby na pierwsze strony gazet, to znaczy właściwa sprawa, musiałby stuknąć Beryl i upozorować samobójstwo. Myślę, że to mogłoby się udać. - Nie powinieneś pozwolić tej tam morderczynie zbiec, synu. Są jeszcze inne rzeczy, których nie powinieneś być robić, ale ta jedna jest najgorsza.

- Czyja to sprawa? - zachnąłem się. - Pańska czy policji w Glendale? Beryl i tak wpadnie. Zabiła dwóch mężczyzn i

przejedzie się na następnej swojej sztuczce. Zawsze tak się dzieje. W tej sprawie istnieje rozległy materiał dowodowy, trzeba tylko do niego dotrzeć. Ale to robota dla policji, nie dla mnie. Sądziłem, że ubiega się pan o ponowny wybór, a ma pan przecież kilku młodych kontrkandydatów. Nie wróciłem tu dla samego tylko górskiego powietrza.

Odwrócił się i popatrzył na mnie szelmowsko.

- Tak właśnie przypuszczałem, iż sobie pomyślisz, że ten stary Tinchfield okaże się mięczakiem i uchroni cię przed ciupą, synu.

Zaśmiał się i klepnął po kolanach.

- Tinchfield nadal posterunkowym! - zagrział na całą okolicę. - Masz zupełną rację, że mnie wybiorą. Byliby głupi, gdyby tego nie zrobili po tym wszystkim. Kopnijmy się na posterunek i zadzwońmy do prokuratora w San Bernardino.

Westchnął.

- Trochę za sprytny był ten Melton - stwierdził. - Ja lubię prostych ludzi.

- Ja też - powiedziałem. - I dlatego tu jestem.

Złapali Beryl Haines na trasie Kalifornia - Oregon, kiedy w wynajętym samochodzie skręcała na południe do Yreki. Lotny patrol zatrzymał ją w ramach rutynowej kontroli owoców na granicy między stanami, ale ona o tym nie wiedziała. Od razu wyciągnęła pistolet. Miała ze sobą bagaż Julii Melton, ciuchy Julii Melton i książeczkę czekową Julii Melton z dziewięcioma czystymi czekami, opatrzonymi imitacjami oryginalnego podpisu Julii Melton. Okazało się, że czek zrealizowany przez Goodwina był też sfalszowany.

Tinchfield i prokurator okręgowy wstawili się za mną u policjantów z Glendale, ale ci i tak nieźle dali mi się we znaki. Violets M'Gee uraczył mnie długą i soczystą połajanką, a od nieboszczyka Howarda Meltona dostałem to, co mi zostało z pięćdziesięciu dolarów zaliczki. Tinchfield wprawdzie pozostał posterunkowym, ale z trudem zdobył wymaganą większość głosów.

*Przełożył
Andrzej Zerwałd*